

# Tajemnicza wyspa, tom III





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

JULIUSZ VERNE

# *Tajemnicza wyspa*

TEUM. J. PŁ.

# CZĘŚĆ TRZECIA. TAJEMNICA WY- SPY

## ROZDZIAŁ I

*Zguba czy ocalenie? — Wezwanie Ayrtona. — Ważne pytanie. — To nie „Duncan”! — Podejrzany statek. — Środki ostrożności. — Statek się zbliża. — Strzał armatni. — Dwumasztowiec zarzuca kotwicę w pobliżu wyspy. — Nadchodzi noc.*

Minęło już dwa i pół roku, odkąd rozbitkowie statku powietrznego zostali wyrzuceni na Wyspę Lincolna, i do tej pory nie zdołali nawiązać kontaktu z resztą świata. Wprawdzie reporter raz próbował porozumieć się z zamieszkałymi krajami za pośrednictwem ptaka, któremu uwiązał u szyi notatkę z krótką informacją o ich położeniu, lecz na szczęśliwy wynik tej próby nie można było poważnie liczyć. Jedynym człowiekiem, który w opisanych powyżej okolicznościach powiększył liczbę członków tej małej kolonii, był Ayrton. Aż tu nagle 17 października w pobliżu wyspy, na morzu zawsze dotąd pustym, pojawili się niespodziewanie inni ludzie.

Nie można było mieć wątpliwości! W pobliżu był statek! Ale czy popłynie dalej, czy przybije do wyspy? Za kilka godzin koloniści na pewno się tego dowiedzą.

Cyrus Smith z Harbertem przywołali natychmiast Gedeona Spilettę, Pencroffa i Naba do dużej sali Granitowego Pałacu i powiadomili ich o tym, co się dzieje. Pencroff, chwycił lunetę, przebiegł wzrokiem horyzont i zatrzymał się na wskazanym punkcie, czyli na czymś, czego obraz utrwalił się jako ledwie dostrzegalna plamka na negatywie fotograficznym. Potem zawołał tonem nie zdradzającym szczególnego zadowolenia:

— Do kroćset diabłów! To naprawdę statek!

— Czy płynie w naszą stronę? — zapytał Gedeon Spilett.

— Nie da się jeszcze powiedzieć — odparł Pencroff — bo na razie nad horyzontem widać tylko maszty i żagle, ale ani kawałka kadłuba!

— Co teraz robić? — zapytał Harbert.

— Czekać — odparł Cyrus Smith.

I przez dłuższą chwilę koloniści stali w milczeniu, zatopieni w myślach, pochłonięci obawami i nadziejami wywołanymi przez to najważniejsze wydarzenie od czasu ich przybycia na Wyspę Lincolna.

Bez wątplenia nie znajdowali się wcale w położeniu rozbitków wyrzuconych na jałową wysepkę, walczących z przyrodą-macochą o nędzną egzystencję, zżeranych nieustannie tęsknotą do świata i ludzi. Zwłaszcza Pencroff i Nab czuli się tak szczęśliwi i bogaci, że z żalem opuściliby wyspę. Zresztą byli jakby stworzeni do tego nowego życia na tym kawałku ziemi, ucywilizowanym dzięki ich własnej inteligencji. Ale jednak ten statek przynosił ze sobą wieści ze świata, a może nawet był częścią ojczyzny, spieszącej im na spotkanie? Na statku znajdowali się ludzie, ich bliźni, więc łatwo zrozumieć, że na jego widok żywiej zabiły im serca.

Pencroff od czasu do czasu brał lunetę do ręki, stawał przy oknie i z niezmierną uwagą śledził statek oddalony jeszcze o jakieś dwadzieścia mil na wschód od wyspy. Koloniści nie mogli więc jeszcze żadnym sygnałem dać znać o sobie. Wywieszanej bandery nie byłoby widać ze statku, nie usłyszano by huku strzelby, nie dostrzeżono zapalonego ognia.

W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że wyspa ze sterczącą na niej Górą Franklina nie ujdzie uwagi dyżurnego marynarza na bocianim gnieździe<sup>1</sup>. Mimo to po co statek miałby do niej przybici? Przecież tylko ślepy wypadek mógł go zapędzić w tę część Pacyfiku, gdzie na mapie nie było żadnej wyspy prócz wyspy Tabor, która także leżała z dala od dróg uczęszczanych przez statki dalekomorskie płynące na archipelagi polinezyjskie, na Nową Zelandię czy na wybrzeża Ameryki.

<sup>1</sup>bocianie gniazdo — tu: platforma obserwacyjna umieszczona wysoko na głównym maszcie statku. [przypis edytorski]

Każdy zadawał sobie w myśli tego rodzaju pytania, kiedy nagle Harbert znalazł odpowiedź:

— A może to „Duncan”?

„Duncan”, jak wiemy, był to jacht lorda Glenarvana, który wysadził Ayrtona na wyspie Tabor i miał kiedyś po niego wrócić. Otóż wyspa Tabor nie leżała tak daleko od Wyspy Lincolna, aby statek udający do pierwszej nie mógł po drodze przepłynąć obok drugiej. Dzielilo je tylko sto pięćdziesiąt mil na długości i siedemdziesiąt pięć mil na szerokości geograficznej.

— Trzeba uprzedzić Ayrtona — powiedział Gedeon Spilett — i natychmiast go tu przywołać. Tylko on może nam powiedzieć, czy to rzeczywiście „Duncan”.

Wszyscy się z tym zgodzili, reporter udał się więc do aparatu telegraficznego łączącego zagrodę z Granitowym Pałacem i zatelegrafował: „Proszę przyjść jak najszybciej!”.

Parę chwil później odezwał się aparat.

„Idę” — odpowiedział Ayrton.

Tymczasem koloniści nadal obserwowali statek.

— Jeśli to jest „Duncan” — powiedział Harbert — to Ayrton pozna go od razu, bo przez pewien czas pływał na nim.

— A jeśli go pozna — dodał Pencroff — na pewno bardzo się wzruszy.

— Tak — odparł Cyrus Smith — ale teraz Ayrton jest już godny tego, by wrócić na pokład „Duncana”, a dałby Bóg, żeby to rzeczywiście był jacht lorda Glenarvana. Każdy inny statek uznałbym za podejrzany. Te wody mają złą sławę i ciągle obawiam się, że naszą wyspę odwiedzą piraci malajscy.

— Będziemy się bronić! — zawołał Harbert.

— Oczywiście, mój chłopcze — odparł z uśmiechem inżynier. — Lepiej jednak, żeby nie było potrzeby się bronić.

— Pozwólcie mi zrobić jedną uwagę — powiedział Gedeon Spilett. — Żeglarze nie znają Wyspy Lincolna, gdyż nie ma jej nawet na najnowszych mapach. Czyż nie sądzi pan zatem, Cyrusie, że jest to jeszcze jeden powód, aby statek, który odkryje niespodzianie ten nowy ląd, raczej zbliżył się do niego i odwiedził go, zamiast minąć obojętnie?

— Bez wątpienia — odparł Pencroff.

— I ja tak sądzę — dodał inżynier. — Można nawet powiedzieć, że do obowiązków kapitana statku należy poznanie każdego nieznanego dotychczas lądu lub wyspy i oznaczenie ich pozycji na mapie. A taka właśnie jest Wyspa Lincolna.

— Dobrze więc — powiedział na to Pencroff. — Przypuśćmy, że statek tu zawinie, że zarzuci kotwicę kilka kabli od wyspy. Co wtedy zrobimy?

Na to pytanie, postawione tak niespodziewanie, początkowo nikt nie znalazł odpowiedzi. Dopiero Cyrus Smith po pewnym namyśle odparł swoim zwykłym spokojnym tonem:

— Oto co zrobimy, przyjaciele, i co powinniśmy zrobić: skontaktujemy się ze statkiem, wejdziemy na pokład i opuścimy tę wyspę, wzięwszy ją uprzednio w posiadanie w imieniu Stanów Zjednoczonych Ameryki. Później powrócimy tu z ludźmi, którzy zechcą się razem z nami ostatecznie skolonizować wyspę i ofiarować republice amerykańskiej pożyteczną placówkę w tej części Pacyfiku.

— Hurra! — zawołał Pencroff. — Będzie to nie byle jaki prezent dla naszej ojczyzny! Kolonizacja jest już prawie ukończona, wszystkie części wyspy mają swoje nazwy, mamy naturalną przystań, zapasy słodkiej wody, drogi, linię telegraficzną, warsztat okrętowy, fabrykę — pozostaje tylko oznaczyć Wyspę Lincolna na mapach.

— A jeśli podczas naszej nieobecności ktoś ją zajmie? — zauważył Gedeon Spilett.

— Do krośset diabłów! — zawołał marynarz. — Prędkiej sam bym tu został, żeby jej pilnować, a jakem<sup>2</sup> Pencroff, nikt mi jej nie ukradnie jak zegarka z kieszeni gapia!

Przez całą godzinę nie sposób było stwierdzić na pewno, czy statek zbliża się do Wyspy Lincolna, czy nie. Wprawdzie nieco się zbliżył, ale jaki był jego kurs, tego Pencroff nie mógł rozpoznać. Ponieważ wiatr dął z północnego wschodu, można więc było z pewnym prawdopodobieństwem przypuszczać, że statek płynął prawym halsem<sup>3</sup>. Pomyślny

<sup>2</sup>jakem — skrócone: jak jestem. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>płynął prawym halsem — tzn. mając wiatr po prawej burcie. [przypis edytorski]

wiatr ułatwiał zbliżanie się do wyspy, a przy tak spokojnym morzu można było do niej podpłynąć bez obaw, pomimo że głębokość wody nie była oznaczona na mapie.

Około czwartej, czyli w godzinę po wezwaniu, Ayrton przybył do Granitowego Pałacu. Wszedł do dużej sali i powiedział:

— Jestem do usług, panowie.

Jak zwykle Cyrus Smith wyciągnął do niego rękę i prowadząc go do okna, powiedział:

— Prosiłszy pana o przybycie, Ayrtonie, z bardzo ważnego powodu. W pobliżu wyspy widać jakiś statek.

Początkowo Ayrton nieco pobałdł, a w jego oczach pojawił się niepokój. Potem wychylił się przez okno, przebiegł wzrokiem widnokrąg, ale niczego nie dostrzegł.

— Niech pan weźmie lunetę — powiedział Gedeon Spilett — i popatrz uważnie, bo możliwe, że to „Duncan” wraca, by zabrać pana do ojczyzny.

— „Duncan”! — wyszeptał Ayrton. — Już!

To ostatnie słowo jakby mimowolnie wymknęło się z ust Ayrtona, który wsparł głowę na rękach i stał nieruchomo.

Czyżby dwadzieścia lat wygnania na odludnej wysepce nie wydawało mu się jeszcze dostateczną karą? Czyżby skruszony grzesznik nie czuł się jeszcze rozgrzeszony we własnych oczach czy też w oczach innych ludzi?

— Nie! — zawołał. — Nie, to nie może być „Duncan”!

— Proszę się uważnie przyjrzeć, Ayrtonie — powiedział na to inżynier. — To dla nas bardzo ważne, żebyśmy zawczasu wiedzieli, czego się spodziewać.

Ayrton wziął do rąk lunetę i skierował ją we wskazanym kierunku. Przez kilka minut śledził widnokrąg obserwował horyzont, nie poruszając się, nie mówiąc ani słowa. Następnie odezwał się:

— Rzeczywiście to statek, ale nie sądzę, żeby to był „Duncan”.

— A dlaczego nie? — zapytał Gedeon Spilett.

— Dlatego, że „Duncan” jest jachtem parowym, a nigdzie nie dostrzegłem śladu dymu, ani nad statkiem, ani obok niego.

— A może płynie tylko pod żaglami? — zauważył Pencroff. — Ma pomyślny wiatr dla swojego kursu, a będąc tak daleko od wszelkiego lądu, może starać się oszczędzać węgiel.

— Może pan ma rację, panie Pencroffie — odparł Ayrton. — Możliwe, że wygasili kotły. Niech statek zbliży się trochę do brzegów, a wtedy będziemy wiedzieli, czego się trzymać.

Po tych słowach Ayrton usiadł w kącie dużej sali i siedział tam w milczeniu. Koloniści dyskutowali dalej o nieznanym statku, ale Ayrton nie mieszał się do rozmowy.

Wszyscy byli w takim stanie ducha, że nie mogli zabrać się do przerwanej pracy. Zwłaszcza Gedeon Spilett i Pencroff byli tak rozdrażnieni, że chodzili z miejsca na miejsce, nie mogąc chwili ustać ani usiedzieć spokojnie. Harbert odczuwał raczej ciekawość. Jedynie Nab zachował swój zwykły spokój. Czyż jego ojczyzna nie była tam, gdzie jego pan? Natomiast inżynier pogrążony był w rozmyślaniach i w głębi duszy bardziej obawiał się przybycia tego statku, niż tego pragnął.

Tymczasem statek zbliżył się nieco do wyspy. Przez lunetę można było poznać, że był to statek dalekomorski, nie zaś jedna z tych łodzi malajskich, jakich używają zazwyczaj piraci na Pacyfiku. Należało się więc spodziewać, że obawy inżyniera były bezpodstawne i że obecność tego statku na wodach Wyspy Lincoln nie stanowiła zagrożenia. Pencroff, przypatrzwszy mu się uważnie, stwierdził, że statek jest ożaglowany jak bryg<sup>4</sup> i że płynie ukośnie do brzegu, prawym halssem, pod niższymi żaglami, marsłami<sup>5</sup> i bramslami. Potwierdził to Ayrton.

Jednak płynąc dalej tym kursem, statek powinien wkrótce zniknąć za Przylądkiem Ostrego Szponu, gdyż zdążał na południowy zachód. W takim razie, aby nie spuścić go

<sup>4</sup>bryg — typ dwumasztowego żaglowca z ożaglowaniem rejomym na obu masztach; szybki i zwrotny, był popularny w XVIII i XIX w. jako statek handlowy i wojenny. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>marsel — prostokątny żagiel zawieszany na drugiej (m. dolny) lub trzeciej (m. górny) rei licząc od pokładu. [przypis edytorski]

z oka, trzeba było wspiąć się na wzgórze otaczające Zatokę Waszyngtona, w pobliżu Przystani Balonowej. Była to niepomysłna okoliczność, gdyż dochodziła już piąta po południu i wkrótce zapadający zmrok uniemożliwiłby dalszą obserwację.

— Co zrobimy, gdy nadejdzie noc? — zapytał Gedeon Spilett. — Czy zapalimy ogień, aby dać znać o sobie?

Była to niezwykle ważna kwestia i pomimo podejrzeń i przeczuć, jakie trapiły inżyniera, rozstrzygnięto ją twierdząco. W ciągu nocy statek mógł zniknąć, odpłynąć na zawsze, a czy jakiś inny pojawi się jeszcze kiedykolwiek na wodach Wyspy Lincoln? Kto mógł przewidzieć, co przyniesie przyszłość?

— Tak — powiedział reporter — bez względu na to, co to za statek, musimy go powiadomić, że wyspa jest zamieszkała. Jeśli zlekceważymy nadarżającą się teraz okazję, możemy tego później żałować.

Postanowiono zatem, że Nab z Pencroffem udadzą się do Przystani Balonowej i gdy zapadnie noc, rozpalą wielki ogień, którego blask z pewnością zwróci uwagę załogi brygu.

Ale w chwili gdy Nab z marynarzem zamierzali już wyjść z Granitowego Pałacu, statek nagle zmienił kurs i zwrócił się prosto w stronę wyspy, w kierunku Zatoki Stanów Zjednoczonych. Bryg był dobrym żaglowcem, zbliżał się bardzo szybko.

Nab z Pencroffem pozostali więc w domu; Ayrtonowi wręczono lunetę, by mógł ostatecznie upewnić się, czy ten statek to „Duncan”, czy nie. Jacht szkocki również był ożaglowany jak bryg, chodziło więc o to, żeby przekonać się, czy pomiędzy dwoma masztami statku, który w tej chwili był oddalony tylko o dziesięć mil, wznosi się komin.

Horyzont był wciąż jeszcze jasny i pogodny. Łatwo więc było sprawdzić, toteż Ayrton po chwili opuścił lunetę i powiedział:

— Nie, to nie „Duncan”! To nie może być on!...

Pencroff wziął od niego lunetę, skierował na statek i stwierdził, że jest to bryg mający trzysta do czterystu ton wyporności, o smukłej sylwetce, z wysokimi masztami, doskonale zbudowany i z pewnością bardzo szybki. Ale do jakiego państwa należał? Trudno to było określić.

— Na maszcie powiewa jakaś bandera — powiedział Pencroff. — Tylko nie mogę rozpoznać kolorów.

— Za pół godziny się dowiemy — odparł reporter. — Zresztą widać, że kapitan ma zamiar tu wylądować, jeżeli więc nie dziś, to najpóźniej jutro poznamy go z bliska.

— Mniejsza o to — powiedział Pencroff. — Lepiej wcześniej wiedzieć, z kim się ma do czynienia, i dlatego nie miałbym nic przeciwko temu, żeby teraz poznać barwy tego jegomościa.

Mówiąc to, marynarz nie odejmował lunety od oka.

Wieczór zaczął zapadać, a wraz z nim ustawał wiatr. Bandera brygu zwiotczała, zaplątała się pomiędzy linkami i coraz trudniej było ją obserwować.

— Nie, to nie bandera amerykańska — powtarzał od czasu do czasu Pencroff — ani angielska, której czerwony kolor rzucalby się w oczy; to nie są także barwy francuskie ani niemieckie, ani biała bandera rosyjska, ani żółta hiszpańska... Zdaje się, że jest jednobarwna... Zaraz, zaraz... na tych wodach... jakie statki spotyka się najczęściej?... Może to bandera chilijska? Ale ona jest trójkolorowa... Może brazylijska? Zielona... Japońska? Czarno-żółta... Podczas gdy ta...

W tej chwili wiatr rozwinął nieznaną banderę. Ayrton chwycił lunetę odłożoną przez marynarza, przyłożył ją do oka i zawołał głuchym głosem:

— To czarna bandera!...

Rzeczywiście, na maszcie ponuro powiewała ciemna płachta i teraz na pewno można było uważać bryg za podejrzany.

Czy zatem inżyniera nie omyliły przeczucia? Więc to był statek piracki, który krążąc po wodach Pacyfiku, konkurował z łodziami malajskimi grasującymi w tych stronach? Czegoż on szukał u wybrzeży Wyspy Lincoln? Może uznał tę nieznaną wyspę za dobrą kryjówkę na przechowanie łupów? Może szukał tu schronienia na czas zimy? Czyżby uczciwa posiadłość kolonistów miała się stać ostoją zbójców, czymś w rodzaju pirackiej stolicy na Pacyfiku?

Wszystkie te myśli mimowolnie cisnęły się kolonistom do głowy. Nie było żadnej wątpliwości, co oznacza kolor wywieszonej bandery. Był to kolor piratów. Taka bandera powiewałaby na „Duncanie”, gdyby powiodły się zbrodnicze plany skazańców.

Nie można było dłużej tracić czasu.

— Przyjaciele — powiedział Cyrus Smith — może ten statek chce tylko poznać wybrzeża wyspy? Może jego załoga wcale nie wylądowała? To możliwe. W każdym razie powinniśmy starać się ukryć naszą obecność. Wiatrak postawiony na Płaskowyżu Pięknego Widoku najbardziej zwraca na siebie uwagę. Niech Ayrton z Nabem pozdejmują z niego skrzydła. Zamaskujmy gęstymi gałęziami okna Granitowego Pałacu. Wszystkie ognie trzeba pogasić. Niech nic nie zdradza obecności ludzi na wyspie.

— A nasz statek? — powiedział Harbert.

— Och, schowany bezpiecznie w Przystani Balonowej — odparł Pencroff. — Założę się, że te łotry go nie znajdą!

Polecenia inżyniera zostały natychmiast wykonane. Nab z Ayrtonem udali się na płaskowyż i podjęli niezbędne kroki, żeby zatrzeć wszelkie ślady obecności ludzi. W czasie, gdy byli zajęci tą pracą, ich towarzysze udali się na skraj Lasu Złotopióra i przynieśli stamtąd wielki stos gałęzi i pnączy, które miały z pewnej odległości sprawiać wrażenie naturalnej zieleni i zamaskować otwory w granitowej ścianie. Równocześnie rozmieszczono broń i amunicję tak, by w jednej chwili można z nich było zrobić użytek w razie niespodziewanego napadu.

Gdy ukończono wszystkie te przygotowania, Cyrus Smith odezwał się ze wzruszeniem w głosie:

— Przyjaciele, jeśli ci nędznicy będą chcieli zawładnąć Wyspą Lincolna, będziemy jej bronić, prawda?

— Tak, Cyrusie — odparł reporter — a gdy trzeba będzie, zginiemy w jej obronie!

Inżynier wyciągnął rękę do towarzyszy, którzy uściśli ją serdecznie.

Tylko Ayrton pozostał w swoim kącie i nie przyłączył się do kolonistów. Może on, dawny zbrodniarz, nie czuł się jeszcze tego godny.

Cyrus Smith zrozumiał, co się dzieje w duszy Ayrtona, podszedł więc do niego i zapytał:

— A co pan zamierza zrobić, Ayrtonie?

— Spełnię swoją powinność — odparł Ayrton.

Po czym stanął przy oknie i przez zasłonę z gałęzi zaczął wpatrywać się w morze.

Było wtedy wpół do ósmej. Słońce od dwudziestu minut skryło się za Granitowym Pałacem. Niebo na wschodzie powoli ciemniało. Tymczasem bryg zbliżał się coraz bardziej do Zatoki Stanów Zjednoczonych.

Był w odległości nie większej niż osiem mil, i to dokładnie naprzeciw Płaskowyżu Pięknego Widoku, gdyż korzystając z przyływu, zrobił zwrot na wysokości Przylądka Szponu i zmienił kierunek na północny. Można było nawet przypuszczać, że wpłynął już w głąb zatoki, gdyż linia prosta pociągnięta od Przylądka Szponu do Przylądka Szczęki przechodziłaby na zachód od statku, po jego prawej burcie.

Czy bryg zapuści się dalej w głąb zatoki? To było pierwsze pytanie. Czy w zatoce rzuci kotwicę? To było drugie pytanie. A może poprzestanie na obejrzeniu z daleka wybrzeży, bez wysadzania załogi na ląd, po czym wypłynie znów na pełne morze? O tym mieli się przekonać za godzinę. Kolonistom nie pozostawało nic innego, jak tylko cierpliwie czekać.

Cyrusa Smitha bardzo zaniepokoił widok czarnej bandery wywieszanej na podejrzanym statku. Czyż nie zagrażała ona dziełu, które on sam i jego towarzysze tak pomyślnie prowadzili? Czyżby piraci — bo nie było wątpliwości, że to oni stanowili załogę brygu — znali już wcześniej tę wyspę, skoro zbliżając się do niej, wciągnęli swoją banderę? Może lądowali tu już wcześniej, co tłumaczyłoby pewne niewyjaśnione dotąd tajemnice? Może w tych niezbadanych dotąd częściach wyspy ukrywa się któryś z tych złoczyńców, gotowy przyłączyć się do swoich współników?

Cyrus Smith zadawał sobie w duchu te wszystkie pytania, ale nie umiał znaleźć na nie żadnej odpowiedzi. Czuł tylko, że przybycie brygu bardzo poważnie zagraża bezpieczeństwu kolonii.

W każdym razie zarówno on sam, jak i jego towarzysze byli zdecydowani walczyć do ostatka. Czy piraci byli liczniejsi i lepiej uzbrojeni od kolonistów? Tęgo właśnie należało się dowiedzieć. Ale jak do nich dotrzeć?

Zapadła noc. Księżyc w nowiu, pozbawiony promieni słońca, zniknął. Głęboka ciemność pokryła wyspę i morze. Ciężkie chmury nagromadzone na horyzoncie nie przepuszczały ani jednego błysku światła. Z zapadnięciem zmroku wiatr ustał zupełnie. Żaden listek nie zaszeleścił na drzewie, żadna fala nie zaszumiła na brzegu. Statku zupełnie nie było widać, widocznie wszystkie światła na nim wygaszono, a jeśli nadal znajdował się w pobliżu wyspy, to nie można było stwierdzić, w którym miejscu.

— Kto wie? — powiedział Pencroff. — Może ten przeklęty statek odpłynie sobie w nocy i jutro nie znajdziemy po nim ani śladu?

Jakby w odpowiedzi na słowa marynarza nagle na morzu rozbłysło jaskrawe światło, a potem zabrzmiał huk armatniego wystrzału.

Statek był więc tam nadal i miał na pokładzie działa.

Pomiędzy błyskiem a hukiem upłynęło sześć sekund. Z tego wynikało, że bryg znajdował się o milę i ćwierć od brzegu.

Równocześnie dał się słyszeć głuchy zgrzyt łańcucha przesuwającego się przez kłuzę<sup>6</sup>.

Statek rzucił kotwicę na wprost Granitowego Pałacu.

## ROZDZIAŁ II

*Dyskusje. — Przeczucia. — Propozycja Ayrtona. — Propozycja przyjęta. — Ayrton z Pencroffem na Wysepce Wyzwolenia. — Więźniowie z Norfolk. — Ich plany. — Bohaterski czyn Ayrtona. — Powrót. — Sześciu przeciwko pięćdziesięciu.*

Nie było już najmniejszej wątpliwości co do zamiarów piratów. Zakotwiczyli w pobliżu wyspy i było oczywiste, że zamierzali nazajutrz łodziami wylądować na brzegu.

Cyrus Smith i jego towarzysze byli gotowi na wszystko, przy całej jednak odwadze nie zapominali także o ostrożności. Może uda im się ukryć swoją obecność, jeśli piraci tylko wylądują na brzegu i nie zapuszczą się w głąb wyspy. Możliwe, że mieli zamiar tylko uzupełnić zapasy słodkiej wody z Rzeki Dziękczynienia, a wówczas niewykluczone, że most znajdujący się półtora mili od ujścia rzeki oraz urządzenia w Kominach umkną ich uwadze.

Ale dlaczego wywiesili tę banderę na brygu? Po co ten wystrzał armatni? Mogła to być tylko czysta fanfaronada<sup>7</sup>, lecz mógł to być także znak objęcia wyspy w posiadanie. Cyrus Smith wiedział już teraz, że statek jest dobrze uzbrojony. A czym koloniści Wyspy Lincoln mogli odpowiedzieć na działa piratów? Kilkoma strzelbami.

— Mimo wszystko — zauważył Cyrus Smith — zajmujemy pozycję nie do zdobycia. Nieprzyjaciel nie będzie mógł znaleźć otworu kanału odpływowego, zamaskowanego teraz trzcina i trawą, a tym samym nie uda mu się wtargnąć do Granitowego Pałacu.

— Ale nasze plantacje, ptaszarnia, zagroda i w ogóle wszystko! — zawołał Pencroff, tupiąc nogą. — W kilka godzin mogą to wszystko spustoszyć, zniszczyć.

— Mogą, Pencroffie — odparł Cyrus Smith — i my nie potrafimy im w żaden sposób przeszkodzić.

— Ilu ich jest? Oto pytanie — powiedział na to reporter. — Jeśli nie więcej niż tuzin, zdołamy ich odeprzeć, lecz jeśli ich jest czterdziestu, pięćdziesięciu, a może więcej...

— Panie Smith — powiedział na to Ayrton, podchodząc do inżyniera — chciałbym prosić pana o pozwolenie...

— Na co, przyjacielu?

— Na przedostanie się na statek, żeby rozpoznać, ile ma załogi.

— Ależ, Ayrtonie... — odparł, wahając się, inżynier — ryzykuje pan życie...

— Czemuż by nie, panie Smith?

— To więcej niż pański obowiązek.

— Bo też mam więcej do spełnienia niż tylko obowiązek — odparł Ayrton.

<sup>6</sup>kłuzza — okrągły otwór w burcie statku, przez który przechodzi łańcuch kotwiczny. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>fanfaronada — chępliwość, przechwalanie się odwagą. [przypis edytorski]



— Chce pan podpłynąć czółnem aż do samego statku? — zapytał Gedeon Spilett.  
— Nie, proszę pana, popłynę wplaw. Czółno nie przejdzie tam, gdzie się prześlizgnie człowiek.

— Czy wie pan, że bryg jest pięć o milę i ćwierć od brzegu? — zapytał Harbert.

— Jestem dobrym pływakiem, panie Harbercie.

— Ależ powiadam panu, że ryzykuje pan życie — powiedział po raz drugi inżynier.

— Mniejsza o to — odparł Ayrton. — Panie Smith, proszę pana o to jako o łaskę. Może w ten sposób nabiorę szacunku dla samego siebie.

— Niech pan więc idzie, Ayrtonie — odparł inżynier, czując, że odmowa głęboko dotknęłaby dawnego przestępcę, który teraz został uczciwym człowiekiem.

— Pójdę z panem — powiedział Pencroff.

— Nie dowierzacie mi! — zawołał żywo Ayrton. Po czym dodał pokornie: — Niestety!

— Nie, nie! — szybko odpowiedział inżynier. — Nie, Ayrtonie! Pencroff nie wątpi w pana! Żle pan zrozumiał jego słowa.

— Tak jest — powiedział marynarz. — Proponuję Ayrtonowi, że będę mu towarzyszył do wysepki. Możliwe, choć to mało prawdopodobne, że któryś z tych łotrów już na niej wylądował, a w takim razie przyda się dwóch ludzi, aby mu przeszkodzić w podniesieniu alarmu. Będę czekał na Ayrtona na wysepce, a on sam popłynie na statek, skoro się tego podjął.

Po zapadnięciu decyzji Ayrton natychmiast zaczął się przygotowywać do wyprawy. Jego plan był zuchwały, ale w nocnych ciemnościach mógł się udać. Po dopłynięciu do statku Ayrton, uczepiwszy się want lub sztagów, mógłby zorientować się w ilości ludzi, a może nawet dowiedzieć się o zamiarach piratów.

Ayrton z Pencroffem, odprowadzeni przez resztę towarzyszy, zeszli na brzeg morza. Ayrton zrzucił z siebie ubranie i natarł ciało tłuszczem, aby mniej odczuwać temperaturę wody, która była jeszcze zimna. Należało się liczyć z tym, że będzie musiał w niej pozostać przez kilka godzin.

Pencroff i Nab udali się tymczasem po czółno przycumowane o kilkaset kroków w górze rzeki, a gdy wrócili, Ayrton był już gotowy.

Zarzucono mu koc na plecy, po czym wszyscy koloniści po kolei uścisnęli mu dłoń.

Ayrton z Pencroffem wsiedli do czółna.

Było wpół do jedenastej w nocy, gdy zniknęli w ciemnościach. Reszta towarzyszy udała się do Kominów, aby tam na nich czekać.

Ayrton i Pencroff bez trudu przebyli cieśninę i czółno przybiło do przeciwległego brzegu wysepki. Zachowywali przy tym pewną ostrożność, na wypadek gdyby piraci zaczęli się w tym miejscu. Wkrótce jednak przekonali się, że wysepka była całkiem pusta. Przeszli więc szybko na drugi koniec, płosząc po drodze ptactwo gnieźdzące się po skałach, po czym Ayrton bez wahania rzucił się w morze i cicho, bez najmniejszego plusku popłynął w stronę statku, którego położenie zdradzało kilka niedawno zapalonych świateł.

Pencroff tymczasem ukrył się na brzegu w wydrążeniu skalnym i oczekiwał powrotu towarzysza.

Ayrton silnymi ramionami parł naprzód, nie wywołując najmniejszego hałasu. Głowę ledwie wynurzał z wody, oczy utkwiał w ciemnej bryle brygu, którego światła odbijały się w morzu. Myślał tylko o obowiązku, który przyjął na siebie, i nie zważał na niebezpieczeństwo, na jakie narażał się nie tylko na pokładzie statku, ale i w wodzie, gdyż w tych stronach często pojawiały się rekiny. Unosił go prąd, więc szybko oddalał od brzegu.

Pół godziny później Ayrton, niedostrzeżony i nieusłysznany przez nikogo, podpłynął do statku i chwycił linę bukszprytu<sup>8</sup>. Odetchnął trochę, po czym wspinając się po łańcuchach, dostał się na górę. Tu suszyło się kilka par spodni marynarskich. Włożył jedno z nich i usadowiłszy się, zaczął nasłuchiwać.

Na pokładzie statku nikt nie spał. Przeciwnie. Rozmawiano, śpiewano, śmiano się. Kilka zdań, przeplatanych przekleństwami, zwróciło szczególną uwagę Artona:

— Dobry nabytek, ten nasz bryg!

<sup>8</sup>*bukszpryt* — rodzaj pochylego masztu wystającego przed dziób statku. [przypis edytorski]

- Szybko pływa nasz „Speedy”<sup>9</sup>, nie ma co mówić! Zasluguje na swoją nazwę!
- Cała flota z Norfolk może za nami ruszyć w pościg i nie dopędzi!
- Hurra! Niech żyje nasz dowódca!
- Hurra! Niech żyje Bob Harvey!

Łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarł na Ayrtonie ten dosłyszany urywek rozmowy, gdy się dowiemy się, że Bob Harvey był jednym jego dawnych kompanów w Australii, zuchwałym marynarzem, który kontynuował zbrodniczy plan. Bob Harvey opanował w okolicy wyspy Norfolk bryg pełen broni, amunicji i rozmaitych narzędzi, które miały być przewiezione na jedną z wysp Sandwich<sup>10</sup>. Cała jego banda wsiadła na statek i zamieniwszy się ze skazańców w piratów, nędznicy ci grasowali po Pacyfiku, napadając na statki, mordując załogi, dziksi i okrutniejsi od samych Malajczyków.

Zbrodniarze rozmawiali głośno, przechwalając się swoimi wyczynami i pijąc przy tym bez umiaru. Oto co Ayrton ustalił z ich rozmowy:

Obecna załoga „Speedy’ego” składała się z samych skazańców angielskich zbiegłych z Norfolk.

Co to jest Norfolk?

Na wschód od Australii, pod 29°2’ szerokości południowej i 165°42’ długości wschodniej, leży mała wysepka, mająca sześć mil obwodu, na której wznosi się góra Pitt, o wysokości tysiąca stu stóp nad poziomem morza. To właśnie wyspa Norfolk, gdzie znajduje się zakład karny, w którym odosobniono najbardziej zatwardziały skazańców z więzień angielskich. Jest ich tam około pięciuset, poddanych żelaznej dyscyplinie, pod groźbą najsrozszych kar; strzeże ich zaś stu pięćdziesięciu żołnierzy i stu pięćdziesięciu urzędników pod rozkazami gubernatora. Trudno sobie wyobrazić zbiorowisko okropniejszych zbrodniarzy. Czasami, choć zdarza się to rzadko, pomimo najczujniejszej straży niektórym z nich udaje się uciec, a opanowawszy z zaskoczenia jakiś statek, grasują potem po archipelagach polinezyjskich.

Tak właśnie postąpił Bob Harvey i jego towarzysze. Tak niegdyś chciał zrobić Ayrton. Bob Harvey opanował bryg „Speedy”, stojący na kotwicy koło wyspy Norfolk; załogę zabito i od roku bryg jako statek piracki grasował na Pacyfiku pod dowództwem Harveya, niegdyś kapitana żeglugi dalekomorskiej, a dziś rozbójnika morskiego, dobrze znanego Ayrtonowi.

Większość opryszków zgromadziła się w kajucie oficerskiej na rufie, niektórzy jednak leżeli na pokładzie, głośno rozmawiając ze sobą.

Z rozmów tych, przerywanych głośniejszymi okrzykami i toastami, Ayrton dowiedział się, że „Speedy” znalazł się w okolicach Wyspy Lincolna tylko przypadkiem. Bob Harvey nigdy dotąd na niej nie był, lecz jak to przewidział Cyrus Smith, napotkawszy po drodze nieznaną wyspę, niezaznaczoną na żadnej mapie, postanowił ją odwiedzić i w razie gdyby się do tego nadawała, uczynić z niej bazę i port dla swojego statku.

Wciągnięcie na maszt czarnej bandery i wystrzał z armaty, jak to czynią okręty wojenne w chwili rozwinięcia flagi, były zwykłą fanfaronadą piracką. Nie był to więc żaden sygnał, gdyż dotychczas nie nawiązano żadnych stosunków pomiędzy zbiegami z Norfolk a Wyspą Lincolna.

Tak więc posiadłościom kolonistów zagrażało wielkie niebezpieczeństwo. Oczywiście wyspa ze swymi źródłami słodkiej wody, ze swą małą przystanią, ze swymi różnorodnymi zasobami, które tak umiejętnie wykorzystywali koloniści, ze swymi kryjówkami w głębi Granitowego Pałacu, na pewno odpowiadałaby zbiegom. W ich rękach stałaby się doskonałą kryjówką zbójce, a dzięki temu, że była nieznaną, zapewniałaby im, być może na długi czas, bezpieczeństwo i bezkarność. Oczywiście było też, że nie oszczędziliby kolonistów i że pierwszym krokiem Boba Harveya i jego wspólników byłoby wymordowanie wszystkich bez litości. Cyrus Smith i jego towarzysze nie mieliby nawet możliwości ucieczki i ukrycia się w głębi wyspy, gdyż zbójcy zamierzali osiąść na dobre. Nawet w razie gdyby „Speedy” odpłynął na wyprawę, bez wątpienia część załogi pozostałaby na lądzie.

<sup>9</sup>speedy (ang.) — szybki. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>wyspy Sandwich — daw. nazwa Hawajów, archipelagu w płn. części Pacyfiku, nadana w 1778 przez Jamesa Cooka na cześć ówczesnego szefa marynarki brytyjskiej, Johna Montagu, hrabiego Sandwich. Nazwę Sandwich ten sam odkrywca nadał także bezludnemu atolowi Manuae na płd. Pacyfiku, wyspie Efate na płd. Pacyfiku oraz archipelagowi bezludnych wysp na płd. Atlantyku (Sandwich Południowy). [przypis edytorski]

Trzeba więc było walczyć z nimi, trzeba było co do jednego wytepić tych nędzników, niegodnych litości, przeciwko którym każdy środek byłby dobry i dozwolony.

Tak sądził Ayrton i wiedział, że Cyrus Smith podzielałby jego zapatrywania.

Ale czy opór, a ostatecznie zwycięstwo były możliwe? Zależało to od uzbrojenia brygu i od liczebności jego załogi.

Tego właśnie Ayrton postanowił dowiedzieć się za wszelką cenę. Gdy po godzinie krzyki zaczęły cichnąć i większość zbójców pogrążona już była w pijanym śnie, Ayrton, nie wahając się ani chwili, wyszedł na pokład „Speedy’ego”, gdzie po zgaszeniu latarni panowała całkowita ciemność.

Wdrapał się na dziobnicę i po bukszprycie dotarł na przedni pokład. Przemykając pomiędzy leżącymi tu i ówdzie piratami, obszedł dookoła cały statek i przekonał się, że „Speedy” uzbrojony był w cztery działa, które mogą wyrzucać ośmio- lub dziesięciofuntowe pociski. Dotykając ich, przekonał się, że były to armaty ładowane odtylcowo, a zatem działa nowoczesne, których obsługa jest łatwa, a skutki straszliwe.

Piratów leżących na pokładzie było około dziesięciu, ale prawdopodobnie znacznie więcej musiało spać w środku. Zresztą, z tego, co słyszał, Ayrton ocenił, że na brygu było ich około pięćdziesięciu. Dużo jak na sześciu kolonistów Wyspy Lincolna! Ale przynajmniej dzięki poświęceniu Ayrtona Cyrus Smith nie będzie zaskoczony i znając dokładnie siłę przeciwnika, odpowiednio zaplanuje dalsze działania.

Ayrtonowi nie pozostawało już nic więcej, jak tylko wrócić do towarzyszy i zdać sprawę z wyników misji, której się podjął, toteż zamierzał już wrócić na dziób statku, by tam zsunąć się w morze.

Nagle temu człowiekowi, który, jak sam powiedział, chciał spełnić coś więcej niż obowiązek, przyszedł do głowy bohaterski pomysł. Postanowił poświęcić życie, by ocalić wyspę i kolonistów. Cyrus Smith nie mógł oczywiście stawić oporu pięćdziesięciu dobrze uzbrojonym bandytom, którzy albo wedrą się przemocą do Granitowego Pałacu, albo wezmą obłączonych kolonistów głodem. I wtedy wyobraził sobie swoich zbawców, tych, którzy uczynili go ponownie człowiekiem, i to człowiekiem uczciwym, wymordowanych bez litości, ich pracę zniweczoną, wyspę zamienioną w jaskinię piratów. Powiedział sobie, że koniec końców to on sam jest główną przyczyną całego tego nieszczęścia, ponieważ jego dawny kompan, Bob Harvey, realizuje tylko jego własne projekty. Na tę myśl ogarnęło go uczucie grozy. Owładnęła nim niepokonana chęć wysadzenia w powietrze brygu razem ze wszystkimi na pokładzie. Wiedział, że zginie w tym wybuchu, ale czuł, że spełni swój obowiązek.

Nie wahał się ani chwili. Nietrudno było dostać się do prochowni znajdującej się zwykle na rufie statku. Na statku trudniącym się takim procederem prochu powinno być pod dostatkiem i wystarczy mała iskierka, by w jednej chwili go zniszczyć.

Ayrton ześliznął się ostrożnie na pokład, na którym leżało wielu śpiących, zmorzonych bardziej pijaństwem niż zmęczeniem. U stóp głównego masztu paliła się latarnia, dookoła niego na stojakach wisiała wszelkiego rodzaju broń palna.

Ayrton zdjął ze stojaka rewolwer i upewnił się, że jest nabity i uzbrojony w piston. Tyle wystarczyło do dokonania dzieła zniszczenia. Przekradł się na rufę, aby dostać się pod rufówkę<sup>11</sup>, gdzie powinna znajdować się prochownia.

Trudno było przejść przez pogrążony w niemal całkowitej ciemności pokład, żeby nie potraćić któregoś z nie dość mocno śpiących złoczyńców, którzy odpowiadali przekleństwami i uderzeniami. Parę razy Ayrton musiał się zatrzymać. W końcu dotarł do przepierzenia oddzielającego pomieszczenie na rufie i znalazł drzwi prowadzące do prochowni. Ayrton musiał otworzyć je siłą. Trudno było uniknąć hałasu, gdyż trzeba było ukrećć kłódkę. Ale w potężnej dłoni Ayrtona kłódka pękła i drzwi się otwarły...

W tej samej chwili Ayrton poczuł czyjąś rękę na ramieniu.

— Co tu robisz? — zapytał ostro jakiś wysoki mężczyzna, który wynurzył się z ciemności i oświetlił latarnią twarz Ayrtona.

Ayrton odskoczył w tył. W przelotnym blasku latarni zobaczył swojego dawnego kompana, Boba Harveya. Ale ten, sądząc, że Ayrton już od dawna nie żyje, nie poznał go.

<sup>11</sup>rufówka — nadbudowa na rufie statku, sięgająca od burty do burty. [przypis edytorski]

— Co tu robisz? — zapytał Bob Harvey, chwytając Ayrtona za pasek od spodni.

Ayrton nie odpowiedział ani słowa, silnym pchnięciem odtrącił herszta piratów i usiłował wtargnąć do prochowni. Jeden strzał z rewolweru w środek beczek z prochem i wszystko by się skończyło!...

— Do mnie, chłopcy! — huknął Bob Harvey.

Na ten okrzyk przebudziło się dwóch czy trzech piratów. Zerwali się na nogi i rzuciwszy się na Ayrtona, próbowali go powalić. Silny Ayrton wyrwał się z ich rąk. Zagrzmiąły dwa strzały z rewolweru i dwaj bandyci padli na ziemię; lecz w tej samej chwili pchnięciem noża, którego Ayrton nie mógł się odparować, rozcięło mu ramię.

Zrozumiał, że zdoła już wykonać swojego zamiaru. Bob Harvey zamknął z powrotem drzwi od prochowni, a na pokładzie wszczął się ruch, świadczący o tym, że wszyscy piraci się przebudzili. Ayrton musiał ocalić życie, by móc walczyć przy boku Cyrusa Smitha. Pozostawała mu tylko ucieczka.

Ale ucieczka była jeszcze możliwa? Wątpliwe, lecz Ayrton postanowił próbować wszystkiego, aby tylko powrócić do swych towarzyszy.

Pozostały mu jeszcze cztery kule. Dwie już wystrzelił, w tym jedną w kierunku Boba Harveya, ale albo go wcale nie trafił, albo tylko niegroźnie. Korzystając z chwilowego cofnięcia się nieprzyjaciół, rzucił się do schodów zejściowych, chcąc dostać się na pokład. Przebiegając obok latarni, stukł ją uderzeniem kolby, wskutek czego zapanowała zupełna ciemność, sprzyjająca ucieczce.

W tej chwili dwaj czy trzej obudzeni hałasem piraci schodzili po schodach. Piąty strzał oddany z rewolweru przez Ayrtona zrzucił jednego z nich ze stopni, a reszta rozpierzchła się, nie rozumiejąc, co się dzieje. Ayrton w dwóch susach znalazł się na pokładzie statku, a w trzy sekundy później, wypaliwszy ostatni strzał prosto w twarz pirata, który go chwycił za kark, przeskoczył reling<sup>12</sup> i rzucił się w morze.

Odplłynął zaledwie sześć sążni od statku, gdy posypał się wokół niego grad kul.

Co przeżywał Pencroff, ukryty między skałami na wysepce! Co przeżywali Cyrus Smith, reporter, Harbert i Nab schowani w Kominach, gdy usłyszeli huk strzałów na pokładzie statku! Wybiegli wszyscy na brzeg morza ze strzelbami na ramieniu, gotowi odeprzeć każdy atak.

Nie mieli żadnych wątpliwości. Byli pewni, że Ayrton został schwytyany i zamordowany przez piratów i że nędznicy, korzystając z ciemności, spróbują wylądować na wyspie.

Pół godziny upłynęło w śmiertelnej trwodze. Strzały ucichły, lecz ani Ayrton, ani Pencroff nie powracali. Może piraci zaatakowali wysepkę? Może należało biec na pomoc Ayrtonowi i Pencroffowi? Ale jak? Trwał przypływ i cieśnina była nie do przebycia. Drugiego czołna nie mieli. Można sobie wyobrazić, jak straszliwy niepokój ogarnął Cyrusa Smitha i jego towarzyszy.

Wreszcie wpół do pierwszej po północy do brzegu przybiło czołno z dwoma ludźmi. Byli to Ayrton, lekko ranny w ramię, i Pencroff, zdrow i cały. Przyjaciele przyjęli ich z otwartymi ramionami.

Natychmiast wszyscy schronili się w Kominach. Tu Ayrton opowiedział o wszystkim, co się stało, nie przemilczając także swego zamiaru wysadzenia brygu w powietrze.

Wszyscy wyciągnęli do niego ręce, on zaś nie ukrywał, że ich położenie jest bardzo groźne. Piraci zostali zaalarmowani, wiedzieli już teraz, że Wyspa Lincolnna jest zamieszkała. Wylądują w znacznej liczbie i dobrze uzbrojeni. Nie będą oszczędzać nikogo i niczego. Jeśli koloniści wpadną w ich ręce, niech nie spodziewają się żadnej litości.

— No cóż! Będziemy umieli umrzeć! — powiedział reporter.

— Wróćmy zatem i czuwajmy — odparł inżynier.

— Czy mamy jakąś szansę wyjść z tego cało, panie Cyrusie? — zapytał marynarz.

— Tak, Pencroffie.

— Hm! Sześciu przeciwko pięćdziesięciu!

— Tak! Sześciu!... Nie licząc...

— Kogo? — zapytał Pencroff.

Cyrus zamiast odpowiedzi wskazał tylko ręką na niebo.

<sup>12</sup>reling — barierka ochronna biegnąca wokół pokładu statku, zabezpieczająca przed wypadnięciem za burtę ludzi i przedmiotów, zbudowana ze słupków połączonych prętami, rurkami lub linami. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ III

*Mgła się podnosi. — Zarządzenia inżyniera. — Trzy posterunki. — Ayrton i Pencroff. — Pierwsza łódź. — Dwie następne. — Na wysepce. — Sześciu łotrów ląduje. — Statek podnosi kotwicę. — Pociski ze „Speedy’ego”. — Rozpaczliwa sytuacja. — Niespodziewane rozwiązanie.*

Noc upłynęła bez żadnego zdarzenia. Koloniści byli ciągle w pogotowiu, nie opuszczając Kominów. Piraci ze swej strony nie próbowali lądować. Od chwili, gdy przebrzmiały ostatnie strzały za Ayrtonem, żaden huk, żaden hałas nie zdradzał obecności brygu w pobliżu wyspy. Można by pomyśleć, że piraci w przekonaniu, że mają do czynienia ze zbyt silnym nieprzyjacielem, podnieśli kotwicę i opuścili te strony.

Sprawy miały się jednak inaczej i gdy zaczęło świtać, koloniści ujrzeli w porannej mgłę jakiś niewyraźny kształt. Był to „Speedy”.

— Przyjaciele — powiedział wtedy inżynier — sądzę, że powinniśmy podjąć odpowiednie przygotowania, zanim mgła całkiem się podniesie. Na razie ukrywa nas przed oczyma piratów, możemy więc działać, nie zwracając na siebie ich uwagi. Przede wszystkim trzeba w tych opryszkach wzbudzić przekonanie, że mieszkańcy wyspy są liczni, a tym samym zdolni stawić im opór. Proponuję zatem, abyśmy się podzielili na trzy grupy, z których jedna zajmie stanowisko w samych Kominach, a druga przy ujściu Rzeki Dziękczynienia. Co do trzeciej grupy, najlepiej będzie umieścić ją na wysepce, żeby jeśli nie wstrzymała, to przynajmniej opóźniła wylądowanie tam piratów. Mamy do dyspozycji dwa karabiny i cztery strzelby. Każdy z nas będzie zatem uzbrojony, a ponieważ mamy pod dostatkiem prochu i kul, nie będziemy oszczędzali strzałów. Nie musimy się obawiać ani ich ręcznej broni, ani nawet armat. Cóż one zrobią tym skałom? Ponieważ nie będziemy strzelali z okien Granitowego Pałacu, więc piratom nie przyjdzie na myśl, żeby posyłać tam pociski, które mogłyby wyrządzić niepowetowane straty. Najbardziej należy się obawiać walki wręcz, ponieważ mają znaczną przewagę liczebną. Trzeba więc przede wszystkim przeciwdziałać każdej próbie wylądowania, nie odsłaniając się jednak. A zatem nie oszczędzajmy amunicji. Strzelajmy często, ale strzelajmy celnie. Na każdego z nas przypada ośmiu do dziesięciu wrogów do zabicia, więc niech stara się ich zabić!

Cyrus Smith dokładnie określił sytuację, a mówił to wszystko głosem tak spokojnym, jak gdyby chodziło o pokierowanie jakąś pracą, a nie o planowanie bitwy. Towarzysze w milczeniu przyjęli jego dyspozycje. Pozostało tylko zająć natychmiast wskazane stanowiska, zanim mgła zupełnie się rozproszy.

Nab i Pencroff udali się natychmiast do Granitowego Pałacu i przynieśli odpowiednią ilość amunicji. Gedeon Spilett i Ayrton, obaj wyborni strzelcy, dostali dwa precyzyjne karabiny, które niosły na miłę. Pozostałe cztery strzelby rozdzielono między Cyrusa Smitha, Naba, Pencroffa i Harberta.

Posterunki obsadzono w następujący sposób:

Cyrus Smith z Harbertem ukryli się w Kominach, skąd mogli ostrzeliwać całe wybrzeże w dość szerokim promieniu.

Gedeon Spilett z Nabem ukryli się pomiędzy skałami u ujścia Rzeki Dziękczynienia, na której podniesiono wszystkie mosty i mostki. Mieli za zadanie udaremnić przeprawienie się łodzią i wylądowanie na przeciwległym brzegu.

Ayrton z Pencroffem zepchnęli czółno na wodę, aby przepłynąć cieśninę i zająć dwa oddzielne posterunki na wysepce. W ten sposób odzywające się z czterech różnych punktów strzały podsuwałyby piratom przekonanie, że wyspa jest gęsto zaludniona i dobrze broniona. Na wypadek gdyby Ayrtonowi i Pencroffowi nie udało się przeszkodzić wylądowaniu piratów lub gdyby groziło im odcięcie przez jakąś łódź wysłaną z brygu, mieli powrócić czółnem na wyspę i pospieszyć w najbardziej zagrożone miejsce.

Przed udaniem się na posterunki koloniści po raz ostatni uściskali sobie dłonie. Pencroff ledwie zapanował nad wzruszeniem, gdy ścisnął Harberta, swoje dziecko... i tak się rozstali.

W chwilę później Cyrus Smith z Harbertem z jednej strony, a reporter z Nabem z drugiej zniknęli między skałami, a w pięć minut potem Ayrton z Pencroffem, przepły-

nąwszy szczęśliwie cieśninę, wylądowali na wysepce i ukryli się w rozpadlinach skalnych na wschodnim brzegu.

Żadnego z nich nie można było zobaczyć, gdyż oni sami ledwo rozróżniali bryg majaczący we mgle.

Było wpół do siódmej rano.

Wkrótce mgła w górze stopniowo się rozrzedziła i z oparów wynurzyły się szczyty masztów brygu. Jeszcze przez kilka chwil wielkie kłęby mgły przetaczały się po powierzchni morza, po czym zerwał się wiatr i szybko je rozproszył.

„Speedy” ukazał się w całej okazałości, stojący na dwóch kotwicach, dziobem zwrócony na północ, a lewą burtą do wyspy. Tak jak oszacował Cyrus Smith, znajdował się nie dalej niż o milę i ćwierć od brzegu. Powiewała na nim złowieszcza, czarna bandera.

Inżynier dostrzegł przez lunetę, że cztery działa stanowiące uzbrojenie statku wymierzone były prosto w wyspę. Były gotowe na pierwszy znak dać ognia.

Na razie jednak „Speedy” milczał. Na pokładzie krążyło ze trzydziestu piratów. Kilku z nich poszło na rufę, dwaj inni, siedząc na rei bramsła, uważnie śledzili wyspę przez lunety.

Z pewnością Bob Harvey i jego kamraci nie bardzo potrafili zdać sobie sprawę z tego, co wydarzyło się w nocy na pokładzie brygu. Czy ten na pół nagi człowiek, który chciał wylamać drzwi do prochowni, z którym walczyli, który sześć razy wypalił do nich z rewolweru, który jednego z nich zabił, a dwóch innych ranił, czy ten człowiek zdołał uciec przed ich kulami? Czy udało mu się wrócić wpław na brzeg? Skąd się wziął? Po co przyszedł na statek? Czy rzeczywiście miał zamiar wysadzić statek w powietrze, jak to przypuszczał Bob Harvey? Wszystko to było dla zbójców niezrozumiałe. Nie mogli tylko wątpić, że ta nieznaną wyspą, u brzegów której zakotwiczył „Speedy”, była zamieszka-  
na, może nawet przez liczną kolonię gotową do jej obrony. Jednak ani na wybrzeżu, ani na nadbrzeżnych wzgórzach nie było widać żywej duszy. Wybrzeże wydawało się całkiem bezлюдne. W każdym razie nie było widać ani śladu domostwa. Czyżby mieszkańcy schronili się w głębi wyspy?

Takie pytania musiał sobie zadawać herszt piratów i bez wątpienia jako człowiek przeczorny chciał wprerw rozpoznać sytuację, zanim wysadzi na ląd swoją bandę.

Upłynęło półtorej godziny, a na pokładzie brygu nie widać było żadnych przygotowań do ataku ani do wylądowania. Widocznie Bob Harvey się wahał. Przez najlepsze lunety nie mógł dostrzec żadnego z kolonistów ukrytych między skałami. Jego uwagi nie zwróciła też kotara z zielonych gałęzi i lian zasłaniająca okna Granitowego Pałacu i dziwnie odcinająca się od nagiej skały. Jak mógłby sobie wyobrazić, że na takiej wysokości we wnętrzu litego granitowego masywu wykuto mieszkanie? Począwszy od Przylądka Szponu aż po Przylądek Szczęki, wzdłuż całej Zatoki Stanów Zjednoczonych, nie mógł dostrzec żadnych śladów, że wyspa była lub jest zamieszkała przez ludzi.

Wreszcie około ósmej koloniści zauważyli pewien ruch na pokładzie „Speedy’go”. Zaczęto ciągnąć na blokach łodzie i jedną z nich spuszczone na wodę. Wsiadło do niej siedmiu ludzi uzbrojonych w strzelby. Jeden z nich zasiadł przy sterze, czterech przy wiosłach, a dwaj pozostali, przykucnąwszy na dziobie, gotowi do strzału obserwowali wyspę. Niewątpliwie ich celem było dokonanie wstęp nego rozpoznania, gdyż w przypadku lądowania zapewne byłoby ich więcej.

Piraci siedzący na masztach aż po reje bramsła mogli łatwo dostrzec, że wybrzeże osłania wysepka, oddzielona od niego cieśniną szerokości mniej więcej pół mili. Wkrótce Cyrus Smith, śledząc bieg łodzi, zauważył, że piraci przed wpłynięciem do cieśniny chcieli najpierw wylądować na wysepce, co było zresztą z ich strony zrozumiałą ostrożnością.

Pencroff i Ayrton, ukryci każdy z osobna w ciasnych rozpadlinach skalnych, zobaczyli łódź z piratami płynącą wprost do nich i czekali, aż się zbliży na odległość strzału.

Łódź zbliżała się bardzo ostrożnie. Wiosła zanurzały się w wodzie w długich odstępach czasu. Można było zauważyć, że jeden z siedzących na dziobie łotrów trzymał w ręku sondę i starał się zmierzyć głębokość łożyska wyzłobionego przez prąd Rzeki Dziękczynienia. Znaczyło to, że Boba Harvey miał zamiar podpłynąć brygiem jak najbliżej brzegu. Około trzydziestu piratów, ucze piwszy się want, śledziło każdy ruch łodzi i wyszukiwało szczegóły wybrzeża, które pozwoliłyby na bezpieczne lądowanie.

Łódź zbliżyła się na dwa kable do wysepki i zatrzymała się. Człowiek siedzący u steru szukał najdogodniejszego miejsca do wylądowania.

Nagle zagrzmiały jednocześnie dwa strzały. Ponad skałami wysepki uniósł się lekki dymek. Sternik i człowiek z sondą upadli na wznak do łodzi. Kule Ayrtona i Pencroffa dosięgły ich obu w tym samym momencie.

Prawie równocześnie rozległ się silniejszy huk. Z boku brygu buchnął kłęb dymu i pocisk uderzył w szczyty skał osłaniających Ayrtona i Pencroffa, roztrzaskując je na kawałki, jednak strzelcy nie odnieśli szwanku.

Łódź, z której rozlegały się straszliwe przekleństwa, natychmiast ruszyła dalej. Sternika zastąpił jeden z kamratów i wiosła żwawo zapluskwały w wodzie. Zamiast jednak zawrócić do statku, jakby się można było spodziewać, łódź popłynęła wzdłuż wysepki, tak aby okrążyć ją od południowego cypla. Piraci wiosłowali z całych sił, żeby jak najprędzej znaleźć się poza zasięgiem strzałów. W ten sposób zbliżyli się na odległość pięciu kabli od wklęsłej części wybrzeża zakończonej Cyplem Znaleziska, a opłynąwszy go półkolem, pod ciągłą osłoną dział brygu, skierowali się do ujścia Rzeki Dziękczynienia.

Było jasne, że mają zamiar wpłynąć od tej strony do cieśniny i odciąć drogę kolonistom znajdującym się na wysepce, którzy w ten sposób, niezależnie od tego, ilu ich było, zostaliby wzięci w dwa ognie — z łodzi i z brygu — co postawiłoby ich w bardzo niekorzystnym położeniu.

Upłynął kwadrans, a łódź cały czas posuwała się w tym samym kierunku. W powietrzu i na morzu panowała zupełna cisza i spokój.

Pencroff i Ayrton, chociaż wiedzieli, że narażają się na odcięcie, nie opuścili swoich posterunków, częściowo dlatego, że nie chcieli się jeszcze pokazywać napastnikom i wystawiać się na strzały armatnie „Speedy’ego”, częściowo zaś, ponieważ liczyli na Naba i Gedeona Spiletta, zaczajonych przy ujściu rzeki, i na Cyrusa Smitha i Harberta, ukrytych wśród skał Kominów.

W dwadzieścia minut od chwili, gdy padły pierwsze strzały, łódź z piratami była już tylko niespełna o dwa kable od Rzeki Dziękczynienia. Ponieważ zaczął się właśnie przypływ, jak zwykle gwałtowny w tym wąskim miejscu między brzegami, piraci poczuli, że prąd wody wciąga ich do rzeki, i tylko wiosłując z całych sił zdołali utrzymać się pośrodku cieśniny. Lecz gdy zbliżyli się na odległość strzału do ujścia Rzeki Dziękczynienia, powitały ich dwie kule i dwóch z nich padło na dno łodzi. Nab i Spilett nie chybili.

Z brygu natychmiast wysłano drugi pocisk w miejsce, które zdradzał dym wystrzałów, ale wyszczerbił tylko skały.

W tej chwili w łodzi zostało tylko trzech mężczyzn zdolnych do walki. Porwana prądem, pomknęła cieśniną jak strzała, minęła Cyrusa Smitha i Harberta, którzy widząc, że strzał byłby niepewny, powstrzymali się i przepuścili ją. Łódź, opłynąwszy północny cypel wysepki siłą pozostałych jeszcze dwóch wiosł, skierowała się do brygu.

Jak dotąd koloniści nie mieli powodu do narzekań. Pierwsze starcie wypadło niekorzystnie dla wrogów, którzy mieli już czterech ciężko rannych, a może nawet zabitych, podczas gdy koloniści wyszli bez szwanku i nie zmarnowali ani jednego strzału. Gdyby piraci w dalszym ciągu atakowali ich w ten sposób, gdyby ponawiali próby wylądowania łodzią, można by ich wystrzelać jednego po drugim.

Okazało się teraz, jak słuszne były zarządzenia inżyniera. Piraci mogli uwierzyć, że mają do czynienia z liczny i dobrze uzbrojonym przeciwnikiem i że nie łatwo dadzą sobie z nim radę.

Upłynęło pół godziny, zanim łódź, walcząca z silnym prądem morza, dobiła do brygu. Rozległy się straszliwe krzyki, gdy wynoszono rannych na pokład, oddano jeszcze trzy czy cztery strzały armatnie, oczywiście bez żadnego skutku.

Wówczas jednak dwunastu innych zbójców, oszołomionych wściekłością, a może i wczorajszą pijatyką, rzuciło się do łodzi. Zaraz potem spuszczone na wodę także drugą łódź, do której wsiadło ośmiu ludzi. Podczas gdy pierwsza skierowała się prosto na wysepkę, aby wyprzeć z niej kolonistów, druga manewrowała tak, żeby opanować ujście Rzeki Dziękczynienia.

Sytuacja stawała się bardzo groźna dla Pencroffa i Ayrtona. Zrozumieli, że muszą powrócić na wyspę.

Zaczekali jednak, aż pierwsza łódź zbliży się na odległość strzału, a wtedy dwie celnie wymierzone kule sprawiły popłoch wśród jej załogi. Następnie Pencroff i Ayrton porzucili posterunki, wśród gradu kul pobiegli co tchu przez wysepkę, wskoczyli do czółna, przepłynęli cieśninę w chwili, gdy druga łódź piracka dotarła do południowego cypla, po czym schronili się w Kominach.

Ledwie dołączyli do Cyrusa Smitha i Harberta, piraci z pierwszej łodzi wylądowali na wysepce i rozbiegli się we wszystkich kierunkach.

Niemal w tym samym momencie przy ujściu Rzeki Dziękczynienia, do którego szybko zbliżała się druga łódź z piratami, zagrzmiały nowe strzały. Na ośmiu ludzi, którzy stanowili jej załogę, dwóch zostało śmiertelnie ranionych przez Gedeona Spiletta i Naba, a sama łódź, pędzona niepowstrzymaną siłą na skały, rozbiła się przy ujściu Rzeki Dziękczynienia. Sześciu pozostałych przy życiu zbrodniarzy, unosząc broń nad wodę, by ją uchronić od zamoczenia, zdołało wdrapać się na prawy brzeg rzeki. Potem, widząc, że są zbyt narażeni na kule, puścili się pędem w kierunku Cypla Znaleziska, poza zasięg strzałów.

Sytuacja wyglądała więc następująco: na wysepce znajdowało się dwunastu opryszków, w tym z pewnością kilku rannych, ale nadal mieli do dyspozycji łódź; na wyspie wylądowało wprawdzie sześciu, ale ci nie byli w stanie dotrzeć do Granitowego Pałacu, gdyż nie mogli się przedostać na drugi brzeg rzeki, na której podniesiono wszystkie mosty.

— Doskonale idzie! — powiedział Pencroff, wbiegając do Kominów. — Doskonale idzie, panie Cyrusie! A pan jak myśli?

— Myślę — odparł inżynier — że walka przybierze teraz inny obrót, bo nie można posądzać piratów o tak wielki nierozsądek, żeby chcieli ją dalej prowadzić w tak niekorzystnych dla siebie warunkach.

— W każdym razie nie przedostaną się przez cieśninę — powiedział marynarz. — Karabiny Ayrtona i Spiletta ich powstrzymają. Wie pan, że niosą na miłę!

— Niewątpliwie — odparł Harbert — ale co znaczą dwa karabiny przeciwko armatom brygu?

— Cóż, wydaje mi się, że bryg jeszcze nie jest w cieśninie — odparł Pencroff.

— A jeśli wejdzie do cieśniny? — zapytał Cyrus Smith.

— Niemożliwe, gdyż ryzykowałby, że osiadzie na mieliźnie, a to byłoby dla niego zgubą.

— Jednak to możliwe — odparł Ayrton. — Piraci mogą skorzystać z przypływu, żeby wejść do cieśniny, choćby nawet podczas odpływu osiedli na mieliźnie. Wtedy pod ostrzałem z armat nie damy rady utrzymać się na posterunkach.

— Do kroćset diabłów! — zawołał Pencroff — Wygląda na to, że te lotry przygotowują się do podniesienia kotwicy!

— Może będziemy zmuszeni schronić się do Granitowego Pałacu? — zauważył Harbert.

— Zaczekajmy jeszcze — odparł Cyrus Smith.

— Ale Nab i Spilett?... — zapytał Pencroff.

— Zdołają do nas dołączyć w odpowiednim czasie. Niech pan będzie w pogotowiu, Ayrtonie. Teraz kolej na wasze karabiny, pana i Spiletta.

Przypuszczenie Cyrusa wydawało się sprawdzać. „Speedy” obrócił się na kotwicy i wyglądało na to, że zamierza zbliżyć się do wysepki. Przypływ miał trwać jeszcze półtorej godziny, a ponieważ prąd rzeki już był przelamany, więc brygiem łatwo było manewrować. Mimo to Pencroff, wbrew opinii Ayrtona, nie przypuszczał, aby bandyci ośmielili się wprowadzić statek do cieśniny.

Tymczasem piraci, którzy opanowali wysepkę, stopniowo zbliżali się do przeciwnego brzegu, tak że od wyspy oddzielała ich tylko cieśnina. Uzbrojeni tylko w strzelby, nie mogli nic złego zrobić kolonistom ukrytym bądź w Kominach, bądź przy ujściu Rzeki Dziękczynienia. Nie wiedząc jednak, że przeciwnicy posiadają dalekonośne karabiny, sądzili, że nic im nie grozi. Nie kryjąc się wcale, kręcili się po wysepce i podchodzili do samego brzegu.



Ich złudzenia nie trwały długo. Karabiny Ayrtona i Gedeona Spiletta przemówiły nagle i musiały zapewne coś nieprzyjemnego powiedzieć dwóm zbrodniarzom, bo od razu padli na ziemię.

Wtedy wybuchł ogólny popłoch. Pozostali bandyci, nie zabrawszy nawet ze sobą swoich rannych i zabitych kamratów, uciekli co tchu na drugi brzeg wysepki, powskakiwali do łodzi, którą przy płynęli, i wiosłując co sił popłynęli w stronę statku.

— Ośmiu mniej! — zawołał Pencroff. — Doprawdy jakby pan Spilett i Ayrton umawiali się, żeby strzelać jednocześnie!

— Panowie — odparł Ayrton, ładując ponownie karabin — rzecz sytuacja staje się groźniejsza. Bryg szykuje się, żeby ruszyć!

— Podnoszą kotwicę!... — zawołał Pencroff.

— Tak, już ją wciągają.

Słychać było wyraźnie szczęk łańcucha i zgrzyt windy. „Speedy” najpierw szarpnął się na kotwicy, a gdy ją wyciągnięto z dna, zaczęło go znosić w stronę brzegu. Wiał wiatr od morza. Rozwinięto fok oraz mały marsel i statek powoli zbliżał się do lądu.

Z posterunków przy ujściu Rzeki Dziękczynienia i w Kominach śledzono manewry statku, nie dając znaku życia, ale z pewnym niepokojem. Sytuacja kolonistów stawała się straszna: byłiby wystawieni na bliski ogień armat brygu, nie mogąc skutecznie odpowiedzieć. Jak mogliby wtedy powstrzymać piratów przed wylądowaniem?

Cyrus Smith dobrze to rozumiał i zastanawiał się, co można zrobić. Wkrótce trzeba będzie podjąć jakąś decyzję. Ale jaką? Zamknąć się w Granitowym Pałacu, dać się oblegać tygodniami, nawet całymi miesiącami, gdyż żywności mieli pod dostatkiem? Dobrze, ale co potem? Piraci i tak opanowaliby całą wyspę, spustoszyliby ją do woli, a wreszcie z czasem zmusiliby oblężonych do poddania się.

Była jeszcze jedna szansa: gdyby Bob Harvey nie odważył się wprowadzić statku do cieśniny i zakotwiczył poza wysepką. Wówczas będzie oddalony pół mili od wybrzeża, a z tej odległości strzały armatnie być może nie wyrządzą zbyt wielkich szkód.

— Nie, nigdy, przenigdy! — powtarzał Pencroff. — Bob Harvey, jeśli jest dobrym marynarzem, nigdy nie wejdzie do cieśniny! Przecież wie, że w przypadku niepogody naraziłby statek na zgubę! A co by zrobił bez statku?

Tymczasem jednak statek zbliżył się do wysepki i widać było, że sterował w stronę niższego krańca. Wiatr wiał łagodny, a ponieważ prąd znacznie osłabł, więc Bob Harvey mógł kierować statkiem, jak chciał.

Trasa, którą płynęły wysłane wcześniej łodzie, pozwoliła mu zorientować się w wodach cieśniny, toteż śmiało wprowadzał do niej bryg. Jego plan był aż nadto widoczny: chciał zakotwiczyć statek przed Kominami i stamtąd odpowiadać pociskami na kule, które do tej pory zdziesiątkowały mu załogę.

„Speedy” niebawem dotarł do cypla wysepki i okrążył go bez trudu. Wówczas rozpięto grot i bryg, płynąc z wiatrem, znalazł się wkrótce naprzeciw ujścia Rzeki Dziękczynienia.

— Bandyci! Płyną tu! — zawołał Pencroff.

W tej chwili do Cyrusa Smitha, Ayrtona, marynarza i Harberta dołączyli Nab i Gedeon Spilett.

Reporter i jego towarzysz uznali za stosowne porzucić swój posterunek przy ujściu Rzeki Dziękczynienia, skąd nie mogli nie więcej działać przeciw statkowi. Postąpili mądrze, gdyż lepiej było, aby koloniści trzymali się razem w chwili, gdy bez wątplenia dojdzie do rozstrzygającej walki. Gedeon Spilett i Nab przybiegli chyłkiem, kryjąc się za skałami, wśród gradu kul, z których jednak żadna ich nie tknęła.

— Spilecie! Nabie! — zawołał inżynier. — Nie jesteście ranni?

— Nie — odparł reporter — tylko kilka siniaków od rykoszetów! Ale ten przeklęty bryg płynie prosto do cieśniny!

— Tak — odparł Pencroff — za dziesięć minut rzuci kotwicę na wprost Granitowego Pałacu!

— Czy ma pan jakiś plan, Cyrusie? — zapytał reporter.

— Musimy się schronić w Granitowym Pałacu, dopóki jeszcze czas i bandyci nas nie dostrzegli.

— Też tak sędzę — odparł Gedeon Spilett — ale gdy się tam zamkniemy...

— Wówczas będziemy działać stosownie do okoliczności — odparł inżynier.

— A zatem w drogę, spieszmy się! — powiedział reporter.

— Nie chciałby pan, panie Cyrusie, żebym tutaj został z Ayrtonem? — zapytał marynarz.

— Po co? — odparł Cyrus Smith. — Nie, Pencroffie. Nie rozłączajmy się!

Nie było chwili do stracenia. Koloniści opuścili Kominy. Niewielki załom granitowej ściany zasłaniał ich przed wzrokiem załogi brygu, ale dwa czy trzy wystrzały i łoskot kul roztrzaskujących skały dały im znać, że „Speedy” jest już niedaleko.

W jednej chwili wskoczyli do windy, podciągnęli się do drzwi Granitowego Pałacu, gdzie Top z Jupem siedzieli zamknięci od wczoraj, i wpadli do głównej sali.

Schronili się w samą porę: przez gałęzie zasłaniające okna Granitowego Pałacu ujrzeli, jak otoczony kłębam dymu „Speedy” wpływa do cieśniny. Musieli nawet usunąć się na bok, ponieważ strzelano bez przerwy, a pociski armatnie waliły na ślepo to w opuszczony posterunek przy ujściu Rzeki Dziękczynienia, to w Kominy. Od pocisków pękały skały, a każdemu wystrzałowi towarzyszyły dzikie okrzyki radości.

Można jednak było mieć nadzieję, że Granitowy Pałac uniknie zniszczeń dzięki zapobiegliwości Cyrusa Smitha, który nakazał zamaskowanie okien, gdy nagle pocisk przeleciał przez otwór wejściowy i wpadł na korytarz.

— Przekleństwo! Odkryli nas! — zawołał Pencroff.

Możliwe, że bandyci nie zauważyli kolonistów, ale z pewnością Bob Harvey uznał, że należy wysłać pocisk między podejrzone gałęzie, zasłaniające część wysokiej granitowej ściany. Wkrótce zdwoił ostrzał, gdy następny pocisk przedarł kotarę z zieleni i odsłonił obszerny otwór zięjący w skale.

Sytuacja kolonistów była rozpaczliwa. Odkryto ich schronienie. Nie byli w stanie przeciwstawić się pociskom ani zabezpieczyć granitowego muru, którego odłamki latały dookoła. Nie zostawało im nic innego, jak tylko schronić się do górnego korytarza i zostawić mieszkanie na spustoszenie. Wtem usłyszeli głuchy huk, a po nim straszliwe krzyki!

Cyrus Smith i jego towarzysze rzucili się do okien.

Bryg, uniesiony w górę, jak gdyby przez trąbę wodną, właśnie przełamał się na pół i w niespełna dziesięć sekund fale morskie pochłonęły go wraz z całą jego zbrodniczą załogą.

## ROZDZIAŁ IV

*Na wybrzeżu. — Ayrton i Pencroff ratują szczątki. — Rozmowa przy śniadaniu. — Rozmowa Pencroffa. — Dokładne oględziny kadłuba brygu. — Prochownia nienaruszona! — Nowe skarby. — Ostatnie szczątki. — Kawatek rozerwanego cylindra.*

— Wylecieli w powietrze! — zawołał Harbert.

— Rzeczywiście, zupełnie jakby Ayrton podpalił prochownię! — odparł Pencroff, wskakując do windy równocześnie z Nabem i Harbertem.

— Ale co się stało? — zapytał Gedeon Spilett, nie mogąc jeszcze ochłonąć ze zdumienia, w jakie wprawilo go niespodziewane zakończenie walki.

— Ach, tym razem się dowiemy! — odparł żywo inżynier.

— Czego się dowiemy?

— Później, później! Teraz chodźmy, Spilecie. Najważniejsze, że piraci zostali wytopieni do nogi!

Po tych słowach Cyrus Smith pociągnął za sobą reportera i Ayrtona i pospieszył w ślad za Pencroffem, Nabem i Harbertem na wybrzeże.

Bryg zniknął pod wodą, nie było widać nawet masztów. Gdy został uniesiony przez trąbę morską, położył się na boku i w tej pozycji zatonął, zapewne wskutek jakiejś ogromnej wyrwy. Ponieważ jednak w tym miejscu cieśnina miała nie więcej niż dwadzieścia stóp głębokości, nie ulegało zatem wątpliwości, że burty zatopionego statku wynurzą się w czasie odpływu.

Na powierzchni morza pływały rozmaite szczątki: zapasowe maszty i reje, klatki z żywym jeszcze drobiem, skrzynie i beczułki, które stopniowo wypływały na powierzchnię

przez luki. Nie widać było jednak żadnych szczątków samego statku, ani desek z pokładu, ani poszycia kadłuba, tak że nagle zatonięcie „Speedy’ego” stawało się jeszcze bardziej zagadkowe.

Wkrótce jednak oba maszty, które złamały się o kilka stóp ponad pokładem, zrywając wanty i sztagi, wypłynęły na powierzchnię razem z żaglami, z których jedno było rozwinięte, a inne ściągnięte. Nie można było pozwolić, żeby odpływ porwał te wszystkie skarby, toteż Ayrton i Pencroff wskoczyli natychmiast do czółna, by przyholować pływające przedmioty bądź do brzegu wyspy, bądź do wysepki.

Gdy już mieli odbijać, powstrzymała ich uwaga Gedeona Spiletta:

— A tych sześciu złoczyńców, którzy wylądowali na prawym brzegu Rzeki Dziękczynienia?

Istotnie, nie wolno było zapominać, że sześciu ludzi, których łódź roztrzaskała się o skały, wyszło na ląd w pobliżu Cypla Znaleziska.

Koloniści spojrzeli w tę stronę, ale nigdzie nie dostrzegli żadnego ze zbiegów. Prawdopodobnie na widok tonącego brygu wszyscy uciekli w głąb wyspy.

— Zajmiemy się nimi później — powiedział Cyrus Smith. — Mogą być jeszcze niebezpieczni, bo są dobrze uzbrojeni, ale w końcu sześciu przeciwko sześciu, szanse są równe. Zabierzmy się teraz za to, co pilniejsze.

Ayrton z Pencroffem popłynęli szybko w stronę pływających po morzu szczątków.

Morze było spokojne, a stan wody bardzo wysoki, gdyż od dwóch dni trwał nów. Wrak brygu mógł wynurzyć się spod wody nie wcześniej niż za godzinę.

Ayrton i Pencroff mieli dość czasu, by przymocować maszty i belki za pomocą lin, których końce wyrzucono na wybrzeże pod Granitowym Pałacem. Tam koloniści wspólnymi siłami przyciągnęli je do brzegu. Po czym pozbierano do czółna wszystkie inne przedmioty pływające po wodzie, jak klatki z drobiem, beczułki i skrzynie. Wszystko to od razu przeniesiono do Kominów.

Na wodzie pływało też kilka ciał piratów. Ayrton rozpoznał wśród nich zwłoki Boba Harveya i wskazując je swemu towarzyszowi, powiedział wzruszonym głosem:

— Oto kim byłem, Pencroffie!

— Ale kim dziś już pan nie jest, Ayrtonie! — odparł marynarz.

Wydawało się bardzo dziwne, że na powierzchnię wypłynęło tak mało ciał. Było ich tylko pięć czy sześć, a odpływ już unosił je na otwarte morze. Prawdopodobnie zaskoczeni nagłą katastrofą piraci nie mieli czasu na ucieczkę, a gdy statek przewalił się na bok, większość pozostała pod nadburciem. Morze, unosząc zwłoki tych nędzników, zaoszczędziło kolonistom smutnego obowiązku pogrzebania ich w jakimś zakątku wyspy.

Przez dwie godziny Cyrus Smith i jego towarzysze zajęci byli wyłącznie wyciąganiem masztów na nadbrzeżny piasek, odczepianiem rei i wyciąganiem na ląd żagli, zresztą nie-naruszonych. Rozmawiali niewiele, bo praca całkowicie ich zaprzętała, ale ile myśli krążyło im po głowach! Bryg, albo raczej to, co się na nim znajdowało, stanowiło dla nich prawdziwy skarb. Każdy statek jest jakby małym światem, toteż dobytek kolonii powiększył się o wiele pożytecznych rzeczy. Było to jakby wielkim odpowiednikiem skrzyni znalezionej na Cyplu Znaleziska.

„A właściwie — myślał Pencroff — dlaczego by nie wydobyć brygu z wody i go naprawić? Jeśli ma tylko jedną dziurę, to przecież można ją zatkać, a bryg o wyporności trzystu do czterystu ton to prawdziwy statek w porównaniu z „Bonawenturą”! Takim statkiem można daleko popłynąć. Można nim dopłynąć, dokąd się chce! Musimy razem z panem Cyrusem i Ayrtonem dokładnie zbadać tę sprawę! Dalibóg, warto!”

Rzeczywiście, gdyby bryg nadawał się jeszcze do żeglugi, to szanse kolonistów Wyspy Lincolna na powrót do ojczyzny znacznie by wzrosły. Jednak aby móc rozstrzygnąć tę ważną kwestię, trzeba było poczekać na odpływ, gdyż dopiero wtedy będzie można dokładnie zbadać każdą część kadłuba statku.

Gdy już wszystkie wydobyte przedmioty zostały bezpiecznie złożone na plaży, Cyrus Smith i jego towarzysze poświęcili kilka chwil na zjedzenie śniadania. Dosłownie umierali z głodu. Na szczęście niedaleko była spiżarnia, a Nab był doskonałym kuchmistrem. Posilono się w pobliżu Kominów, a podczas jedzenia nie rozmawiano oczywiście o niczym innym, tylko o niespodziewanym zdarzeniu, które w tak cudowny sposób ocaliło kolonię.

— „Cudowny” to właściwe słowo — powtarzał Pencroff — bo trzeba przyznać, że te łajdaki wyleciały w powietrze w odpowiednim momencie! W Granitowym Pałacu zaczęło już być dziwnie niewygodnie.

— A jak pan sądzi, Pencroffie — zapytał reporter — w jaki sposób to wszystko się stało i co mogło spowodować ten wybuch?

— Cóż, panie Spilecie, to bardzo proste — odparł Pencroff. — Na statku pirackim nie na takiego porządku jak na okręcie wojennym. Zbiegli skazańcy to nie marynarze. Z pewnością prochownia była otwarta, bo strzelali do nas bez ustanku, a wystarczy jeden nieostrożny czy niezgrabny człowiek, aby cały statek wyleciał w powietrze.

— Najbardziej mnie dziwi, panie Cyrusie — odezwał się Harbert — że ten wybuch nie spowodował znacznie większych skutków. Detonacja nie była głośna, a na wodzie pływa niewiele rozerwanego drewna i desek. Wygląda na to, że statek raczej zatonął, niż został wysadzony.

— To cię dziwi, mój chłopcze? — zapytał inżynier.

— Tak, panie Cyrusie.

— I mnie to także dziwi, Harbercie — odparł inżynier. — Ale gdy tylko obejrzymy wrak z bliska, na pewno znajdziemy wyjaśnienie.

— Ach, panie Cyrusie — powiedział Pencroff — chyba nie zamierza pan twierdzić, że „Speedy” po prostu zatonął jak statek, który wpadł na skałę?

— Dlaczego nie — zauważył Nab — jeśli w cieśninie są skały podwodne?

— Co znowu, Nabie! — odparł Pencroff. — Chyba nie patrzyłeś w odpowiedniej chwili. Widziałem wyraźnie, jak bryg na chwilę przed zatonięciem najpierw uniósł się na olbrzymiej fali, a potem opadł na bakburkę<sup>13</sup>. Otóż gdyby po prostu uderzył o skałę, to zatonąłby całkiem spokojnie, jak przystało na uczciwy statek, kiedy idzie na dno.

— Otóż to właśnie, że to nie był uczciwy statek — odparł Nab.

— Wkrótce się przekonamy, Pencroffie — powiedział inżynier.

— Na pewno się przekonamy — dodał marynarz — ale stawiam głowę, że w cieśninie nie ma żadnych skał. Niech pan powie, panie Cyrusie, czy i w tym zdarzeniu widzi pan coś cudownego?

Cyrus Smith nie odpowiedział.

— W każdym razie — powiedział Gedeon Spilett — czy to się stało wskutek uderzenia o skałę, czy wskutek wybuchu, musi pan przyznać Pencroffie, że nastąpiło w samą porę.

— Tak... Tak... — odparł marynarz. — Ale tu nie o to chodzi. Pytam się pana Smitha, czy widzi w tym wszystkim coś nadprzyrodzonego.

— Nie wypowiadam się co do tego, Pencroffie — powiedział inżynier. — To wszystko, co mogę powiedzieć.

Odpowiedź bynajmniej nie zadowoliła Pencroffa. Obstawał przy eksplozji i nie chciał ustąpić. Nigdy nie zgodził się przyznać, żeby w cieśninie, którą nieraz w czasie odpływu przechodził w bród i której dno podobnie jak plażę pokrywa drobny piasek, miałyby się ukrywać jakaś niezauważona skała. Zresztą w chwili, gdy statek zatonął, był przyplływ, to znaczy, że w cieśninie było więcej wody niż potrzeba, żeby statek swobodnie przepłynął ponad wszystkimi rafami nieodsłoniętymi podczas odpływu. Zatem statek nie mógł zawadzić o żadną skałę. Zatem nie rozbił się. Zatem wyleciał w powietrze.

Trzeba przyznać, że rozumowanie marynarza nie było pozbawione pewnej słuszności.

Około wpół do drugiej po południu koloniści wsiedli do czołna i popłynęli na miejsce katastrofy. Szkoda, że nie ocalała żadna z dwóch łodzi brygu; jedna z nich, jak wiemy, roztrzaskała się przy ujściu Rzeki Dziękczynienia i była zupełnie niezdatna do użytku, druga zaś zniknęła, kiedy tonął bryg, i już nie wypłynęła na powierzchnię, zapewne zmiądzona przez statek.

Kadłub „Speedy’ego” zaczął się właśnie wynurzać się z wody. Bryg nie leżał nawet na boku. Przesuwający się balast przewalił się cały na jedną stronę i swoim ciężarem podruzgotał maszty, tak że statek leżał teraz prawie do góry dnem. Został rzeczywiście przewrócony przez jakąś niewytłumaczalną, ale straszliwą siłę podwodną, która jednocześnie przejawiała się w postaci olbrzymiej trąby wodnej.

<sup>13</sup>bakburta — lewa burta statku. [przypis edytorski]

Koloniści opłynęli wrak dookoła, a w miarę jak morze opadało, mogli poznać jeśli nie samą przyczynę katastrofy, to przynajmniej jej skutki.

Na przodzie statku, z obu stron kilu, o siedem lub osiem stóp od stewy dziobowej<sup>14</sup>, boki brygu były straszliwie rozdarte na długości co najmniej dwudziestu stóp. Widniały tam dwa szerokie otwory, nienadające się do zatkania. Zniknęły nie tylko mosiężne poszycie i deski, zapewne starte na proch, ale nie został też nawet ślad po wręgach, żelaznych kołkach ani dyblach<sup>15</sup>, które je spajały. Wzdłuż całego kadłuba aż do rufy wszystkie klamry, porozrywane, puściły. Nadstępka<sup>16</sup> została wyrwana z niepojętą siłą, a sama stępka<sup>17</sup>, wylamana w kilku miejscach, pękła na całej długości.

— Do kroćset diabłów! — zawołał Pencroff. — Ten statek trudno będzie naprawić!

— To całkiem niemożliwe — powiedział Ayrton.

— W każdym razie — powiedział Gedeon Spilett do marynarza — wybuch, jeśli to rzeczywiście był wybuch, wywołał dziwne skutki. Roztrzaskał dolną część kadłuba zamiast wysadzić pokład i nadbudówki. Te wielkie otwory wyglądają raczej na powstałe wskutek uderzenia statku o skałę niż od wybuchu prochowni.

— W cieśninie nie ma skal! — odparł marynarz. — Zgodzę się na wszystko, co pan chce, z wyjątkiem uderzenia o skałę!

— Spróbujmy dostać się do wnętrza brygu — powiedział inżynier. — Może wtedy dowiemy się czegoś o przyczynie jego zagłady.

Było to najlepsze wyjście, tym bardziej że należało obejrzeć skarby znajdujące się na pokładzie i zająć się ich uratowaniem.

Wejście do wnętrza statku było teraz łatwe. Woda wciąż opadała, a po spodniej części pokładu, która po wywróceniu się statku znalazła się na wierzchu, można było wygodnie chodzić. Balast składający się z ciężkich brył żeliwnych przebił go w kilku miejscach. Słychać było szmer wody wypływającej przez pęknięcia kadłuba.

Cyrus Smith i jego towarzysze z siekierami w rękach szli po rozbitym pokładzie. Zawalony był różnego rodzaju skrzyniami, a ponieważ przebywały w wodzie bardzo krótko, można było oczekiwać, że ich zawartość nie uległa uszkodzeniu.

Pracowano więc nad tym, by cały ten ładunek przenieść w bezpieczne miejsce. Przepływ miał nastąpić dopiero za kilka godzin i pozostały czas wykorzystano w jak najlepszy sposób. Ayrton z Pencroffem zamocowali obok jednego z otworów w kadłubie blok, za pomocą którego wyciągali do góry beczułki i skrzynie. Pakowano je do czółna i odwożono natychmiast na brzeg. Zabierano wszystko bez wyboru, odkładając na później sortowanie znalezionych rzeczy.

W każdym razie koloniści od razu zauważyli, ku swojemu wielkiemu zadowoleniu, że bryg posiadał bardzo zróżnicowany ładunek, złożony z najrozmaitszych artykułów, narzędzi, wyrobów przemysłowych i przyrządów, jakie zwykle przewożą statki żeglujące pomiędzy wyspami Polinezji. Spodziewali się więc znaleźć wszystkiego po trochu, a tego właśnie potrzeba było kolonii na Wyspie Lincolna.

Cyrus Smith zauważył ze zdziwieniem, że nie tylko kadłub brygu, jak już powiedziano, niezmiernie ucierpiał od jakiegoś uderzenia, które spowodowało katastrofę, lecz także całe wewnętrzne urządzenie statku, zwłaszcza z przodu, zostało zniszczone. Przegrody i podpory pokładowe były podruzgotane, jak gdyby we wnętrzu brygu rozerwał się jakiś straszliwy granat. Koloniści mogli z łatwością przejść z dziobu na rufę, usuwając wcześniej skrzynie, które stopniowo wydobywano na zewnątrz. Nie były to ciężkie, trudne do ruszenia paki, lecz zwyczajne skrzynie, których zewnętrzne opakowanie było już zniszczone.

Dostali się w ten sposób na tył statku, w miejsce, gdzie wcześniej znajdowała się kajuta rufowa. Według wskazówek Ayrtona tu właśnie należało szukać prochowni. Cyrus Smith sądził, że jeśli nie wyleciała w powietrze, to może uda się uratować kilka beczulek, w których proch, zwykle zamknięty w obiciu z blachy, mógł nie ucierpieć od wody.

<sup>14</sup>*stewa dziobowa* a. *dziobnica* — wygięta w górę belka stanowiąca przedłużenie stępki (kilu) statku w kierunku dziobu. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*dybel* — obustronnie zaostrzony kołek łączący dwa drewniane elementy. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*nadstępka* — belka przymocowana od góry do stępki na części jej długości, mająca za zadanie rozłożyć obciążenie wynikające z nacisku masztu na dno kadłuba. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*stępka* a. *kil* — najniższa belka statku ciągnąca się od dzioba do rufy. [przypis edytorski]

Tak też było. Wśród stosów pocisków armatnich znaleziono ze dwadzieścia beczulek obitych wewnątrz blachą miedzianą i wydobyto je z jak największą ostrożnością. Pencroff przekonał się teraz na własne oczy, że „Speedy” nie został zniszczony przez eksplozję. Właśnie ta część kadłuba, w której znajdowała się prochownia, ucierpiała najmniej.

— Może i tak — odparł uparty marynarz. — Ale co do skał, to żadnych w cieśninie nie ma!

— Więc co się stało? — zapytał Harbert.

— Nie wiem — odparł Pencroff. — Pan Cyrus też nie wie i nikt nie wie, i nigdy nie będzie wiedzieć.

Na tych rozmaitych poszukiwaniach upłynęło kilka godzin i dawał się już odczuć przypływ. Trzeba było przerwać dalsze wylądowanie statku. Zresztą nie było obawy, żeby morze zabrało ze sobą wrak, gdyż ugrzązł w piasku tak mocno, jakby stał na kotwicy.

Można było zatem spokojnie czekać na następny odpływ, by wznowić prace. Sam statek był jednak skazany na zagładę i trzeba się było spieszyć, by ocalić szczątki kadłuba, zanim pochłoną go ruchome piaski na dnie cieśniny.

Była piąta po południu. Koloniści mieli ciężki dzień. Z wielkim apetytem zjedli więc posiłek, po czym, pomimo zmęczenia, nie mogli się oprzeć pokusie obejrzenia skrzyń, z których się składał ładunek „Speedy’ego”.

Większość zawierała gotowe ubrania, które powitano oczywiście z wielkim zadowoleniem. Było ich tyle, że można by ubrać, zaopatrzyć w bieliznę i w obuwie choćby całą wielką kolonię.

— Teraz jesteśmy aż nazbyt bogaci! — zawołał Pencroff. — Co my zrobimy z tym wszystkim?

Co chwila z ust rozochoczonego marynarza wydobywały się gromkie „hurra” na widok beczulek z rumem, fasek<sup>18</sup> z tytoniem, broni palnej i białej, całych bel bawełny, narzędzi rolniczych, ciesielskich, stolarskich, skrzyń z ziarnem rozmaitego gatunku i tym podobnych rzeczy, którym krótki pobyt w wodzie wcale nie zaszkodził. Ach, jak pożądane byłoby to wszystko dwa lata temu! Mimo to i teraz, chociaż pracownicy koloniści sami zaopatrzyli się w potrzebne rzeczy, skarby były bardzo przydatne.

W magazynach Granitowego Pałacu nie brakowało miejsca, jednak dzień się kończył i nie było już czasu na przeniesienie wszystkiego. Nie można było zapominać, że sześciu ocalałych członków załogi „Speedy’ego” wylądowało na wyspie i że byli to zapewne łotry pierwszej klasy, przed którymi trzeba było mieć się na baczności. Pomimo że most na Rzece Dziękczynienia i wszystkie mostki były podniesione, takich zbójów nie odstraszyłyby zapewne jakaś rzeka czy potok, a znajdując się w rozpaczliwym położeniu, mogli być niebezpieczni.

Postanowiono, żeby nad tym, jak wobec nich postąpić, zastanowić się później, tymczasem zaś trzeba było pilnować skrzyń i pak zgrupowanych w pobliżu Kominów. Koloniści czuwali przy nich na przemian przez całą noc.

Noc upłynęła jednak bez żadnej próby napaści ze strony bandytów. Pan Jup i Top, strzegący Granitowego Pałacu, niewątpliwie natychmiast daliby znać o ich przybyciu.

Przez trzy następne dni, 19, 20 i 21 października, wynoszono ze statku wszystko, co mogło mieć jakąkolwiek wartość lub przydatność, tak z ładunku, jak i z osprzętu. Podczas odpływu morza opróżniano statek, a podczas przypływu składano uratowane przedmioty do magazynu. Dużą część masyżnego poszycia statku zdarto z kadłuba, który z każdym dniem zapadał głębiej. Zanim jednak piasek pochłonął cięższe przedmioty, które poszły na dno przez dziury w kadłubie, Ayrton z Pencroffem zanurkowali kilka razy na dno cieśniny i znaleźli tam łańcuchy i kotwice, żelazne bryły balastu, a nawet cztery działa, które udało się wydobyć na ląd, przywiązując do nich puste beczulki.

Tak więc zbójownia Granitowego Pałacu wzbogaciła się o przedmioty ocalone z statku nie mniej niż spiżarnie i magazyny. Pencroff, jak zwykle entuzjastyczny w swoich planach, mówił już o postawieniu baterii artyleryjskiej, która mogłaby strzec cieśniny i ujścia rzeki. Mając do dyspozycji cztery armaty, gotów był powstrzymać całą flotę, „choćby najpotężniejszą”, od zbliżenia się do Wyspy Lincoln.

<sup>18</sup>fasa (daw.) — drewniane naczynie z klepek spiętych obręczami; kształtem przypominało beczkę, posiadało jednak tylko jedno dno w szerszym końcu, na którym stało pionowo. [przypis edytorski]

Po tym wszystkim, gdy już z całego statku pozostał tylko bezużyteczny szkielet, nadeszła burza i zniszczyła go do reszty. Cyrus Smith miał zamiar wysadzić go w powietrze, by potem szczątki pozbierać przy brzegu, lecz silny wicher z północnego wschodu i wzburzone morze zaoszczędziły mu trudu i prochu. W nocy z 23 na 24 października szkielet statku został zupełnie zgruchotany, a część jego szczątków fale wyrzuciły na brzeg.

Jeśli chodzi o dokumenty statku, to nie trzeba dodawać, że Cyrus Smith starannie przetrząsnął wszystkie szafy i schowki w kajucie, ale nigdzie ich nie znalazł. Widocznie piraci zniszczyli wszystko, co dotyczyło kapitana lub właściciela „Speedy’ego”, a ponieważ na rufie nie było tabliczki z nazwą portu macierzystego, trudno było określić, z jakiego kraju pochodził. Mimo to Pencroff i Ayrton z kształtu dziobnicy przypuszczali, że zbudowano go w Anglii.

W tydzień po katastrofie, a raczej po szczęśliwym, chociaż zagadkowym zdarzeniu, któremu kolonia zawdzięczała ocalenie, nie było już widać ani śladu po statku, nawet przy najniższym stanie wody. Szczątki rozproszyło morze, a Granitowy Pałac wzbogacił się o prawie cały jego ładunek.

Tajemnica zagłady statku zapewne nigdy by się nie wyjaśniła, gdyby 30 listopada Nab, wałęsając się po wybrzeżu, nie znalazł przypadkiem kawałek grubego, żelaznego cylindra, na którym widoczne były ślady eksplozji. Cylinder był powykręcany i poszarpany, jak gdyby skutek działania jakiejś substancji wybuchowej.

Nab przyniósł ten kawałek żelaza swemu panu, który wraz z towarzyszami zajęty był właśnie pracą w Kominach.

Cyrus Smith obejrzał uważnie cylinder, po czym zwracając się do Pencroffa, powiedział:

— Więc pan, przyjacielu, nadal obstaje przy tym, że „Speedy” nie zatonął wskutek zderzenia?

— Tak, panie Cyrusie — odparł marynarz. — Wie pan tak samo dobrze jak ja, że w cieśninie nie ma żadnych skał.

— A co, jeżeli zderzył się z tym kawałkiem żelaza? — zapytał inżynier, pokazując zniszczony cylinder.

— Co?! Z tym kawałkiem rurki?! — zawołał Pencroff tonem pełnym niedowierzania.

— Przyjaciele — powiedział Cyrus Smith — czy przypominacie sobie, że przed zatonieniem bryg wznosił się do góry na szczycie trąby wodnej?

— Tak, panie Cyrusie — odparł Harbert.

— Dobrze, a czy chcecie wiedzieć, co spowodowało tę trąbę? Właśnie to — powiedział inżynier, wskazując na cylinder.

— To? — zapytał Pencroff.

— Tak. Ten cylinder jest resztką torpedy.

— Torpedy? — zawołali chórem towarzysze inżyniera.

— A kto ją tam umieścił, tę torpedę?<sup>19</sup> — zagadnął Pencroff, nie chcąc się jeszcze poddać.

— Tyle tylko mogę wam powiedzieć, że nie ja — odparł Cyrus Smith. — Ale na pewno tam była i sami mogliście ocenić siłę jej wybuchu.

## ROZDZIAŁ V

*Twierdzenia inżyniera. — Wielkie hipotezy Pencroffa. — Bateria powietrzna. — Cztery pociski. — Rozmowa o ocalałych piratach. — Wahanie Ayrtona. — Wspaniałomyślność Cyrusa Smitha. — Pencroff z żalem ustępuje.*

Tak więc wszystko tłumaczyło się podwodnym wybuchem torpedy. Cyrus Smith, który podczas wojny często miał okazje wypróbowania tego strasznego środka zniszczenia, nie mógł się co do tego mylić. Nie ulegało wątpliwości, że to pod działaniem takiego cylindra wypełnionego substancją wybuchową, nitrogliceryną, pikrynianem czy

<sup>19</sup>*kto ją tam umieścił, tę torpedę?* — do poł. XIX w. torpedami (*torpedo*, *torpille*) nazywano różne ładunki wybuchowe mieszczone pod wodą w celu uszkodzenia wrogich okrętów. Po skonstruowaniu w 1866 torpedy samobieżnej, wystrzeliwanej w kierunku jednostki pływającej, stopniowo zaczęto stosować nazwę torpeda do tego rodzaju pocisków, zaś nieruchome ładunki wybuchowe określać mianem min morskich. [przypis edytorski]

inną substancją tego rodzaju, woda w cieśninie wzniosła się jak trąba wodna i bryg, zdruzgotany od dołu, w mgnieniu oka poszedł na dno. Właśnie dlatego zupełnie nie dało się go naprawić, że zniszczenia kadłuba były zbyt wielkie. „Speedy” nie mógł się oprzeć torpedzie zdolnej zniszczyć pancerną fregatę<sup>20</sup> tak łatwo, jakby to była łódź rybacka.

Tak, wszystko się wyjaśniało, wszystko... oprócz tego, w jaki sposób torpeda znalazła się w cieśninie.

— Przyjaciele — zaczął po chwili na nowo Cyrus Smith — nie możemy już dłużej wątpić o obecności jakiejś tajemniczej istoty, może jakiegoś podobnego do nas rozbitka, porzuconego przez swoich na tej wyspie. A mówię to dlatego, aby Ayrtona wtajemniczyć w te wszystkie dziwne wydarzenia, które zaszły w ciągu dwóch lat. Kim jest ten nieznanый dobroczyńca, którego zbawiennej interwencji doznaliśmy w tylu okolicznościach, tego sobie nie potrafię wyobrazić. Co go skłania do takiego postępowania, do ukrywania się po tylu oddanych nam przysługach? Nie mogę tego zrozumieć. Niemniej jednak przysługi te są faktem i należą do tych, jakie może oddać tylko człowiek rozporządzający cudowną prawie mocą. Ayrton powinien mu być wdzięczny tak samo jak my, bo jeżeli to ten tajemniczy nieznanый uratował mnie z fal po upadku balonu, to widocznie nie kto inny, tylko on napisał dokument i rzucił butelkę do cieśniny, powiadamiając nas o położeniu naszego towarzysza. Dodam i to, że skrzynię, tak obficie zaopatrzoną we wszystko, czego nam brakowało, także on musiał wyrzucić na ląd na Cyplu Znależiska, że to on zapalił ogień na wyżynach wyspy, dzięki któremu zdołaliście dopłynąć do brzegu, że ziarnko śrutu znalezione w ciele pekari pochodziło z jego broni, że torpedę, która zniszczyła bryg, także on pograżył w wodach cieśniny; słowem, że te wszystkie niepojęte zdarzenia, których nie mogliśmy zrozumieć, zawdzięczamy tej tajemniczej istocie. Zatem kimkolwiek jest ten człowiek, rozbitkiem czy wygnańcem, bylibyśmy niewdzięcznikami, gdybyśmy choć przez chwilę nie poczuli się do wdzięczności względem niego. Zaciągnęliśmy dług i mam nadzieję, że go kiedyś spłacimy.

— Ma pan rację, drogi Cyrusie — odpowiedział Gedeon Spilett. — Tak, gdzieś na wyspie ukrywa się istota prawie wszechmocna, której wpływ był nadzwyczaj pożyteczny dla naszej kolonii. A trzeba dodać, że ten nieznanый wydaje się rozporządzać prawie nadprzyrodzonymi środkami, gdyby w zdarzeniach codziennego życia można było przyjmując działania sił nadprzyrodzonych. Czy to on potajemnie podsłuchuje nas przez studnię w Granitowym Pałacu i w ten sposób dowiaduje się o wszystkich naszych zamiarach? Czy to on podrzucił nam tę butelkę, gdy nasza łódź odbywała pierwszy rejs po morzu? Czy to on wyrzucił Topa z wód jeziora i uśmiercił diugonia? Czy to on, jak zresztą wszystko na to wskazuje, wyratował pana z fal morskich, Cyrusie, i to w takich okolicznościach, w których zwykły człowiek nie zdołałby nic zdziałać? Jeżeli to on, to posiada moc dającą mu władzę nad żywiołami.

Wszyscy czuli, że spostrzeżenie reportera było słuszne.

— Tak — odpowiedział Cyrus — jeżeli nie wątpimy w interwencję nieznanego człowieka, to przynajmniej, że rozporządza środkami wykraczającymi poza te, którymi dysponuje ludzkość. W tym właśnie nadal tkwi tajemnica, ale jeżeli jednak uda się nam odkryć człowieka, odkryjemy także tajemnicę. Pytanie brzmi: czy powinniśmy uszanować incognito<sup>21</sup> tej wspaniałomyślniej istoty, czy zrobić wszystko, żeby do niej dotrzeć? Jakie macie zdanie na ten temat?

— Moim zdaniem — odpowiedział Pencroff — kimkolwiek on jest, to przyzwoity człowiek i zasłużył na szacunek.

— Zgoda — odezwał się Cyrus Smith — ale to jeszcze nie odpowiedź, Pencroffie.

— Mój panie — wtrącił w tym miejscu Nab — myślę, że możemy szukać tego pana, o którym mowa, ile nam się podoba, a i tak go nie znajdziemy, dopóki sam tego nie zechce.

— Wiesz, że to niegłupie, coś powiedział, Nabie — powiedział Pencroff.

<sup>20</sup>*fregata pancerna* — historyczna klasa pancernych okrętów wojennych, najwcześniejszy rodzaj pancerników. Pierwszą fregatę pancerną, La Gloire, zbudowano w 1860 we Francji. Były to wielkie jednostki pełnomorskie, silnie opancerzone, uzbrojone w ciężkie działa burtowe, napędzane maszynami parowymi, choć posiadały także pomocnicze żagle. Stanowiły najpotężniejsze jednostki floty, przeznaczone do wygrywania bitew artyleryjskich i niszczenia wrogich okrętów. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*incognito* (z łac.) — zatajanie swojego nazwiska, tożsamości. [przypis edytorski]



— Podzielałm zdanie Naba — odezwał się Gedeon Spilett — ale to nie powód, żebyśmy mieli zrezygnować poszukiwań. Czy znajdziemy tę tajemniczą istotę, czy też nie, przynajmniej spełnimy nasz obowiązek wobec niej.

— A ty, mój chłopcze, co o tym sądzisz? — powiedział inżynier, zwracając się do Harberta.

— Ach! — zawołał Harbert z płonącymi oczami. — Chciałbym podziękować człowiekowi, który uratował najpierw pana, a potem nas wszystkich.

— Bardzo dobrze, mój chłopcze — odparł Pencroff. — I ja także, i my wszyscy!... Nie należę do ciekawskich, ale oddałbym jedno oko, żeby stanąć twarzą w twarz z tym jegomościem. Wydaje mi się, że musi być piękny, wysoki, silny, że wspaniała broda, z włosami jak promienie słońca i że spoczywa na obłokach, trzymając wielką kulę w dłoni.

— Ależ Pencroffie — zawołał Gedeon Spilett — przecież pan nam tu obraz Boga Ojca odmalowuje!

— Możliwe, panie Spilett — odparł marynarz — ale tak go sobie wyobrażam.

— A pan, Ayrtonie? — spytał inżynier.

— Panie Smith — odparł Ayrton — nie mam w tej sprawie zdania. Tak jak pan zrobi, będzie dobrze. Jeżeli zechce pan wziąć mnie ze sobą na poszukiwania, jestem gotów w każdej chwili.

— Dziękuję panu za tę gotowość, Ayrtonie — odparł Cyrus Smith — ale chciałbym usłyszeć od bardziej bezpośrednią odpowiedź na moje pytanie. Jest pan naszym towarzyszem, nieraz już narażał pan dla nas życie i tak jak każdy z nas ma pan prawo wypowiedzieć swoje zdanie, kiedy chodzi o powzięcie ważnej decyzji. Proszę mówić.

— Panie Smith — odezwał się na to Ayrton — moim zdaniem powinniśmy zrobić wszystko, co możliwe, żeby odnaleźć tego nieznanego dobroczyńcę. Kto wie, może jest samotny? Może cierpi? Może życie jego potrzebuje odrodzenia? Ja także, jak sam pan wspomniał, zaciągnąłem względem niego dług wdzięczności. Przecież to on, nikt inny, przybył na wyspę Tabor, znalazł tam nieszczęśnika, jakim byłem, gdyście mnie poznali, i dał wam znać, że jest tam nieszczęsna istota potrzebująca ratunku. To dzięki niemu znowu stałem się człowiekiem. O nie, nigdy tego nie zapomnę!

— Więc postanowione — odezwał się Cyrus Smith. — Zaczniemy poszukiwania jak można najprędzej. Nie pozostawimy ani kawałeczka wyspy bez zbadania. Przeszukamy ją aż do najtajniejszych kryjówek i niech nieznaną przyjaciela wybaczy nam to ze względu na nasze dobre intencje.

Przez kilka dni koloniści intensywnie pracowali przy sianokosach i żniwach. Przed przystąpieniem do zamierzonego zbadania nieznaną jeszcze części wyspy postanowili skończyć wszelkie niezbędne prace. Była to także pora zbierania rozmaitych jarzyn sprowadzonych z wyspy Tabor. Trzeba było wszystko przechować, a na szczęście w Granitowym Pałacu nie brakowało miejsca i można by tam było zmagazynować wszystkie bogactwa całej wyspy. Ułożono tam zatem wszystkie produkty w metodycznym porządku, w bezpiecznym miejscu, niedostępnym dla zwierząt i ludzi. Pośrodku tego litego granitowego bloku nie trzeba było się też obawiać wilgoci. Kilka naturalnych pieczar, znajdujących się w górnym korytarzu, powiększono i poszerzono bądź to za pomocą oskardów, bądź min, dzięki czemu Granitowy Pałac stał się głównym magazynem, mieszczącym zapasy żywności, amunicję, zapasowe narzędzia i sprzęty, słowem — cały dobytek osady.

Armaty pochodzące z brygu, piękne sztuki z kutej stali, pod wpływem nalegań Pencroffa wciągnięto za pomocą lin i wielokrążków aż do wejścia do Granitowego Pałacu. Następnie między oknami wykuto otwory strzelnicze i wkrótce z granitowego muru wynurzyły się błyszczące paszcze dział. Z tej wysokości armaty rzeczywiście panowały nad całą Zatoką Stanów Zjednoczonych. Był to niby mały Gibraltar<sup>22</sup> i każdy statek, który starałby się podплыnąć od strony wysepki, byłby nieuchronnie wystawiony na ogień tej powietrznej baterii.

<sup>22</sup>*Gibraltar* — przylądek na południowym krańcu Płw. Iberyjskiego, z górującą nad otoczeniem wapienną Skałą Gibraltarską, wznoszącą się na 426 m n.p.m. Ufortyfikowany Gibraltar od wieków zapewniał kontrolę nad Cieśniną Gibraltarską, łączącą M. Śródziemne z Atlantykiem i oddzielającą Afrykę od Europy. Od 1713 Gibraltar stanowi terytorium zamorskie Wlk. Brytanii i od tamtej pory pomimo prób nigdy nie został zdobyty. [przypis edytorski]

— Panie Cyrusie — odezwał się pewnego dnia Pencroff, a było to 8 listopada — teraz, kiedy już ukończyliśmy uzbrojenie wyspy, warto by było spróbować, jak daleko niosą nasze działa.

— Myśli pan, że to potrzebne? — odpowiedział inżynier.

— Więcej niż potrzebne, to konieczne! Bez tego skąd się dowiemy, na jaką odległość można będzie wysłać jeden z tych pięknych pocisków, w które jesteśmy zaopatrzeni?

— Zrobmy więc próbę, Pencroffie — odpowiedział inżynier. — Myślę jednak, że do tego doświadczenia powinniśmy do niej użyć nie zwykłego prochu, którego zapasy wolałbym oszczędzać, ale piroksyliny, której nam nigdy nie zabraknie.

— Ale czy te armaty wytrzymają wybuch piroksyliny? — spytał reporter, który nie mniej niż Pencroff pragnął wypróbować artylerię Granitowego Pałacu.

— Sądzę, że tak. Zresztą będziemy ostrożni.

Inżynier jako znawca wyrobów artyleryjskich był pewny, że działa są doskonałej jakości. Były z kutej stali, nabijane od tyłu, musiały wytrzymać duży nabój, a zatem mieć wielki zasięg.

I w istocie, jeżeli idzie o skuteczność działania, tor pocisku powinien być jak najbardziej wydłużony, to zaś daje się uzyskać jedynie wtedy, gdy pociskowi nada się bardzo dużą prędkość początkową.

— Otóż — powiedział Cyrus Smith do towarzyszy — prędkość początkowa jest proporcjonalna do zużytego prochu. Zatem w produkcji dział całe zagadnienie sprowadza się do użycia jak najbardziej wytrzymałego metalu. Takim zaś metalem jest niewątpliwie stal. Przypuszczam więc, że nasze działa zniosą bez szwanku napór gazów z piroksyliny i że otrzymamy świetne wyniki.

— Będziemy jeszcze pewniejsi, gdy je wypróbujemy — odpowiedział Pencroff.

Rozumie się samo przez się, że wszystkie cztery armaty były w doskonałym stanie. Od chwili wydobywania ich z wody marynarz sumiennie je czyścił. Wiele godzin poświęcił na ich na wycieranie, natuszczanie, polerowanie, rozebranie i wyczyszczenie całego mechanizmu, zatyczki, zamka, iglicy. Teraz wszystkie części lśniły, jak gdyby działa znajdowały się na pokładzie fregaty należącej do marynarki Stanów Zjednoczonych.

Tego samego dnia w obecności wszystkich mieszkańców kolonii, z Jupem i Topem włącznie, wypróbowano kolejno wszystkie cztery armaty. Nabito je piroksyliną, uwzględniając jej siłę wybuchu, która, jak już wspomniano, jest czterokrotnie większa od siły zwyczajnego prochu. Pocisk przeznaczony do próby był cylindryczno-stożkowy<sup>23</sup>.

Pencroff, trzymając w ręku lont, stał gotowy do oddania strzału.

Na znak dany przez Cyrusa Smitha zagrzmiął wystrzał. Wycelowany w morze pocisk przeleciał ponad wysepką i spadł daleko, w odległości, której dokładnie nie można było określić.

Drugą armatę wycelowano na najdalsze skały Cypla Znaleźiska i pocisk, uderzywszy w spiczasty głaz, znajdujący się w odległości blisko trzech mil od Granitowego Pałacu, roztrzaskał go na kawałki.

Z tej armaty celował i strzelał Harbert, dumny z wyniku swojej pierwszej próby. Ale jeszcze bardziej dumny był Pencroff. Taki świetny strzał przynosił niemały zaszczyt jego ukochanemu chłopcu.

Trzeci pocisk, wystrzelony tym razem prosto w wydmy tworzące górny brzeg Zatoki Stanów Zjednoczonych, uderzył w piasek w odległości co najmniej czterech mil, a potem, odbiwszy się, wpadł do morza, wzbijając obłok piany.

Gdy przyszła kolej na czwarte działo, Cyrus Smith powiększył nieco ładunek, żeby zorientować się w maksymalnym zasięgu broni. Wszyscy usunęli się na bok, na wypadek gdyby armatę rozerwało, po czym zapalono długi lont.

Rozległ się potężny huk, ale armata nie pękła i koloniści, rzuciwszy się do okna, zobaczyli, że pocisk zawadził o skały Przylądka Szczęki, odległe o około pięć mil od Granitowego Pałacu, i zniknął w Zatoce Rekinów.

<sup>23</sup> pociski cylindryczno-stożkowe a. pociski stożkowe — używane w broni palnej wydłużone pociski o stożkowym wierzchołku (w odróżnieniu od powszechnych wcześniej pocisków o kształcie kulistym); wynalezione w 1830 przez fr. kapitana Henri-Gustave'a Delvigne, udoskonalone w 1847 przez Claude'a Étienne Minié. [przypis edytorski]

— No cóż, panie Cyrusie — zawołał Pencroff, którego głośnie „hurra!” mogły rywalizować z hukami wystrzałów. — Co pan powie o naszej baterii? Niech się tu pokażą przed Granitowym Pałacem wszyscy piraci oceanu. Nikt teraz nie wylądował bez naszego pozwolenia.

— Proszę mi wierzyć, Pencroffie — odpowiedział inżynier — że lepiej, żebyśmy się o tym nie przekonali.

— Ale, ale — ciągnął dalej marynarz — co zrobimy z sześcioma łotrami, którzy się włóczą po wyspie? Czy pozwolimy im bezkarnie grasować po naszych lasach, naszych polach, naszych łąkach? Przecież to prawdziwe jaguary, ci piraci, i wydaje mi się, że powinniśmy bez wahania potraktować ich tak samo. Co pan o tym sądzi, Ayrtonie? — dodał Pencroff, obracając się do swego towarzysza.

Ayrton zawahał się przez chwilę z odpowiedzią, a Cyrusowi Smithowi zrobiło się przykro, że Pencroff bez zastanowienia zadał to pytanie. Mocno go więc wzruszyło, gdy Ayrton odpowiedział pokornym tonem:

— Byłem jednym z takich jaguarów, panie Pencroff, nie mam więc prawa zabierać głosu...

I oddalił się powoli.

Pencroff teraz dopiero zrozumiał.

— Co za przekłete bydlę ze mnie! — wykrzyknął. — Biedny Ayrton. Przecież ma takie samo prawo się wypowiadać jak każdy z nas!...

— Niewątpliwie — powiedział Gedeon Spilett — ale ta powściągliwość przynosi mu zaszczyt i należy uszanować jego uczucia pozostałe po smutnej przeszłości.

— Zrozumiałem, panie Spilett — odpowiedział marynarz. — Już nigdy tego nie zrobię. Wolalbym ugryźć się w język niż sprawić przykrość Ayrtonowi. Ale wróćmy jednak do rzeczy. Myślę, że ci bandyci nie zasługują na żadną litość i że powinniśmy jak najszybciej oczyścić z nich wyspę...

— Czy to pańskie ostateczne zdanie, Pencroffie? — spytał inżynier.

— Najostateczniejsze.

— I zanim zaczniesz ich pan bezwzględnie tępić, nie zaczeka pan na jakieś wrogie działania z ich strony?

— Czy nie wystarczy to, co już zrobili? — spytał Pencroff, nie rozumiejąc tych wszystkich wahań.

— Mogą zacząć przejawiać inne uczucia, może odczuwają skruchę — powiedział Cyrus Smith.

— Skruchę! Oni! — zawołał marynarz, wzruszając ramionami.

— Pencroffie, pomyśl o Ayrtonie — powiedział Harbert, biorąc marynarza za rękę. — Znowu stał się uczciwym człowiekiem.

Pencroff popatrzył po kolei na towarzyszy. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, że jego propozycja wzbudzi jakieś wątpliwości. Jego prosta natura nie mogła zrozumieć, że można wchodzić w jakieś układy z łotrami, którzy wylądowali na wyspie, ze współnikami Boba Harveya, mordercami załogi brygu „Speedy”. Dla niego byli dzikimi bestiami, które należało wytepić bez wahania i bez skrępowań.

— Coś takiego! — powiedział. — Mam wszystkich przeciwko sobie. Chcecie się bawić we wspaniałomyślność wobec tych nędzników? No, niech i tak będzie. Żebyśmy tylko tego nie pożałowali!

— Co może nam grozić — spytał Harbert — jeżeli zachowamy ostrożność?

— Hm! — odezwał się reporter, który nie wypowiedział jeszcze swojego zdania. — Jest ich sześciu, i to dobrze zbrojnych. Niech tylko każdy z nich zaczai się w jakimś kącie i strzeli do jednego z nas, to wkrótce staną się panami kolonii.

— Dlaczego więc dotąd tego nie zrobili? — odparł Harbert. — Niewątpliwie dlatego, że nie mają takich zamiarów. Zresztą nas też jest sześciu.

— Dobrze, dobrze — zniecierpliwiał się Pencroff, którego żadne rozumowanie nie mogło przekonać. — Pozwólmy tym pocziwcom zajmować się swoimi sprawami i nie myślimy już o nich.

— Ależ, Pencroffie — powiedział Nab — nie udawaj takiego bezwzględnego człowieka. Gdyby jeden z tych nieszczęśników stał tu przed tobą, w zasięgu strzelby, na pewno nie strzeliłbyś do niego...

— Wypaliłbym jak do wściekłego psa, Nabie — odpowiedział zimno Pencroff.

— Pencroffie — odezwał się inżynier — często polegał pan na moim zdaniu. Czy nie zechciałby pan i w tej sprawie zdać się na mnie?

— Zrobię, jak pan uzna za właściwe, panie Smith — odpowiedział marynarz, bynajmniej nie przekonany.

— A więc czekajmy i nie atakujmy, dopóki na nas nie uderzą.

Tak oto zdecydowano zachowywać się wobec piratów, choć Pencroff nie wróżył z tego nic dobrego. Postanowiono nie atakować ich, ale mieć się na baczności. Koniec końców wyspa była wielka i żyzna. Jeżeli na dnie duszy tych nędzników została jakaś resztką uczciwości, to mogli się jeszcze poprawić. Czyż nie leżało w ich interesie, żeby w tych nowych warunkach zacząć nowe życie? Tak czy owak, choćby tylko przez poczucie człowieczeństwa, należało poczekać. Oczywiście koloniści nie będą już mogli tak swobodnie i bez obaw przemierzać wyspy. Dotychczas musieli strzec się tylko dzikich zwierząt, teraz zaś grasowało na wyspie sześciu skazańców, może najgorszego rodzaju. Sytuacja była niewątpliwie poważna i ludzie mniej odważni całkiem straciliby poczucie bezpieczeństwa. Mniejsza o to wszystko! W tej chwili wbrew Pencroffowi koloniści mieli rację. Czy będą ją mieć i w przyszłości? To się dopiero okaże.

## ROZDZIAŁ VI

*Projekt wyprawy. — Ayrton w zagrodzie. — Wizyta w Przystani Balonowej. — Uwagi Pencroffa na pokładzie „Bonawentury”. — Depesza wysłana do zagrody. — Nie ma odpowiedzi Ayrtona. — Wymarsz następnego dnia. — Czemu telegraf nie działa? — Strzał.*

Sprawą najbardziej zajmującą kolonistów było szczegółowe zbadanie wyspy, już postanowione i mające teraz podwójny cel. Po pierwsze chodziło o odnalezienie tajemniczej istoty, której istnienie nie podlegało już dyskusji, a równocześnie o stwierdzenie, co się stało z piratami, gdzie sobie wybrali kryjówkę, co robią i czego można się z ich strony obawiać.

Cyrus Smith chciał natychmiast wybrać się w drogę, ponieważ jednak wyprawa miała zająć kilka dni, uznano za stosowne załadować na wóz różne przedmioty niezbędne do rozbicia obozowiska oraz do zorganizowania popasów<sup>24</sup>. Tymczasem akurat jeden z onagrów zranił się w nogę i nie można go było zaprzęgać. Potrzebował co najmniej kilku dni spoczynku, więc koloniści uznali, że można odłożyć wyjazd o tydzień, czyli do 20 listopada.

Listopad na tej szerokości geograficznej jest odpowiednikiem maja na półkuli północnej. Była to najpiękniejsza pora roku. Słońce dochodziło do Zwrotnika Koziorożca, zaczynały się najdłuższe dni w roku. Był to więc okres najbardziej odpowiedni na planowaną wyprawę, która gdyby nawet nie osiągnęła swojego głównego celu, mogła okazać się płodna w odkrycia, zwłaszcza bogactw naturalnych, ponieważ Cyrus Smith zamierzył zbadać gęste Lasy Dalekiego Zachodu, rozciągające się aż do krańca Półwyspu Węzowego.

Koloniści postanowili, że w ciągu dziewięciu dni poprzedzających wyjazd skończą wszystkie prace na Płaskowyżu Pięknego Widoku.

Tymczasem Ayrton musiał jeszcze wrócić do zagrody, żeby zaopiekować się udomowionymi zwierzętami. Zdecydowano więc, że spędzi tam dwa dni i powróci do Granitowego Pałacu dopiero, gdy zaopatrzy budynki inwentarskie<sup>25</sup> w solidne zapasy paszy.

Gdy wyruszał w drogę, Cyrus Smith zapytał go, czy nie chciałby, aby ktoś z nich mu towarzyszył, zwracając uwagę, że wyspa stała się mniej bezpieczna, niż była dawniej.

Ayrton odpowiedział, że to zbędne, że pracę może wykonać sam i poza tym niczego się nie boi. Gdyby w zagrodzie lub w jej pobliżu zaszedł jakiś wypadek, to natychmiast zawiadomi o tym kolonistów za pośrednictwem telegrafu.

<sup>24</sup>popas (daw.) — postój w czasie podróży w celu nakarmienia koni i odpoczynku. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>budynek inwentarski — budynek do trzymania zwierząt gospodarskich, np. obora, chlewnia, owczarnia, kurnik. [przypis edytorski]

Ayrton wyruszył zatem dziewiątego o świcie, zabierając ze sobą wóz zaprzęzony w jednego onagra, a w dwie godziny potem sygnał elektryczny oznajmił, że w zagrodzie wszystko w porządku.

Przez dwa dni Cyrus Smith zajmował się realizacją pewnego projektu mającego całkowicie zabezpieczyć Granitowy Pałac przed wszelką niespodziewaną napaścią. Chodziło mianowicie o to, żeby zupełnie ukryć górny otwór dawniejszego odpływu wody w południowym rogu Jeziora Granta, już zamurowany i do pewnego stopnia zamaskowany krzewami i trawą. Było to całkiem łatwe. Wystarczyło podnieść o dwie czy trzy stopy poziom wody w jeziorze, żeby zatopić otwór bez śladu.

Aby podnieść poziom wody, trzeba było tylko wybudować tamę na każdym z dwóch odpływów z jeziora, które zasilają Potok Glicerynowy i Rzekę Wodospadu. Wszyscy pozostali koloniści wzięli udział w pracy i z mocno scementowanych głazów szybko powstały dwie tamy, nieprzekraczające sześciu stóp szerokości i trzech stóp wysokości.

Kiedy skończyli pracę, nikt nie mógł się nawet domyślić, że istniał tu kiedyś jakiś podziemny kanał odprowadzający nadmiar wód z jeziora.

Nie trzeba dodawać, że małeńka odnoga zasilająca zbiornik w Granitowym Pałacu i napędzająca windę została starannie zabezpieczona, tak żeby w żadnym wypadku nie zabrakło wody. Obecnie po podciągnięciu windy na górę Granitowy Pałac stał się pewnym i wygodnym schronieniem, zabezpieczonym przed wszelkimi niespodzianymi napasciami.

Praca ta została wykonana tak szybko, że Pencroff, Gedeon Spilett i Harbert znaleźli jeszcze czas na odwiedzenie Przystani Balonowej. Marynarz bardzo chciał się dowiedzieć, czy zatoczki, w której stał „Bonawentura”, nie odwiedzili bandyci.

— Bo właśnie — zauważył — ci dżentelmeni wylądowali na południowym wybrzeżu, a jeżeli szli wzdłuż niego, to należy się obawiać, że odkryli nasz mały port, a w takim wypadku nie dałbym i pół dolara za naszego „Bonawenturę”.

Obawy Pencroffa nie były bezpodstawne i wizyta w Przystani Balonowej wydawała się bardzo wskazana.

Marynarz i jego towarzysze, dobrze uzbrojeni, wyruszyli 10 listopada po południu. Pencroff, ładując ostentacyjnie kule do obydwu luf swojej strzelby, kręcił głową, co nie wróżyło nic dobrego każdemu, kto by się zanadto do niego zbliżył, „zwierzę czy człowiek”, jak mówił. Gedeon Spilett i Harbert również wzięli strzelby i około trzeciej wszyscy trzej opuścili Granitowy Pałac.

Nab odprowadził ich aż do zakrętu Rzeki Dziękczynienia, a gdy tylko przeszli na drugą stronę, podniósł most za nimi. Umówili się, że koloniści o swoim powrocie dadzą znać wystrzałem, a na ten sygnał Nab przyjdzie i przywróci połączenie między obydwoma brzegami rzeki.

Grupka ruszyła w stronę południowego wybrzeża wyspy, drogą wiodącą prosto do przystani. Odległość wynosiła tylko trzy i pół mili, ale Gedeonowi Spilettowi i jego towarzyszom przebycie jej zajęło dwie godziny. Przeszukali bowiem cały skraj drogi, tak od strony gęstego lasu, jak i od strony Bagna Kazarek. Nigdzie nie znaleźli ani śladu zbiegów, którzy niewątpliwie, nie mając jeszcze pojęcia o liczbie kolonistów i ich możliwościach obrony, musieli ukrywać się w mniej dostępnych częściach wyspy.

Gdy przybyli do Przystani Balonowej, Pencroff z niezmierną radością przekonał się, że „Bonawentura” spokojnie stoi na kotwicy w ciasnej zatoczce. Zresztą Przystań Balonowa była tak dobrze ukryta wśród wysokich skał, że nie można jej było odkryć ani z morza, ani z lądu, chyba że się było ponad nią albo w środku.

— No! — zawołał Pencroff. — Te lotry jeszcze tu nie trafiły! Gady wolą ukrywać się w gęstwinie i pewnie znajdziemy ich w Lasach Dalekiego Zachodu.

— Całe szczęście — odpowiedział Harbert — bo gdyby znaleźli „Bonawenturę”, zabrałiby go, aby na nim uciec, a wówczas nie moglibyśmy powtórnie popłynąć na wyspę Tabor.

— Rzeczywiście — powiedział reporter. — A musimy zawieść tam dokument powiadający o położeniu geograficznym Wyspy Lincolna i o nowym miejscu pobytu Ayrtona, na wypadek gdyby przybył po niego szkocki jacht.

— Cóż, panie Spilett — powiedział marynarz — „Bonawentura” jest na swoim miejscu, a jego załoga gotowa do wypłynięcia na pierwszy znak.

— Sądzę, Pencroffie, że przyjdzie na to pora po ukończeniu naszej wyprawy w głąb wyspy. Możliwe przecież, że ten nieznajomy, jeżeli uda się go znaleźć, wie coś więcej zarówno o Wyspie Lincoln, jak i o wyspie Tabor. Nie zapominajmy, że jest niewątpliwym autorem znalezionej przez nas dokumentu i być może wie, co sądzić o powrocie jachtu.

— Do stu tysięcy diabłów! — zawołał Pencroff. — Kto to może być? Ten człowiek nas zna, a my go nie znamy! Jeżeli to tylko rozbitek, dlaczego się ukrywa? Przecież jesteś przyzwoitymi ludźmi, jak mi się zdaje, a towarzystwo przyzwoitych ludzi nikomu nie sprawia przykrości! Czy przybył tu dobrowolnie? Czy może opuścić wyspę, kiedy zechce? Czy jest tu jeszcze, czy go już nie ma?...

Tak rozmawiając, Pencroff, Harbert i Gedeon Spilett weszli na statek i przechadzali się po pokładzie „Bonawentury”. Nagle marynarz, przyjrawszy się palowi, wokół którego okręcona była lina kotwicy, zawołał:

— A to co znowu?! Nie, tego już za wiele!

— Co takiego, Pencroffie? — spytał reporter.

— Co?! To, że to nie ja wiązałem ten węzeł!

Mówiąc to, wskazał linkę mocującą linę kotwicy do pala i zabezpieczającą przez rozwinieciem.

— Jak to, nie pan? — zapytał Gedeon Spilett.

— Nie! Mogę przysiąc! To węzeł płaski, a ja zwykle robię wyblinkę<sup>26</sup>.

— Musiał się pan pomylić, Pencroffie.

— Nie pomyliłem się! — upierał się marynarz. — To się ma w ręce, a ręka się nie myli!

— Czyżby więc piraci weszli na pokład? — zapytał Harbert.

— Nie wiem — odpowiedział Pencroff — ale to pewne, że ktoś podniósł kotwicę „Bonawentury”, a potem rzucił ją ponownie. O, patrzcie! Nowy dowód! Widocznie rozwijano linę kotwiczną, bo jej osłona<sup>27</sup> nie jest już w otworze kluzu. Powtarzam wam, że ktoś korzystał z naszego statku...

— Ależ gdyby to byli piraci, splądrowaliby go albo zabrali i uciekli...

— Uciekli! A dokąd?... Na wyspę Tabor?... — odparł Pencroff. — Myślisz, że by się odważyli puścić na morze na tak niewielkim statku?

— Zresztą musielibyśmy założyć, że znają położenie tej wyspy — zauważył reporter.

— Tak czy owak — powiedział marynarz — jakem Bonawentura Pencroff z Vineyard, tak nasz „Bonawentura” pływał bez nas.

Marynarz powiedział to tak stanowczo, że ani Gedeon Spilett, ani Harbert nie mogli się sprzeciwić. Było oczywiste, że od czasu, gdy Pencroff zostawił go w Przystani Balonowej, statek nie stał przez cały czas na miejscu. Dla marynarza nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że kotwica została podniesiona, a później ponownie spuszczone na dno. Ale po co to zrobiono, jeżeli statku nie użyto do jakiejś wyprawy?

— Czy moglibyśmy nie zauważyć „Bonawentury” przepływającego w pobliżu wyspy? — spytał reporter, który chciał wyrazić wszystkie możliwe wątpliwości.

— Ech, panie Spilett — odparł marynarz — wystarczy wypłynąć nocą przy pomyślnym wietrze, a w dwie godziny później jest się już poza zasięgiem wzroku.

— Zgoda — ciągnął dalej Gedeon Spilett — ale w takim razie pytam się raz jeszcze, w jakim celu bandyci mieliby korzystać z „Bonawentury” i dlaczego potem odprowadzili go z powrotem do portu?

— Cóż, panie Spilett — odparł marynarz — zaliczmy to do rzeczy niewytłumaczalnych i nie myślmy już o tym. Najważniejszą rzeczą było, żebyśmy zastali „Bonawenturę” na miejscu, i jest tutaj. Gdyby piraci dostali go w swoje ręce po raz drugi, moglibyśmy już go tu nie zastać.

— Może więc byłoby bezpieczniej, Pencroffie, przeprowadzić „Bonawenturę” z powrotem przed Granitowy Pałac? — odezwał się Harbert.

— I tak, i nie — odpowiedział Pencroff. — Ale raczej nie. Ujście Rzeki Dziękczynienia nie jest dogodnym miejscem dla statku, morze jest tam zaledwie burzliwe.

— Gdybyśmy go jednak wyciągnęli na piasek pod same Kominy?...

<sup>26</sup>wyblinka — rodzaj węzła marynarskiego mającego tę zaletę, że zawsze pozostaje ciasny. [przypis autorski]

<sup>27</sup>osłona nie jest już w otworze kluzu — część liny kotwicznej owija się kawałkiem płótna (osłoną), aby przesuwając się przez otwór kluzu, mniej się wycierała. [przypis edytorski]

— Może i tak... — odpowiedział Pencroff. — W każdym razie ponieważ mamy wyruszyć na dość długą wyprawę i opuścić Granitowy Pałac, to sądzę, że podczas naszej nieobecności „Bonawentura” będzie bezpieczniejszy tutaj i że lepiej zrobimy, pozostawiając go w tym miejscu, dopóki całkiem nie oczyścimy wyspy z tych łotrów.

— Jestem tego samego zdania — powiedział reporter. — Przynajmniej w razie niepogody będzie mniej narażony, niż byłby przy ujściu Rzeki Dziękczynienia.

— A co jeśli zbiegowie zechcą go znowu odwiedzić? — zauważył Harbert.

— No cóż, mój chłopcze — odpowiedział Pencroff. — Gdyby nie znaleźli statku tutaj, zaraz poszliby go szukać w okolicy Granitowego Pałacu, a podczas naszej nieobecności nikt by im nie przeszkodził w zabraniu go. Dlatego zgadzam się z panem Spilettem, że należy go zostawić w Przystani Balonowej. Ale jak tylko wrócimy, a wyspa nie będzie jeszcze wolna od tych łotrów, rozsądnie będzie przyprowadzić statek pod Granitowy Pałac i trzymać go tam do czasu, gdy nie będziemy się musieli obawiać żadnych niepożądanych wizyt.

— Zgoda. A teraz w drogę! — zakończył reporter.

Powróciwszy do Granitowego Pałacu, Harbert, Pencroff i Gedeon Spilett opowiedzieli inżynierowi wszystko, co im się zdarzyło, a on pochwalił powzięte przez nich postanowienia tak na teraz, jak i co do przyszłości. Przyrzekł nawet marynarzowi, że zbada część cieśniny pomiędzy wysepką a wybrzeżem, żeby się zorientować, czy nie będzie można za pomocą tamy zbudować w tym miejscu sztucznego portu. W ten sposób „Bonawentura” byłby zawsze pod ręką, a w razie potrzeby — jak gdyby zamknięty.

Tego samego wieczoru wysłano do Ayrtona telegram z prośbą, aby sprowadził z zagrody parę kóz, które Nab zamierzał hodować na łąkach płaskowyżu. Co dziwne, Ayrton nie potwierdził otrzymania telegramu, jak to zwykle robił. Bardzo zdziwiło to inżyniera. Mogło się jednak zdarzyć, że Ayrtona nie było w tej chwili w domu albo znajdował się już w drodze do Granitowego Pałacu. Upłynęły już dwa dni od jego odejścia, a postanowiono, że ma powrócić dziesiątego wieczorem lub najpóźniej jedenastego rano.

Koloniści oczekiwali więc na pojawienie się Ayrtona na Płaskowyżu Pięknego Widoku. Nab i Harbert czuwali nawet w pobliżu mostu, aby go opuścić, gdy tylko przyjdzie ich towarzyszy.

Dochodziła dziesiąta, a Ayrton nie dawał znaku życia. Uznano więc, że należy wysłać jeszcze jedną depeszę, prosząc o natychmiastową odpowiedź.

Dzwonek elektryczny w Granitowym Pałacu ani drgnął.

Koloniści poważnie się zaniepokoiли. Co się stało? Czy Ayrtona nie było już w zagrodzie, czy też jeśli tam był, to czy nie utracił swobody ruchów? Może w tę ciemną noc należało biec do zagrody?

Poddano tę kwestię pod dyskusję. Jedni chcieli zaraz wyruszać, inni radzili się wstrzymać.

— Kto wie — powiedział Harbert — może aparat telegraficzny się uszkodził i nie działa?

— To możliwe — odparł reporter.

— Zaczekajmy więc do jutra — odezwał się Cyrus Smith. — Może rzeczywiście Ayrton nie odebrał naszej depeszy albo jego telegram nie dotarł do nas.

Czekali więc, jak łatwo pojąć, pełni niepokoju.

Nazajutrz, 11 listopada, gdy tylko zaczęło świtać, Cyrus Smith jeszcze raz włączył prąd aparatu, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Powtórzył to samo po raz drugi — z tym samym skutkiem.

— W drogę! Do zagrody! — zawołał wówczas.

— I to porządnie uzbrojeni! — dodał Pencroff.

Postanowiono nie pozostawiać Granitowego Pałacu bez opieki i straż nad nim powierzono Nabowi. Po odprowadzeniu towarzyszy aż do Glicerynowego Potoku miał podnieść most, po czym ukryć się za drzewem i oczekiwać na powrót ich lub Ayrtona.

W przypadku gdyby piraci się zjawili i próbowali przeprawy, miał starać się powstrzymać ich strzałami, a gdyby mu się nie udało, wycofać się do Granitowego Pałacu, gdzie po wciągnięciu windy byłby zupełnie bezpieczny.

Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert i Pencroff mieli udać się prosto do zagrody, a gdyby tam Ayrtona nie było, poszukać go w okolicznych lasach.

O szóstej rano inżynier i jego trzech towarzysze przeszli na drugą stronę Glicerynowego Potoku, zostawiając za sobą Naba ukrytego na lewym brzegu strumienia za niewielkim pagórkiem porośniętym dużymi smokowcami.

Koloniści opuścili Płaskowyż Pięknego Widoku i poszli drogą prowadzącą wprost do zagrody. Trzymali broń w pogotowiu, gotowi strzelać przy pierwszym pojawieniu się wrogów. Dwa karabiny i dwie strzelby nabito kulami.

Z obu stron drogi zarośla były tak gęste, że złoczyńcy z łatwością mogli się w nich ukryć, a dzięki swojej broni byłiby bardzo groźni.

Koloniści posuwali szybko i w milczeniu. Top biegł przed nimi, bądź to trzymając się drogi, bądź skręcając w las, nie szczekał jednak i nie sprawiał wrażenia, że wyczuwa coś niezwykłego. Można było liczyć na to, że wierny pies nie da się zaskoczyć i że zaszczeka przy najmniejszym nawet niebezpieczeństwie.

Idąc drogą, osadnicy sprawdzali jednocześnie linię telegraficzną łączącą zagrodę z Granitowym Pałacem. Przeszli już ze dwie mile i dotychczas nie zauważyli żadnego uszkodzenia. Słupy były w dobrym stanie, izolatory nienaruszone, drut prawidłowo napięty. Jednak w pewnej chwili inżynier zauważył, że drut jest coraz słabiej naciągnięty, a gdy doszli do słupa numer 74, idący na przedzie Harbert zatrzymał się z okrzykiem:

— Linia przerwana!

Jego towarzysze przyspieszyli kroku i wkrótce stanęli w miejscu, gdzie zatrzymał się młodzieniec.

Tu w poprzek drogi leżał przewrócony słup. Drut został przerwany i było oczywiste, że depesze z Granitowego Pałacu nie mogły dotrzeć do zagrody i odwrotnie.

— To nie wiatr przewrócił ten słup — zauważył Pencroff.

— O nie! — odpowiedział Gedeon Spilett. — Ziemia dokoła niego jest rozkopana, został wyrwany ręką ludzką.

— Poza tym drut zerwano siłą — dodał Harbert, pokazując oba końce drutu, noszące ślady gwałtownego szarpnięcia.

— Czy ślad rozerwania jest świeży? — zapytał Cyrus Smith.

— Tak — odpowiedział Harbert — niewątpliwie stało się to niedawno.

— Do zagrody! Do zagrody! — zawołał inżynier.

W tej chwili koloniści znajdowali się w połowie drogi pomiędzy Granitowym Pałacem i zagrodą. Mieli do przebycia jeszcze dwie i pół mili. Puścili się biegiem.

Istotnie, należało się obawiać, że w zagrodzie zaszło jakieś poważne zdarzenie. Bez wątplenia Ayrton mógł wysłać telegram, który nie dotarł do celu, ale to nie było jeszcze powodem do niepokoju. Martwił ich niezrozumiały fakt, że Ayrton mimo obietnicy, że powróci poprzedniego dnia wieczorem, do tej pory się nie pokazał. Wreszcie przecież nie bez powodu została zerwana komunikacja pomiędzy zagrodą i Granitowym Pałacem, a któż inny mógł mieć w tym interes, jeżeli nie piraci?

Koloniści biegli z sercami ściśniętymi niepokojem. Szczerze przywiązali się do swego towarzysza. Czyżby mieli go znaleźć zabitego ręką tych, którym niegdyś przewodził?

Wkrótce przybyli do miejsca, w którym droga ciągnęła się wzdłuż maleńkiego strumyka, stanowiącego dopływ Czerwonego Potoku i nawadniającego łąki zagrody. Tu zwolnili kroku, żeby nie przybyć bez tchu, w chwili gdy być może konieczne będzie podjęcie walki. Odbezpieczoną broń trzymali w pogotowiu. Każdy wpatrywał się w las. Top głucho warczał, co nie wróżyło nic dobrego.

Wreszcie pomiędzy drzewami ukazała się palisada zagrody. Nigdzie nie było widać śladu zniszczeń. Brama była zamknięta jak zwykle. W zagrodzie panowała głęboka cisza, nie słychać było ani zwykłego beczenia muflonów, ani głosu Ayrtona.

— Wejdzmy — powiedział Cyrus Smith.

Poszedł naprzód, podczas gdy jego towarzysze stanęli dwadzieścia kroków za nim, gotowi do strzału.

Cyrus Smith odsunął wewnętrzną zasuwę i zamierzał odepchnąć skrzydło bramy, gdy nagle Top zaszczekał wściekle. Ponad palisadą rozległ się wystrzał i odpowiedział mu okrzyk bólu.

Harbert ugodzony kulą padł na ziemię.



## ROZDZIAŁ VII

*Reporter i Pencroff w zagrodzie. — Przeniesienie Harberta. — Rozpacz marynarza. — Narada reportera i inżyniera. — Sposób leczenia. — Trochę nadziei. — Jak zawiadomić Naba? — Posłaniec pewny i wierny. — Odpowiedź Naba.*

Na krzyk Harberta Pencroff rzucił broń i skoczył do niego.

— Zabili go! — zawołał. — Zabili moje najdroższe dziecko!

Cyrus Smith i Gedeon Spilett pobiegli w stronę Harberta. Reporter pochylił się, aby usłyszeć, czy serce biednego młodzieńca bije jeszcze.

— Żyje! — zawołał w końcu. — Ale trzeba go przenieść.

— Do Granitowego Pałacu? To niemożliwe — odpowiedział inżynier.

— A więc do zagrody! — zawołał Pencroff.

— Chwileczkę! — powiedział Cyrus Smith.

I pobiegł w lewo, żeby okrążyć ogrodzenie. Nagle ujrzał przed sobą jednego ze zbiegłych bandytów, który wycelował do niego i przeszył mu kulą kapelusz. Zanim jednak miał czas strzelić po raz drugi, padł ugodzony w samo serce sztyletem Cyrusa, jeszcze pewniejszym od jego strzelby.

Tymczasem Gedeon Spilett i marynarz wdrapali się na częstokół, przeszli górą, skoczyli do zagrody, odsunęli podpory blokujące bramę od wewnątrz i wpadli do domku. Nie było tam nikogo. W kilka minut później Harbert spoczął na posłaniu Ayrtona. Za chwilę Cyrus Smith również znalazł się przy nim.

Na widok leżącego bez życia Harberta marynarz wpadł w straszliwą rozpacz. Łkał, płakał, chciał tłuc głową o ścianę. Reporter i inżynier na próżno starali się go uspokoić. Ich także wzruszenie prawie pozbawiało tchu. Nie mogli wykrztusić ani słowa.

Pomimo to robili wszystko, co było w ich mocy, ażeby wydrzeć śmierci biednego chłopca konającego na ich oczach. Gedeon Spilett po tylu przygodach przebytych w ciągu życia miał pewną wiedzę medyczną i chirurgiczną. Znał się na wszystkim po trosze i już nieraz zdarzyło mu się pielęgnować rany zadane bądź to bronią białą, bądź palną. Toteż z pomocą Cyrusa Smitha przystąpił natychmiast do pierwszych zabiegów, jakich wymagał stan Harberta.

Reportera przede wszystkim uderzyło ogólne odrętwienie chłopca, będące wynikiem czy to krwotoku, czy też wstrząsu, jeżeli kula uderzyła w kość z siłą dostateczną do wywołania podobnego skutku.

Harbert był niezmiernie słaby i miał tak słaby puls, że Gedeon Spilett ledwo wyczuwał uderzenia tętna, i to z długimi przerwami, jak gdyby życie lada chwila miało się zatrzymać. Chłopiec był nieprzytomny i wyglądało na to, że prawie całkowicie stracił czucie. Objawy były bardzo poważne.

Spilett obnażył pierś Harberta i po zatamowaniu krwi chustkami do nosa obmył ją zimną wodą.

Wówczas ukazała się rana. Był to owalny otwór pomiędzy trzecim a czwartym żebrzem. Tam kula ugodziła Harberta.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett przewrócili biednego chłopca na drugi bok. Z jego piersi wydobył się przy tym tak słaby jęk, iż można było sądzić, że to ostatnie tchnienie.

Na plecach Harberta ziała druga rana, w miejscu, którędy wyszła kula.

— Dzięki Bogu! — zawołał reporter. — Kula nie utkwiała w ciele, nie trzeba jej będzie wydobywać.

— A serce? — spytał Cyrus Smith.

— Nieuszkodzone, inaczej Harbert byłby już nieżywy.

— Nieżywy! — zawołał Pencroff z jękiem.

Usłyszał tylko ostatnie słowa reportera.

— Nie, Pencroffie, nie! — zawołał Cyrus Smith. — On żyje! Jego plus wciąż jeszcze bije. Przed chwilą nawet jęknął. Ale błagam pana dla dobra tego dziecka, niech się pan uspokoi. Musimy zachować zimną krew. Niech pan nas nie wytrąca z równowagi, przyjacielu.

Pencroff zamilkł, ale o tym, co przeżywał, świadczyły wielkie łzy spływające mu po twarzy.

Tymczasem Gedeon Spilett usiłował skupić swoje wspomnienia i zdobyć się na jakąś metodę. Z tego, co widział, zdawało mu się niewątpliwe, że kula wpadła z przodu, a wyszła z tyłu. Ale jakie spustoszenia zrobiła, przechodząc? Jakie ważne narządy zostały naruszone? Oto pytania, na które w tej chwili trudno byłoby odpowiedzieć zawodowemu chirurgowi, a coś dopiero reporterowi.

Wiedział jednak dobrze, że należało zapobiec wystąpieniu zakażenia, a następnie zwalczyć zapalenie miejscowe i gorączkę, niewątpliwy wynik tej rany, kto wie, może śmiertelnej. Ale jakich użyć środków, jak zwalczyć stan zapalny?

W każdym razie najważniejszą rzeczą było niezwłocznie opatrzyć obie rany. Gedeon Spilett uznał, że obmywanie ran ciepłą wodą i ściskanie brzegów wywoła nowy niepożądany wpływ krwi. Krwotok już i tak był bardzo obfity i utrata krwi zanadto osłabiła Harberta.

Reporter więc uznał za stosowne przestać na obmyciu ran zimną wodą.

Harberta ułożono na lewym boku i utrzymywano w tej pozycji.

— Nie powinien się ruszać — powiedział Gedeon Spilett. — Ta pozycja jest najbardziej korzystna, żeby ropa swobodnie odpływała z ran na piersi i na plecach, a poza tym konieczny jest absolutny spokój.

— Jak to? Więc nie można go przenieść do Granitowego Pałacu? — spytał Pencroff.

— Nie, Pencroffie — odpowiedział reporter.

— Przekleństwo! — zawołał marynarz, wznosząc zacisniętą pięść ku niebu.

— Pencroffie! — napomniał go Cyrus Smith.

Gedeon Spilett ponownie z największą uwagą zabrał się do badania rannego chłopca. Harbert był nadal tak straszliwie blady, że reporter niepokoił się.

— Cyrusie — powiedział — nie jestem lekarzem, dręczy mnie straszna niepewność... Musi mi pan pomóc swoją radą, swoim doświadczeniem.

— Niech się pan uspokoi, przyjacielu — odpowiedział inżynier, ściskając mu dłoń.

— Niech pan rozważa wszystko z zimną, myśląc tylko o jednym: trzeba ocalić Harberta!

Te słowa przywróciły Gedeonowi Spilettowi opanowanie, które pod wpływem poczucia odpowiedzialności utracił w chwili wątpienia. Podniósł się i usiadł tuż przy łóżku Harberta. Cyrus Smith stanął przy nim. Pencroff rozdarł swoją koszulę i machinalnie zaczął skubać szarpie<sup>28</sup>.

Tymczasem Gedeon Spilett wyjaśnił Cyrusowi Smithowi, że trzeba przede wszystkim powstrzymać wpływ krwi, ale nie zamykać ran ani nie starać się o ich jak najszybsze zabliznienie się, ponieważ doszło do obrażeń wewnętrznych, a nie można dopuścić, by ropa gromadziła się w klatce piersiowej.

Cyrus Smith całkowicie się z nim zgodził. Postanowiono opatrzyć obie rany, jednak bez ich zamykania przez zbliżanie brzegów.

Ale czy koloniści mieli skuteczny środek przeciwko zapaleniu, które mogło wystąpić?

Tak, taki środek mieli pod ręką, przyroda wszystkich hojnie nim obdarzyła. Mieli zimną wodę, a więc najpotężniejszą broń przeciwko zapaleniu ran, najskuteczniejszy czynnik terapeutyczny w przypadkach najbardziej groźnych, obecnie przyjęty już przez wszystkich lekarzy. Zimna woda ma to do siebie, że zapewnia ranie całkowity spokój i usuwa potrzebę natychmiastowego obandażowywania, co stanowi znaczącą zaletę, gdyż nie dopuszcza do zetknięcia się rany z powietrzem, co, jak to pokazało doświadczenie, w pierwszych dniach bywa zgubne.

Tak rozumowali Gedeon Spilett i Cyrus Smith, kierując się tylko wrodzonym zdrowym rozsądkiem, a nie mogliby rozumować lepiej, będąc najbieglejszymi chirurgami. Na rany biednego Harberta przyłożono więc kompresy z płótna i stale zwilżano je zimną wodą.

Marynarz zaraz po wypadku rozniecił ogień w domku, w którym nie brakowało rzeczy niezbędnych do życia. Cukier klonowy i rośliny lecznicze, te same, które młodzieniec zebrał niegdyś na brzegach Jeziora Granta, ułatwiły przyrządzenie orzeźwiających ziółek,

<sup>28</sup>szarpie — daw. materiał na opatrunki sporządzany z nitek wyskubywanych z kawałków płótna. [przypis edytorski]

które wiano w usta Harbertowi, wciąż jeszcze nieprzytomnemu. Biednego młodzieńca dręczyła bardzo silna gorączka. Minął cały dzień i noc, a wciąż jeszcze nie odzyskał przytomności. Jego życie wisiało na włosku, który mógł się lada chwila zerwać.

Nazajutrz, 12 listopada, Cyrus Smith i jego towarzysze zaczęli mieć jakąś nadzieję. Harbert odzyskał przytomność. Otworzył oczy i poznał Cyrusa Smitha, reportera i Pencroffa. Wymówił nawet dwa czy trzy słowa. Nie wiedział jednak jeszcze, co się z nim stało. Gedeon Spilett opowiedział mu o wszystkim, zaklinając, aby się wystrzegł najmniejszego poruszenia, i zapewniając go, że jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, a rany w ciągu kilku dni się zabliznią. Harbert prawie nie czuł bólu, a woda, którą bez ustanku skrapiano okłady, zapobiegała zapaleniu ran. Wydzielanie ropy było normalne, gorączka się nie zwiększała, można więc było się spodziewać, że ta okropna rana nie pociągnie za sobą żadnej katastrofy. Pencroff czuł, jak ma powoli spada kamień z serca. Czuwał jednak wciąż nad Harbertem jak siostra miłosierdzia, jak matka przy łóżku swego dziecka.

Harbert ponownie zasnął, snem, jak się zdawało, o wiele spokojniejszym.

— Niech mi pan powtórzy, że ma pan nadzieję, panie Spilett — odezwał się Pencroff.  
— Niech pan powtórzy, że uratuje pan Harberta!

— O tak, uratujemy go! — odpowiedział reporter. — To ciężka rana, a kto wie nawet, czy kula nie przeszła płuc, ale przebicie tego narządu nie jest śmiertelne.

— Oby pana Bóg wysłuchał!... — zawołał Pencroff.

Jak łatwo się domyśleć, przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny pobytu w zagrodzie koloniści zajmowali się tylko Harbertem. Nie zastanawiali się nad niebezpieczeństwem, które mogłoby im grozić w przypadku powrotu piratów, ani o środkach ostrożności, które należałoby podjąć na przyszłość.

Ale tego dnia, podczas gdy Pencroff czuwał u łóżka chorego, Cyrus Smith i reporter oddalili się na chwilę, żeby porozmawiać o tym, co zrobić.

Przede wszystkim obeszli całą zagrodę. Nigdzie nie było ani śladu Ayrtona. Czyżby uprowadzili go dawni współnicy? Czyżby napadli go znienacka w zagrodzie? A w takim razie może walczył i zginął? To ostatnie przypuszczenie aż nadto było prawdopodobne. W chwili przechodzenia przez częstokół Gedeon Spilett widział wyraźnie, jak jeden z bandytów uciekał w stronę południowego stoku Góry Franklina, a Top rzucił się za nim. Był to jeden z tych piratów, których łódź rozbiła się o skały przy ujściu Rzeki Dziękczynienia. Zresztą zabity przez Cyrusa Smitha złoczyńca, którego ciało znaleziono poza palisadą, należał niewątpliwie do bandy Boba Harveya.

W samej zagrodzie nie było żadnych zniszczeń. Wrota były zamknięte, więc zwierzęta nie mogły rozbiec się po lesie. Nie było widać żadnych śladów walki, żadnych uszkodzeń ani w palisadzie, ani w domu.

— Nieszczęśnik — powiedział Cyrus Smith, myśląc o Ayrtonie. — Musieli go napaść znienacka, a ponieważ niewątpliwie się bronił, więc go zabili.

— Tak, też się tego obawiam! — odpowiedział reporter. — Następnie zapewne zakwaterowali się w zagrodzie, gdzie znaleźli wszystkiego pod dostatkiem, i dopiero kiedy nas zobaczyli, uciekli. To całkiem pewne, że w tym momencie Ayrtona, żywego czy martwego, już tu nie było.

— Należałoby przeszukać las — powiedział inżynier — i uwolnić wyspę od tych nędzników. Przeczucia Pencroffa nie zawiodły go, gdy radził zrobić na nich obławę jak na dzikie bestie. Iluż by to nieszczęść nam oszczędziło!

— To prawda — odpowiedział reporter — ale teraz mamy prawo postępować bez litości!...

— W każdym razie — zauważył inżynier — musimy pozostać w zagrodzie do chwili, gdy będzie można bez ryzyka przenieść Harberta do Granitowego Pałacu.

— A co z Nabem? — spytał reporter.

— Nab jest bezpieczny.

— A jeżeli zaniepokojony naszą nieobecnością odważy się tu przyjść?

— Nie możemy do tego dopuścić — odpowiedział żywo Cyrus Smith. — Zamordowano by go w drodze.

— A jednak to bardzo prawdopodobne, że spróbuje do nas dołączyć.

— Ach, gdyby telegraf jeszcze funkcjonował, moglibyśmy go uprzedeć. Ale teraz to niemożliwe! A nie możemy też zostawić tutaj samego Pencroffa z Harbertem... Ha!... Więc pójdę do Granitowego Pałacu sam.

— Nie, nie, Cyrusie! — zawołał reporter. — Nie wolno się panu w ten sposób narażać! Na nic by się nie zdała cała pańska odwaga. Ci nędznicy najpewniej pilnują zagrody, założyłbym się, że siedzą w zasadzce w otaczających lasach, więc gdyby pan wyruszył w drogę, wkrótce mielibyśmy do oplakiwania dwa nieszczęścia zamiast jednego.

— Ale co z Nabem?... — powtórzył inżynier. — Od dwudziestu czterech godzin nie miał od nas żadnych wiadomości. Gotów do nas przyjść.

— A ponieważ będzie mniej ostrożny niż my, zginie! — zawołał Gedeon Spilett.

— Czy nie ma sposobu, żeby go ostrzec?

Inżynier zastanawiał się nad tym, gdy nagle jego wzrok padł na Topa, który kręcił się tu i tam, jakby chcąc powiedzieć: „A ja? Cóż to, czy zapomnieliście o mnie?”.

— Top! — zawołał Cyrus Smith.

Zwierzę podbiegło na głos swego pana.

— Tak, Top pójdzie! — zawołał reporter, zrozumiawszy od razu myśl inżyniera. — Top przejdzie tam, gdzie my nie dalibyśmy rady! Zaniesie do Granitowego Pałacu wiadomość z zagrody i przyniesie nam stamtąd odpowiedź!

— Prędeż! — odpowiedział Cyrus Smith. — Spieszmy się!

Gedeon Spilett szybko wydarł kartkę ze swojego notatnika i skreślił na niej następujące słowa:

Harbert ranny. Jesteśmy w zagrodzie. Miej się na baczności. Nie opuszczaj Granitowego Pałacu. Czy piraci pojawili się gdzieś w okolicach Pałacu? Odpowiedz przez Topa!

Ten związły list zawierał wszystko, co Nab powinien wiedzieć, a równocześnie zapytywał o wszystko, czego chcieli się dowiedzieć koloniści. Złożono kartkę i w sposób bardzo widoczny przymocowano do obroży Topa.

— Top, mój piesku! — zawołał wówczas inżynier, głaszcząc wierne zwierzę. — Nab, Topie! Nab! Ruszaj! Naprzód!

Top na te słowa skoczył naprzód. Widocznie zrozumiał czy odgadł, czego od niego wymagano. Droga z zagrody do Granitowego Pałacu i z powrotem była mu doskonale znana. Mógł ją przebyć w niespełna pół godziny i było pewne, że tam, gdzie Cyrus Smith ani reporter nie uniknęliby niebezpieczeństwa, Top, przemykając się w wysokiej trawie lub skrajem lasu, przejdzie niepostrzeżony.

Inżynier podszedł do bramy ogrodzenia i otworzył jej skrzydło.

— Nab! Topie, Nab! — powtórzył raz jeszcze i wyciągnął rękę w kierunku Granitowego Pałacu.

Top wyskoczył za bramę i prawie natychmiast zniknął z oczu.

— Dotrze na miejsce — powiedział reporter.

— Niewątpliwie dotrze i powróci, wierne zwierzę.

— Która godzina? — spytał Gedeon Spilett.

— Dziesiąta.

— Za godzinę może już być z powrotem. Będziemy go wyglądali.

Bramę zagrody ponownie zamknięto. Inżynier i reporter powrócili do domu. Harbert był pogrążony w głębokim śnie. Pencroff dbał, żeby okłady na ranach były cały czas wilgotne. Gedeon Spilett, nie mając w tej chwili nic innego do roboty, zajął się przyrządzaniem posiłku, jednocześnie nie spuszczać z oka części ogrodzenia przylegającej do zbocza góry, skąd najprędzej można było się obawiać napadu.

Koloniści z wielkim niepokojem czekali na powrót Topa. Na kilka chwil przed jedenastą Cyrus Smith i reporter z bronią w ręku zaczęli się za bramą, gotowi otworzyć ją przy pierwszym szczeknięciu wiernego psa. Nie mieli wątpliwości, że jeżeli tylko Topowi udało się szczęśliwie dotrzeć do Granitowego Pałacu, to Nab natychmiast odesłał go z powrotem.

Czekali tak już z dziesięć minut, gdy nagle zabrzmiał strzał, a po nim rozległo się gwałtowne szczekanie.

Inżynier szybko otworzył bramę i widząc jeszcze resztki dymu unoszące się w odległości stu kroków na skraju lasu, wypalił w tym kierunku.

Prawie w tej samej chwili Top wpadł do zagrody. Natychmiast zamknięto za nim bramę.

— Top! Top! — zawołał z niepokojem inżynier, przyciskając do piersi poczciwy łeb dzielnego psa.

Do obroży przymocowana była kartka, z której Cyrus Smith odczytał następujące słowa, nakreślone niezgrabnymi literami przez Naba:

Ani śladu piratów w pobliżu Granitowego Pałacu. Nie ruszę się z miejsca.

Biedny pan Harbert!

## ROZDZIAŁ VIII

*Piraci w pobliżu zagrody. — Tymczasowe zakwaterowanie. — Dalsze leczenie Harberta. — Pencroff zaczyna się cieszyć. — Rzut oka w przeszłość. — Co przyniesie przyszłość. — Pogląd Cyrusa na tę sprawę.*

Tak więc, jak się okazało, piraci wciąż znajdowali się w pobliżu, nie spuszczając z oka zagrody, zdecydowani wymordować kolonistów jednego po drugim. Nie pozostało nic innego, jak tylko traktować ich jak dzikie bestie. Należało podjąć poważne środki ostrożności, gdyż w tej chwili ci nędznicy mieli przewagę, mogli wszystko obserwować, sami nie będąc widziani, mogli zaskoczyć kolonistów niespodziewanym atakiem, sami nie potrzebując się tego obawiać.

Cyrus Smith urządził zatem wszystko w ten sposób, aby umożliwić kolonistom dłuższy pobyt wewnątrz zagrody, której zasoby mogły wystarczyć na dość długo. Mieszkanie Ayrtona zaopatrzone było we wszystkie rzeczy niezbędne do życia, których bandyci, sploszeni niespodziewanym zjawieniem się kolonistów, nie mieli czasu zrabować. Prawdopodobnie, jak zauważył Gedeon Spilett, wszystko potoczyło się w następujący sposób: sześciu piratów po wylądowaniu na wyspie poszło południowym wybrzeżem, obeszlili brzeg Półwyspu Wężowego, a nie chcąc zapuszczać się w Las Dalekiego Zachodu, dotarli do ujścia Rzeki Wodospadu. Stamtąd prawym brzegiem rzeki doszli do zboczy Góry Franklina, gdzie oczywiście zaczęli szukać jakiegoś schronienia i odkryli zagrodę, wówczas niezamieszkaną. Zapewne ulokowali się w niej, czekając na odpowiedni moment, żeby wprowadzić w czyn swoje ohydne zamiary. Przybycie Ayrtona musiało ich zaskoczyć, ale zdołali obezwładnić nieszczęśnika i... resztę łatwo już było odgadnąć.

Teraz ci bandyci, wprawdzie już tylko w pięciu, ale dobrze uzbrojeni, włączyli się po okolicznych lasach, tak że zapuszczanie się tam byłoby wystawianiem się na ich ataki bez możliwości odparcia lub uprzedzenia niebezpieczeństwa.

— Musimy czekać! To tylko nam pozostało w tej chwili — powtarzał Cyrus Smith. — Gdy tylko Harbert wyzdrowieje, będziemy mogli urządzić oblawę na wyspie i pokonamy wreszcie tych nędzników. To powinno być głównym celem naszej wielkiej wyprawy, podobnie jak...

— Odszukanie naszego tajemniczego opiekuna — dodał Gedeon Spilett, kończąc myśl inżyniera. — Ach! Trzeba przyznać, drogi Cyrusie, że tym razem jego opieki zabrakło, i to właśnie w chwili, gdy jej najbardziej potrzebowaliśmy!

— Kto wie? — odpowiedział inżynier.

— Co pan przez to rozumie? — spytał reporter.

— Że może nie jesteśmy jeszcze u kresu naszych utrapień, drogi Spilecie, i potężna moc naszego opiekuna będzie miała jeszcze okazję się objawić. Ale nie o to chodzi. Teraz najważniejsze jest życie Harberta.

Istotnie, była to największa troska kolonistów. Minęło kilka dni i stan biednego chłopca na szczęście nie pogorszył się. A w takiej chorobie zyskanie na czasie znaczy już bardzo wiele. Zimna woda, utrzymywana ciągle w odpowiedniej temperaturze, zapobiegła wytworzeniu się stanu zapalnego ran. Reporterowi wydawało się nawet, że ta woda, trochę siarkowa — co można było wyjaśnić bliskością wulkanu — miała jakiś bardziej

bezpośredni wpływ na gojenie się ran. Ropa wydzielala się mniej obficie, zaś dzięki nieustannym staraniom, którymi go otaczano, Harbert zaczął powracać do sił, coraz mniej gorączkując. Pozostawał zresztą na ścisłej diecie, co znacznie go osłabiło. Ponieważ jednak nie żalowano mu ziółek ani spokoju, jego stan coraz bardziej się poprawiał.

Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Pencroff nabrali wielkiej zręczności w opatrywaniu chorego młodzieńca. Na bandażu poświęcono całą znajdującą się w domu bieliznę. Rany Harberta, pokryte szarpkami i okładem, nie były ani nazbyt, ani niedostatecznie ściśnięte, ale o tyle, aby doprowadzić do ich zabliznienia się bez wywołania reakcji zapalnej.

Reporter przykładał do tych opatrywań szczególne znaczenie, wiedząc dobrze, jak są ważne, i wciąż powtarzał swoim towarzyszom to, co uznaje większość lekarzy: że niewątpliwie rzadziej się zdarza widzieć dobrze opatrzoną ranę niż dobrze wykonaną operację.

Po upływie dziesięciu dni, 22 listopada, stan Harberta znacznie się polepszył. Młodzieniec zaczął już nawet przyjmować niewielkie ilości pokarmu. Na policzki powróciły mu rumieńce, a jego dobre oczy uśmiechały się do opiekunów. Zaczął też trochę mówić, pomimo wysiłków Pencroffa, który chcąc mu przeszkodzić, plótł bez ustanku, opowiadał najbardziej nieprawdopodobne historie. Harbert zapytał o Ayrtona, dziwiąc się, że go nie widzi w pobliżu, i sądząc, że musi być w zagrodzie. Marynarz, nie chcąc martwić młodzieńca, odpowiedział, że Ayrton poszedł do Naba i razem pilnują Granitowego Pałacu.

— Ach, ci piraci! — wołał od czasu do czasu. — Ci dżentelmeni stracili już prawo do jakichkolwiek względów! A pan Smith chciał apelować do ich sentymentów!... Dałbym ja im sentyment, ale ołowiany, i to dobrego kalibru!

— Nie pokazali się już ponownie? — spytał Harbert.

— Nie, mój chłopcze — odpowiedział marynarz — ale znajdziemy ich sami, a kiedy wyzdrowiejesz, przekonamy się, czy ci nędznicy, odważni, gdy uderzają od tyłu, ośmielają się stanąć przeciwko nam twarzą w twarz!

— Ale jestem jeszcze bardzo słaby, mój biedny Pencroffie.

— Ech, powoli wrócą ci siły! Cóż to jest kula przez pierś? Ot, drobnostka! Nie takie już rzeczy przeżyłem, a czuję się nie najgorzej.

Wszystko zdawało się jak najlepiej układać i dopóki nie pojawiłyby się jakieś komplikacje, wyzdrowienie Huberta można było uważać za pewne. Ale jakie byłoby położenie kolonistów, gdyby jego stan się pogorszył, gdyby na przykład kula utkwiała w ciele lub gdyby trzeba by było amputować rękę albo nogę?

— Nie! — powtarzał nieraz Gedeon Spilett. — Nigdy nie mogłem myśleć o podobnej ewentualności bez drżenia.

— A jednak, gdyby trzeba było — odpowiedział mu pewnego dnia Cyrus Smith — na pewno by się pan nie zawahał.

— Nie, Cyrusie! — odpowiedział Gedeon Spilett. — Ale Bogu niech będą dzięki, że mi oszczędził podobnej próby.

Jak w wielu innych przypadkach, tak i w tym koloniści odwoływali się po prostu do zdrowego rozsądku, który im tyle razy tak dobrze posłużył i po raz kolejny, dzięki ogólnej wiedzy, jaką posiadali, także ich nie zawiódł. Ale czy nie należało się obawiać, że może nadejść taka chwila, w której cała ich wiedza nie wystarczy? Byli sami na wyspie. Tymczasem ludzie, żyjąc w społeczeństwie, uzupełniają się, są sobie nawzajem potrzebni. Cyrus Smith dobrze o tym wiedział i czasem zadawał sobie pytanie, czy nie zajdzie taka okoliczność, wobec której okażą się bezradni.

Poza tym wydawało mu się, że on i jego towarzysze, dotąd tak szczęśliwi, weszli naraz w jakiś fatalny okres. Od przeszło dwóch i pół roku, czyli od czasu jak uciekli z Richmond, wszystko, można powiedzieć, szło im jak z płatka. Wyspa dostarczyła im w obfitości minerałów, roślin, zwierząt, a oni dzięki swej wiedzy umieli korzystać z tego, co im oferowała. Kolonia osiągnęła zupełny dobrobyt. Co więcej, w pewnych okolicznościach jakaś niezwykła moc przychodziła im z pomocą!... Ale to wszystko mogło się nagle skończyć.

Słowem, Cyrusowi Smithowi zdawało się, że szczęście się od nich odwróciło.

Istotnie, na wodach wyspy pojawił się okręt piratów i chociaż razem z załogą został zniszczony, jeśli się tak można wyrazić, niemal cudem, to sześciu bandytów uniknęło katastrofy. Wylądowali na wyspie, a pięciu pozostałych przy życiu było prawie nieuchwytny-

nych. Nie ulegało wątpliwości, że Ayrton został zamordowany przez tych nędzników, posiadających broń palną i władających nią tak dobrze, że przy pierwszym wystrzale ich kula ugodziła Harberta prawie śmiertelnie. Czy nie były to przypadkiem pierwsze ciosy nieprzychylnego losu, który odtąd miał dręczyć kolonistów? To pytanie wciąż zadawał sobie Cyrus Smith. Oto co często powtarzał reporterowi i obu im się wydawało, że ta niezwykła, lecz skuteczna pomoc, której dotychczas tyle razy doznawali, teraz ich zawiodła. Czyżby ta tajemnicza istota, której istnieniu, kimkolwiek była, nie mogli zaprzeczyć, opuściła wyspę? A może z kolei ona sama uległa jakiemuś nieszczęściu?

Na te pytania nie można było udzielić odpowiedzi. Nie należy jednak sądzić, że Cyrus Smith i jego towarzysz rozmawiali o tym, ponieważ stracili nadzieję. Bynajmniej! Zdawali sobie jasno sprawę ze swego położenia, analizowali szanse, przygotowywali się na każdą okazję, z podniesionym czołem szli na spotkanie przyszłości, a gdyby jakieś przeciwności miały na nich uderzyć, napotykałyby ludzi gotowych do nieustraszonej walki.

## ROZDZIAŁ IX

*Brak wiadomości od Naba. — Odrzucona propozycja Pencroffa i reportera. — Wypadki Gedeona Spilletta. — Strzęp płótna. — Wiadomość. — Pospieszny wymarsz. — Przybycie na Płaskowyż Pięknego Widoku.*

Ranny młodzieniec stopniowo powracał do zdrowia. Należało teraz życzyć sobie tylko jednego: żeby stan Harberta pozwolił na przeniesienie go do Granitowego Pałacu. Jakkolwiek dom w zagrodzie był dobrze urządzone i zaopatrzone, nie mógł się jednak równać z wygodnym i zdrowym mieszkaniem z granitu. Co więcej, nie zapewniał podobnego bezpieczeństwa i jego chwilowi mieszkańcy pomimo całej ostrożności wciąż byli narażeni na możliwe strzały piratów. Tam zaś, w Granitowym Pałacu, wewnątrz niezdobitych i niedostępnych ścian, nie było się czego obawiać, gdyż wszystkie zakusy przeciwko nim nieuchronnie spełzyłyby na niczym. Toteż z niecierpliwością oczekiwali właściwej chwili, by przetransportować Harberta bez zagrożenia dla jego zdrowia. Byli zdecydowani go przenieść, pomimo że przebycie Lasu Złotopióra nastęczało wiele trudności.

Od Naba nie było wprawdzie wiadomości, ale nie budziło to niepokoju kolonistów. Dzielny Murzyn, dobrze ukryty w głębi Granitowego Pałacu, nie dałby się zaskoczyć. Nie posłano do niego ponownie Topa, żeby nie narażać niepotrzebnie wiernego psa na strzały bandytów, które mogłyby pozbawić kolonistów najpożyteczniejszego pomocnika.

Kolonisci czekali więc, chociaż pragnęli jak najprędzej powrócić do Granitowego Pałacu. Inżynierowi ubolewał, że ich siły są rozdzielone, co sprzyjało piratom. Od czasu zniknięcia Ayrtona kolonistów było już tylko czterech przeciwko pięciu, gdyż Harbert nie mógł się jeszcze liczyć. Biedny młodzieniec martwił się, gdyż rozumiał, że mają z jego powodu kłopoty.

29 listopada, w czasie gdy pogrążony we śnie Harbert nie mógł ich słyszeć, Cyrus Smith, Gedeon Spillett i Pencroff zaczęli się naradzać, jakie działania w obecnych warunkach należy podjąć przeciwko opryszkom.

— Przyjaciele — powiedział reporter po krótkiej rozmowie na temat Naba i niemożności skomunikowania się z nim — popieram wasze zdanie, że zaryzykować wyjście na drogę prowadzącą do zagrody znaczy tyle, co wystawić się na strzały bez możliwości odwetu. Czy nie sądzicie więc, że najwłaściwsze w tej chwili byłoby po prostu urządzenie polowania na tych nędzników?

— Też tak myślałem — odpowiedział Pencroff. — Nikt z nas, jak sądzę, nie obawia się kulki, a jeżeli pan Cyrus się ze mną zgodzi, gotów jestem natychmiast ruszyć do lasu. Cóż u diabła! Żaden z nas nie jest mniej wart niż któryś z nich.

— Ale czy tyle, co pięciu? — spytał inżynier.

— Przyłączę się do Pencroffa — odpowiedział reporter — a we dwóch, dobrze uzbrojeni, mając ze sobą Topa...

— Drodzy przyjaciele — odpowiedział Cyrus Smith — rozważmy na zimno. Gdyby piraci ukryli się w pewnym konkretnym miejscu na wyspie, gdybyśmy je znali i gdyby chodziło tylko o wykurzenie ich stamtąd, popierałbym bezpośredni atak. Ale czy nie należy się obawiać sytuacji odwrotnej, to znaczy, że to oni zaczną strzelać pierwsi?

— Cóż, panie Cyrusie, nie każda kula trafia pod właściwy adres!

— Ta, która dosięgła Harberta, nie zablądziła po drodze, Pencroffie — odpowiedział inżynier. — Zresztą zwróćcie uwagę i na to, że jeżeli obydwaj opuścicie zagrodę, to do jej obrony zostaną tylko ja sam. A czy możecie ręczyć za to, że bandyci nie zobaczą, jak wychodzicie, i że nie pozwolą wam zapuścić się spokojnie w las, po to aby skorzystać z waszej nieobecności i uderzyć na zagrodę, wiedząc, że znajdują tu tylko rannego chłopca i jednego obrońcę?

— Ma pan rację, panie Cyrusie! — zawołał Pencroff, choć piersi rozpierał mu głuchy gniew. — Ma pan rację. Gotowi zrobić wszystko, żeby ponownie zawładnąć zagrodą, gdyż wiedzą, że jest dobrze zaopatrzona. A sam jeden nie zdołałby się pan im oprzeć. Ach, gdybyśmy byli w Granitowym Pałacu!

— Gdybyśmy byli w Granitowym Pałacu — odpowiedział inżynier — sytuacja byłaby inna. Tam nie obawiałbym się zostawić Harberta z jednym z nas, a pozostali wyruszyliby, żeby przetrząsnąć lasy na wyspie. Ale jesteśmy w zagrodzie i musimy w niej pozostać do chwili, aż będziemy mogli opuścić ją wszyscy razem.

Nie można było się nie zgodzić z rozumowaniem Cyrusa Smitha i jego towarzysze dobrze to rozumieli.

— Gdyby przynajmniej Ayrton był z nami! — zawołał Gedeon Spilett. — Biedak! Jak krótko trwało jego ponowne życie wśród ludzi!

— Jeżeli nie żyje... — dodał Pencroff dziwnym tonem.

— Czyżby miał pan nadzieję, że ci niegodziwcy darowali mu życie? — zapytał Gedeon Spilett.

— Tak, jeżeli mieli w tym jakiś interes.

— Jak to?! Przypuszcza pan, że Ayrton, odnalazszy swoich dawnych kamratów, zapomniał o wszystkim, co nam zawdzięcza?...

— Kto wie? — odpowiedział marynarz, z pewnym wahaniem stawiając to przykre podejrzenie.

— Pencroffie — odezwał się Cyrus Smith, biorąc marynarza za rękę — ma pan nie-dobre myśli i bardzo by mnie pan zmartwił, gdyby pan przy nich obstawał. Ręczę za wierność Ayrtona.

— I ja również — dorzucił żywo reporter.

— Tak, tak, panie Cyrusie, zblądziłem — odpowiedział Pencroff. — To była rzecz-wście niedobra myśl, której nic nie usprawiedliwia. Ale co panowie chcecie? Nie wiem już, dalibóg, co się ze mną dzieje. To uwięzienie w zagrodzie mnie męczy okropnie. Nigdy nie byłem tak rozdrażniony jak dziś.

— Cierpliwości, Pencroffie — odpowiedział inżynier. — Jak pan sądzi, drogi Spilecie, jak prędko będzie można przetransportować Harberta do Granitowego Pałacu?

— Trudno powiedzieć, Cyrusie — odpowiedział reporter — gdyż najmniejsza nie-ostrożność mogłaby wywołać fatalne skutki. Niemniej jednak rekonwalescencja przebiega prawidłowo, więc może za tydzień odzyska siły, a wtedy zobaczymy.

Cały tydzień! Zatem powrót do Granitowego Pałacu mógłby nastąpić dopiero w pierw-szych dniach grudnia.

Wiosna trwała już od dwóch miesięcy. Pogoda była prześliczna i upały zaczynały się wzmaczać. Lasy na wyspie okryły się liśćmi i zbliżał się czas, w którym trzeba było roz-począć zbiory. Po powrocie na Płaskowyż Pięknego Widoku koloniści powinni zająć się intensywnymi pracami rolnymi, które przerwać miała tylko zamierzona wyprawa w głąb wyspy.

Łatwo zatem zrozumieć, jak doskwierało kolonistom to zamknięcie w zagrodzie. Mu-sieli jednak nagiąć się wobec konieczności, chociaż poddawali się temu nie bez mocnego zniecierpliwienia.

Raz czy dwa reporter odważył się wyjść za bramę zagrody i obejść wkoło palisadę. Towarzyszył mu Top, a on sam, trzymając odbezpieczony karabin, był przygotowany na wszelką ewentualność.

Nie spotkał nikogo ani nie spostrzegł w pobliżu zagrody żadnych podejrzanych śla-dów. Zresztą pies ostrzegłby go o niebezpieczeństwie, a ponieważ nie szczeknął ani razu, można było przypuszczać, że przynajmniej w tej chwili nie ma powodu do obaw i że piraci znajdują się w jakiejś innej części wyspy.



Podczas drugiego wypadu, 27 listopada, Gedeon Spilett, zapuściwszy się ze ćwierć mili w las na południowym zboczu góry, zauważył, że Top coś wywęszył. Pies stracił swoją zwykłą obojętną postawę. Biegał tam i z powrotem, wietrząc po kępach trawy i krzakach, jak gdyby węch ujawnił mu coś podejrzanego.

Gedeon Spilett podążył za psem, szcując go i zachęcając głosem, a jednocześnie czujnie rozglądając się dookoła, trzymając karabin w pogotowiu i kryjąc się za drzewami. Było mało prawdopodobne, aby Top wyczuł obecność człowieka, bo w takim przypadku oznajmiłby ją na pół stłumionym, głuchym szczekaniem ze oznakami złości. Tymczasem teraz ani warknął, co znaczyło, że w pobliżu nie ma niebezpieczeństwa.

Tak upłynęło z pięć minut, w ciągu których Top ciągle węszył i szukał, a reporter szedł za nim ostrożnie, gdy nagle pies skoczył w gęste krzaki i wyciągnął stamtąd strzęp jakiegoś płótna.

Był to kawałek ubrania, poplamiony i podarty. Gedeon Spilett zaniósł go natychmiast do zagrody. Koloniści obejrzeni go uważnie i rozpoznali w nim kawałek kamizelki Ayrtona, uszytej z filcu wyrabianego jedynie w pracowni Granitowego Pałacu.

— Widzi pan, Pencroffie — powiedział, zwracając się do niego, Cyrus Smith — oto dowód oporu nieszczęsnego Ayrtona. Bandyci uprowadzili go wbrew jego woli. Czy wątpi pan jeszcze w jego uczciwość?

— Nie, panie Cyrusie — odpowiedział marynarz. — Już dawno pozbyłem się tej chwilowej podejrzliwości. Wydaje mi się jednak, że z tego faktu można wyciągnąć pewien wniosek.

— A mianowicie? — spytał reporter.

— Że Ayrtona nie zabito w zagrodzie. Uprowadzono go żywcem, skoro stawiał opór. Może więc jeszcze żyje.

— Istotnie, możliwe — odpowiedział inżynier w zamyśleniu.

Był to promyk nadziei, którego mogli uczepić się towarzysze Ayrtona. Jeszcze niedawno uważali, że Ayrton napadnięty zniemacka w zagrodzie padł od kuli tak jak Harbert. Jeżeli jednak, jak się obecnie pokazało, bandyci nie zabili go od razu, jeżeli go uprowadzili żywcem w jakąś inną część wyspy, to czy nie można było mieć nadziei, że żyje nadal jako więzień? A kto wie nawet, czy któryś z rozbójników nie rozpoznał w Ayrtonie dawnego kamrata z Australii, Ben Joyce'a, herszta zbiegłych więźniów, i czy nie powzięli zuchwałej nadziei przyciągnięcia go na swoją stronę? Gdyby tylko udało im się nakłonić go do zdrady, bardzo by im się przydał.

Znalezienie strzępka tkaniny uznano w zagrodzie za pomyślny znak i odtąd odnalezienie Ayrtona przestało wydawać im się niemożliwe. Zresztą nie ulegało wątpliwości, że jeżeli Ayrton żyje i jest w niewoli, to ze swej strony zrobi wszystko, co będzie w jego mocy, aby wyrwać się z rąk bandytów, a wtedy koloniści zyskaliby potężnego pomocnika.

— W każdym razie — zauważył Gedeon Spilett — jeżeli Ayrtonowi uda się szczęśliwie wydostać z rąk porywaczy, niewątpliwie pospieszy wprost do Granitowego Pałacu, gdyż nic nie wie o morderczym zamachu, którego ofiarą padł Harbert, a więc nie może mu przyjść na myśl, że jesteście zamknięci w zagrodzie.

— Ach, chciałbym, żeby już był w Granitowym Pałacu, a my razem z nim! — zawołał Pencroff. — Bo koniec końców, chociaż ci hultaje nie mogą niczego zrobić przeciwko naszemu mieszkaniu, to mogą spustoszyć płaskowyż, nasze plantacje, naszą ptaszarnię.

Pencroff stał się już prawdziwym rolnikiem, oddanym całym sercem swoim uprawom. Trzeba jednak przyznać, że najpilniej do Granitowego Pałacu było Harbertowi, gdyż zdawał sobie sprawę, jak niezbędną była tam obecność kolonistów, a to przecież tylko ze względu na niego pozostawali w zagrodzie. Toteż zawładnęła nim jedna jedyna myśl: opuścić zagrodę, i to za wszelką cenę! Wydawało mu się, że ma dosyć siły, aby znieść transport do Granitowego Pałacu. Zapewniał, że dużo szybciej nabierze sił w swoim pokoju, pełnym świeżego powietrza i z widokiem na morze.

Kilkakrotnie naciskał Gedeona Spiletta, ale reporter, słusznie obawiając się, że rany młodzieńca, jeszcze słabo zabliźnione, mogą się w drodze otworzyć, nie chciał wydać hasła do odejścia.

Tymczasem jednak zaszedł wypadek, który skłonił Cyrusa Smitha i jego obu przyjaciół do tego, że ulegli naleganiom Harberta, ale Bóg tylko wie, ile to postanowienie kosztowało ich żalu i wyrzutów sumienia.

Było to 29 listopada. O siódmej rano trzech koloniści rozmawiali w pokoju Harberta, gdy nagle usłyszeli donośne szczekanie Topa.

Na ten dźwięk Cyrus Smith, Pencroff i Gedeon Spilett chwycili zawsze gotowe do strzału strzelby i wypadli z domu.

Top biegł wzdłuż palisady, skacząc i szczekając, ale najwyraźniej z radości, nie ze złości.

— Ktoś idzie.

— Tak.

— I to nie wróg...

— Może Nab?

— Lub Ayrton?

Ledwie inżynier i jego towarzysze zdolali zamienić tych parę słów, gdy jakaś postać przesadziła palisadę i stanęła przed nimi. Był to Jup, pan Jup we własnej osobie, Jup, którego Top witał jak prawdziwego przyjaciela!

— Jup! — zawołał Pencroff.

— To Nab go nam przysłał! — odpowiedział reporter.

— Jeśli tak — odezwał się reporter — to musi mieć przy sobie jakąś kartkę.

Pencroff pospieszył do orangutana. Jeżeli Nab chciał przekazać jakąś ważną wiadomość swemu panu, to z pewnością nie mógł użyć pewniejszego i szybszego posłańca od Jupa, potrafiącego przemknąć się tam, gdzie ani kolonistom, ani może nawet Topowi by się nie udało.

Cyrus Smith się nie mylił. Na szyi Jupa wisiał małeńki woreczek, a w nim znajdowała się kartka skreślona ręką Naba.

Można sobie wyobrazić rozpacz Cyrusa Smitha i jego towarzyszy, gdy przeczytali następujące słowa:

Piątek, szósta rano.

Piraci opanowali płaskowyż.

Nab

Koloniści spojrzeli po sobie w milczeniu i wrócili do domu. Co mieli zrobić? Piraci na Płaskowyżu Pięknego Widoku to klęska, spustoszenie, ruina!

Harbert, ujrawszy wracających inżyniera, reportera i Pencroffa, odgadł, że sytuacja musiała się pogorszyć, a kiedy zobaczył Jupa, nie wątpił już, że jakieś nieszczęście zagraża Granitowemu Pałacowi.

— Panie Cyrusie! — zawołał. — Chcę stąd wyruszyć. Czuję, że zniosę drogę. Chcę jechać!

Gedeon Spilett zbliżył się do młodzieńca. Stanął i przyjrzał mu się przez chwilę, a potem powiedział:

— Ruszajmy więc!

Szybko rozstrzygnięto kwestię, czy Harberta należy przetransportować na noszach, czy w wózku sprowadzonym do zagrody przez Ayrtona. Na noszach ranny nie odczuwałby tak bardzo wstrząsów, ale wymagały dwóch ludzi do niesienia, to znaczy, że w razie napadu w drodze zabrakłoby dwóch strzelby do obrony.

Czy z drugiej strony, używając wózka, nie można by było mieć do dyspozycji wszystkich rąk? Czy nie dałoby się umieścić na nim materacy, położyć na nich Harberta i posuwać się tak ostrożnie, żeby uniknąć wstrząsów? Owszem, można było.

Wytoczono więc wózek. Pencroff zaprzął onagra. Cyrus Smith i reporter podnieśli materace z Harbertem i położyli na dnie wózka, pomiędzy burtami.

Pogoda była piękna. Jasne promienie słońca przebiły się przez gałęzie drzew.

— Czy broń jest pogotowiu? — zapytał Cyrus Smith.

Wszystko było w porządku. Inżynier i Pencroff, każdy uzbrojony w dubeltówkę, oraz Gedeon Spilett ze swoim karabinem w rękę byli gotowi do drogi.

— A ty, Harbercie, jak się czujesz? — spytał inżynier.

— Ach, panie Cyrusie — odpowiedział młodzieniec — może pan być spokojny, nie umrę w drodze!

Kiedy to mówił, widać było jednak, że biedny chłopiec przywołuje całą swoją energię i siłę woli, aby powstrzymać siły gotowe go lada chwila opuścić.

Inżynier poczuł, jak mu się serce boleśnie ściska. Zawahał się raz jeszcze z wydaniem hasła do odjazdu. Ale zrezygnować z tego zamiaru oznaczałoby doprowadzić Harberta do rozpacz, kto wie, zabić go może.

— Naprzód! — odezwał się Cyrus Smith.

Otwarto wrota zagrody. Jup i Top, którzy wiedzieli, kiedy milczeć, pobiegli naprzód. Wyprowadzono wózek, zamknięto bramę i prowadzony przez Pencroffa onager ruszył wolnym krokiem.

Oczywiście byłoby lepiej udać się inną drogą, a nie tą, która prowadziła bezpośrednio z zagrody do Granitowego Pałacu, ale wózkiem bardzo trudno byłoby jechać przez las. Nie pozostawało więc nic innego, jak podążać tą drogą, choć zbiegli bandyci musieli już ją znać.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett szli po obu stronach wózka, gotowi odeprzeć każdy napad. Było jednak mało prawdopodobne, aby zbiegowie opuścili już Płaskowyż Pięknego Widoku. Nab zapewne skreślił i wysłał kartkę od razu, gdy tylko zobaczył tam napastników. Na kartce była podana godzina szósta rano, a zwinny orangutan, przywykły często biegać do zagrody, nie potrzebował zapewne więcej niż trzy kwadransy na przebycie pięciu mil, które dzieliły ją od Granitowego Pałacu. W tej chwili droga powinna więc być bezpieczna i jeżeli skądś miał paść jakiś strzał, to prawdopodobnie dopiero w pobliżu Granitowego Pałacu.

Mimo to na wszelki wypadek koloniści zachowywali czujność. Top z Jupem, uzbrojonym w swoją pałkę, to biegnąc przodem, to myszkując po lesie otaczającym drogę, nie sygnalizowali żadnego niebezpieczeństwa.

Wózek kierowany przez Pencroffa toczył się powoli. Wyprawa wyruszyła z zagrody o wpół do ósmej. W godzinę później z pięciu mil drogi mieli za sobą już cztery, i to bez żadnego wypadku.

Droga była pusta, podobnie jak cała część Lasu Złotopióra rozciągająca się pomiędzy Rzeką Dziękczynienia a jeziorem. Gęstwiny krzaków wydawały się tak samo bezludne, jak w dniu wylądowania kolonistów na wyspie.

Płaskowyż już był blisko. Jeszcze tylko mila i będzie widać mostek na Glicerynowym Potoku. Cyrus Smith nie wątpił, że mostek będzie opuszczony, ponieważ piraci albo musieli tędy przejść na płaskowyż, albo też jeżeli przeszli przez któryś z potoków opasujących płaskowyż, opuścili go przez ostrożność, żeby zabezpieczyć sobie odwrót.

Wreszcie pomiędzy ostatnimi drzewami zabłysło morze. Wózek toczył się dalej jak dotychczas, bo żaden z jego obrońców nie chciał nawet myśleć o tym, żeby go tu zostawić.

Nagle Pencroff zatrzymał onagra i krzyknął straszliwym głosem:

— Ach, nędznicy!

I wskazał ręką na gęste kłęby dymu unoszące się nad młynem, stajnią i zabudowaniami dla ptactwa.

W dymie uwijał się jakiś człowiek.

Był to Nab.

Jego towarzysze wydali okrzyk. Usłyszał i pobiegł w ich stronę.

Piraci opuścili płaskowyż niespełna pół godziny wcześniej, po spustoszeniu wszystkiego.

— A pan Harbert?! — zawołał Nab.

Gedeon Spilett czym prędzej wrócił do wózka.

Harbert leżał nieprzytomny.

## ROZDZIAŁ X

*Przeniesienie Harberta do Granitowego Pałacu. — Nab opowiada, co zaszło. — Cyrus Smith ogląda płaskowyż. — Ruiny i zgliszcza. — Koloniści bezradni wobec choroby. — Kora wierzbowa. — Śmiertelna gorączka. — Top znowu szczeka.*

Koloniści nie myśleli już o bandytach, o niebezpieczeństwach zagrażających Granitowemu Pałacowi, ani o spustoszeniach na płaskowyżu. Najważniejszy był stan zdrowia

Harberta. Czyżby transport, wywołując jakieś obrażenia wewnętrzne, okazał się dla niego zgubny? Reporter nie umiał na to odpowiedzieć i wraz z resztą towarzyszy był w rozpacz.

Wózek doprowadzono do zakrętu rzeki. Tutaj zrobiono nosze z gałęzi i złożono na nich materace, na których bez znaku życia leżał Harbert. W dziesięć minut później Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Pencroff byli już u podnóża Granitowego Pałacu, powierzwszy Nabowi odprowadzenie wózka na Płaskowyż Pięknego Widoku.

Uruchomiono windę i wkrótce Harbert spoczywał na swoim łóżku w Granitowym Pałacu.

Starania, których mu nie szczędzono, przywróciły go do życia. Uśmiechnął się przelotnie, gdy zobaczył, że jest w swoim pokoju, jednak był tak osłabiony, że mógł wyszeptać zaledwie jednak kilka słów.

Gedeon Spilett obejrzał rany. Obawiał się głównie tego, że nie będąc jeszcze całkiem zabliźnione, mogły się na nowo otworzyć. Nic podobnego się nie stało. Skąd więc wziął się ten nagły ubytek sił? Czemu stan Harberta się pogorszył?

Chłopiec znowu zapadł w gorączkowy sen. Pencroff z reporterem pozostali przy jego łóżku.

W tym czasie Cyrus Smith opowiadał Nabowi o wszystkim, co zaszło w zagrodzie, a Nab zaś opisał swemu panu zdarzenia, które miały miejsce na płaskowyżu.

Dopiero ubiegłej nocy bandyci pokazali się na skraju lasu, w pobliżu Glicerynowego Potoku. Nab, który znajdował się wówczas przy ptaszarni, nie wahał się ani chwili i wypalił do jednego z piratów, zamierzającego właśnie przekroczyć strumień, ale ponieważ noc była ciemna, nie wiedział, czy trafił nędznika. W każdym razie strzał nie wystarczył, żeby odstraszyć bandę, i Nab ledwo zdążył wycofać się do Granitowego Pałacu, gdzie przynajmniej był bezpieczny.

Ale co miał robić dalej? Jak zapobiec zniszczeniom, które zagrażały płaskowyżowi? Czy Nab mógł w jakiś sposób ostrzec swojego pana? A poza tym nie wiedział, w jakiej sytuacji znajdują się koloniści w zagrodzie.

Cyrus Smith i jego towarzysze wyjechali 11 listopada, a był już dwudziesty dziewiąty. Upłynęło zatem dziewiętnaście dni, podczas których Nab nie otrzymał od nich żadnej wiadomości oprócz tej fatalnej przyniesionej przez Topa: że Ayrton zginął, Harbert ciężko ranny, inżynier i reporter niemal uwięzieni w zagrodzie.

„Co robić?” — zadawał sobie pytanie biedny Nab. Sam nie musiał się niczego obawiać, gdyż bandyci nie mogli się dostać do Granitowego Pałacu. Ale budynki, plantacje, całe gospodarstwo było na łasce rabusiów! Czy nie należałoby zatem zwrócić się do Cyrusa Smitha po wskazówki, co ma robić, a przynajmniej ostrzec go o grożącym niebezpieczeństwie?

Wówczas Nab wpadł na pomysł wysłania Jupa z kartką. Znał przecież nadzwyczajną inteligencję orangutana, niejednokrotnie już wypróbowaną. Jup rozumiał słowo: „zagroda”, tak często przy nim powtarzane, i nieraz powoził tam wózkami, jeżdżąc w towarzystwie Pencroffa. Dzień jeszcze nie zaświtał. Szybki orangutan mógł więc prześliznąć się niepostrzeżenie przez lasy, w których zresztą bandyci mogli go wziąć za jednego z naturalnych mieszkańców tych okolic.

Nab nie wahał się ani chwili dłużej. Napisał kartkę i przywiązał ją do szyi Jupa. Następnie przyprowadził go do drzwi Granitowego Pałacu, z których spuścił długą linę, sięgającą aż do ziemi, i powtórzył kilkakrotnie:

— Jup! Jup! Zagroda! Zagroda!

Zwierzę zrozumiało, o co chodzi, pochwyciło za sznur, zsunęło się błyskawicznie na wybrzeże i znikło w ciemnościach, nie budząc podejrzeń rozbójników.

— Dobrze zrobiłeś, Nabie — powiedział Cyrus Smith — ale może lepiej by było, gdybyś nas nie zawiadamiał.

Mówiąc to, Cyrus Smith miał na myśli Harberta, któremu przewiezienie bardzo zaszkodziło.

Nab kończył swoje opowiadanie. Piraci nie pokazali się na wybrzeżu. Nie wiedząc, ilu jest mieszkańców wyspy, mogli sądzić, że Granitowego Pałacu broni znaczna załoga. Mogli sobie przypomnieć, że w czasie ataku brygu powitało ich mnóstwo strzałów z różnych miejsc jednocześnie, i zapewne nie chcieli się narażać. Ale Płaskowyż Pięknego Widoku, znajdujący się poza zasięgiem obstrzału z Granitowego Pałacu, stał przed nimi

otworem. Toteż na nim pofolgowali sobie swoim niszczyielskim popędem, plądrując i pałac dla samej przyjemności czynienia zła; wycofali się stamtąd dopiero na pół godziny przed przybyciem kolonistów, o których zapewne sądzili, że pozostają zamknięci w zagrodzie.

Zaraz po ich odejściu Nab opuścił swoje schronienie. Wdrapał się na płaskowyż i narażając się na kule, usiłował stłumić pożar trawiący budynki ptaszarni. Bezskutecznie walczył z ogniem do chwili, gdy na skraju lasu pojawił się wózek.

Takie były najważniejsze wypadki. Obecność piratów stanowiła bezustanne zagrożenie dla kolonistów Wyspy Lincoln, tak szczęśliwych do tej pory; teraz mogli się spodziewać jeszcze większych nieszczęść.

Gedeon Spilett z Pencroffem pozostali przy Harbercie w Granitowym Pałacu, a tymczasem Cyrus Smith wyszedł w towarzystwie Naba, żeby osobiście ocenić rozmiar strat.

Na szczęście bandyci nie zapędzili się aż do podnóża Granitowego Pałacu, gdyż warsztaty w Kominach nie uniknęłyby zniszczenia. Bądź co bądź jednak te szkody łatwiej byłoby naprawić niż ruiny nagromadzone na Płaskowyżu Pięknego Widoku.

Cyrus Smith i Nab skierowali się ku Rzece Dziękczynienia i przeszli jej lewym brzegiem, nie znajdując nigdzie ani śladu opryszków. W gęstwinie lasu na drugim brzegu rzeki również nie zauważyli niczego podejrzanego.

Nasuwały się dwa prawdopodobne przypuszczenia: albo rozbójnicy wiedzieli o powrocie kolonistów do Granitowego Pałacu, gdyż dostrzegli ich na drodze z zagrody, albo też zaraz po spustoszeniu płaskowyżu, idąc wzdłuż Rzeki Dziękczynienia, zagłębili się w Las Złotopióra i dlatego nic nie wiedzieli o powrocie kolonistów.

W pierwszym przypadku musieli zapewne powrócić do zagrody, obecnie niebronionej, a zawierającej różne cenne dla nich zasoby. W drugim zaś zapewne wrócili do swojego obozowiska, aby tam oczekiwać na nową okazję do napadu.

Należało więc ich uprzedzić; jednak wszelkie próby pozbycia się ich z wyspy były uzależnione od stanu zdrowia Harberta. Istotnie, do takiej wyprawy niezbędne były wszystkie siły, a w tej chwili nikt nie mógł opuścić Granitowego Pałacu.

Inżynier i Nab przybyli na płaskowyż. Żal było na niego patrzeć. Pola były stratowane. Dojrzałe kłosa, czekające na żniwa, leżały na ziemi. Inne plantacje również ucierpiały. Ogród warzywny był zupełnie zdewastowany. Na szczęście w Granitowym Pałacu pozostawała rezerwa nasion, pozwalająca na naprawienie tych szkód.

Co do młyna, zabudowań dla ptactwa i stajni dla onagrów, to pożar zniszczył je doszczętnie. Kilka spłoszonych zwierząt błądziło po płaskowyżu, a ptactwo, które w czasie pożaru szukało schronienia na wodach jeziora, powracało już powoli na swe zwykłe miejsce i pluskało się przy brzegu.

Wszystko trzeba było odbudowywać.

Twarz Cyrusa Smitha, bledsza niż zazwyczaj, zdradzała z trudem hamowany gniew, ale z ust inżyniera nie wydobyło się ani jedno gwałtowne słowo. Raz jeszcze spojrzął na spustoszone pola, na kłęby dymu unoszące się jeszcze nad zgłiszczami i powrócił do Granitowego Pałacu.

Następne dni były najsmutniejsze ze wszystkich, jakie koloniści przeżyli na wyspie. Osłabienie Harberta wyraźnie się wzmagало. Wyglądało na to, że zagraża mu jakaś poważna choroba, będąca następstwem głębokiego wstrząsu, jakiego doznał. Gedeon Spilett przewidywał, że może nastąpić takie pogorszenie się stanu zdrowia, którego nie będzie umiał zwalczyć.

Harbert pozostawał w stanie niemal ciągłego snu czy też półprzytomności i zaczął od czasu do czasu majaczyć. Tymczasem jedynym środkiem, jaki mieli do dyspozycji koloniści, były orzeźwiający napary. Gorączka nie była jeszcze zbyt duża, ale wkrótce okazało się, że zapewne będzie nawracać w postaci regularnych ataków.

Gedeon Spilett rozpoznał chorobę 6 grudnia. Palce, nos i uszy biednego młodzieńca nagle silnie pobladły, następnie opanowały go lekkie, a potem coraz silniejsze i gwałtowniejsze dreszcze. Puls miał słaby i nierówny, suchą skórę, męczyło go wielkie pragnienie. Później zrobiło mu się gorąco. Twarz się ożywiła, skóra poczerwieniała, tętno zaczęło galopować. Następnie wystąpiły obfite poty, po których gorączka jakby spadła. Cały atak trwał około pięciu godzin.

Choroba

Gedeon Spilett nie opuścił ani na chwilę Harberta, który miał atak febry<sup>29</sup> — to było więcej niż pewne. Tę niszczącą chorobę trzeba było zwalczyć za wszelką cenę, zanim przybierze groźniejsze rozmiary.

— Żeby go wyleczyć — powiedział Gedeon Spilett do Cyrusa Smitha — niezbędny jest jakiś środek antyfebryczny.

— Środek antyfebryczny! — odpowiedział inżynier. — Niestety, nie mamy ani kory chinowca<sup>30</sup>, ani siarczanu chininy.

— To prawda — odezwał się Gedeon Spilett — ale na brzegu jeziora rosną wierzby, których kora może niekiedy zastąpić chininę.

— Spróbujmy więc, nie tracąc ani chwili! — zawołał Cyrus Smith.

Rzeczywiście, podobnie jak kasztanowiec indyjski, liście ostrokrzewu<sup>31</sup>, kokornaka<sup>32</sup> itp., korę wierzbową słusznie uważa się za środek zastępujący chininę. Chociaż swoim działaniem nie dorównuje chininie, trzeba jej było spróbować, i to stosując w stanie naturalnym, ponieważ koloniści nie mieli możliwości wyodrębnić z niej alkaloidu, czyli salicyny<sup>33</sup>.

Cyrus Smith wyciął z drzewa należącego do gatunku wierzby czarnej<sup>34</sup> kilka kawałków kory. Przyniósł je do Granitowego Pałacu i roztał na proszek, który jeszcze tego samego wieczoru podano Harbertowi.

Noc upłynęła bez poważnych wypadków. Harbert trochę majaczył, ale w ciągu nocy gorączka nie pojawiła się ponownie, nie powróciła też następnego dnia.

Pencroffowi zaczęła wracać nadzieja. Gedeon Spilett nic nie mówił. Możliwe, że nawroty febry nie będą występować codziennie, mogła to być trzydniówka<sup>35</sup>, mogąca na jutro powrócić. Toteż oczekiwano tego dnia z największym niepokojem.

Zauważono poza tym, że w czasie tego okresu bezgorączkowego Harbert leżał wycieńczony, miał ciężką głowę i skłonność do zawrotów. Wystąpiły też inne objawy, które skrajnie przerażyły reportera. U Harberta nastąpił obrzęk wątroby, a wkrótce nasilenie się majaczeń zaczęło wskazywać na to, że mózg także został zaatakowany.

Ta nowa komplikacja zupełnie przytłoczyła Gedeona Spiletta. Odprowadził inżyniera na stronę.

— To złośliwa febra<sup>36</sup>! — powiedział.

— Złośliwa febra! — zawołał Cyrus Smith. — Musi się pan mylić, Spilecie. Złośliwa febra nie pojawia się samoistnie. Trzeba nosić w sobie jej zalążek.

— Nie myślę się — odpowiedział reporter. — Harbert musiał się jej nabawić na bagnach, a to wystarcza. Pierwszy atak już miał. Jeżeli przyjdzie drugi i jeśli nie zdołamy zapobiec trzeciemu — chłopiec jest zgubiony!...

— A kora wierzbowa?

— Nie wystarcza, a trzeci atak złośliwej febry, jeżeli nie zostanie powstrzymany chininą, bywa zawsze śmiertelny!

Na szczęście Pencroff nie usłyszał z tej rozmowy. Inaczej oszalałby.

Łatwo więc pojąć, w jakim niepokoju reporter i inżynier przeżyli ten dzień i następną noc.

Choroba

<sup>29</sup>febra — malaria, tropikalna choroba pasożytnicza przenoszona przez komary, objawiająca się nawracającą gorączką i silnymi dreszczami. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>chinowiec (bot.) — rodzaj drzew tropikalnych, których kora zawiera chininę, stosowaną jako lek przeciwmalaryczny w postaci białego, gorzkiego proszku (zwykle dostarczany jako sól: chlorowodorek lub siarczan chininy). [przypis edytorski]

<sup>31</sup>ostrokrzew (bot.) — rodzaj roślin o ciemnozielonych, ząbkowanych liściach i okrągłych, czerwonych, silnie trujących owocach. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>kokornak, *Aristolochia* (bot.) — rodzaj roślin z rzędu pieprzowców; kokornak węzowy (*A. serpentaria*), występujący naturalnie w Płn. Ameryce, był używany jako lek przeciwmalaryczny o własnościach podobnych jak chinina. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>salicyna (chem.) — organiczny związek chemiczny o działaniu przeciwgorączkowym, wyodrębniony po raz pierwszy z kory wierzby (łac. *salix*) w 1828; od salicyny historycznie pochodzi kwas acetylosalicylowy (pot. aspiryna). [przypis edytorski]

<sup>34</sup>wierzba czarna, *Salix nigra* (bot.) — gatunek wierzby pochodzący ze wsch. części Ameryki Płn. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>trzydniówka (febra) — w daw. klasyfikacji, zaproponowanej w starożytności przez Hipokratesa, okresowe gorączki (febry) dzielono na trzy rodzaje: trzydniówkę, czterodniówkę oraz jednodniówkę (codzienną), wiążąc je z różnymi warunkami klimatycznymi i środowiskowymi. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>złośliwa febra (daw.) — ciężka, czasami śmiertelna forma malarii. [przypis edytorski]

Mniej więcej w południe nastąpił drugi, bardzo silny atak. Harbert czuł, że kona. Wyciągnął ręce do Cyrusa Smitha, do Spiletta, do Pencroffa. Nie chciał umierać... Była to scena rozdzierająca serce. Pencroffa trzeba było wyprowadzić.

Atak trwał pięć godzin. Było oczywiste, że trzeciego Harbert nie wytrzyma.

Nastąpiła okropna noc. W gorączce Harbert majaczył, mówił rzeczy raniące serca towarzyszom. Bredził, walczył z piratami, przywoływał Ayrtona. Błagał o pomoc tę tajemniczą istotę, obrońcę, który teraz gdzieś zniknął, a którego obraz majaczył przed nim bez ustanku. Po tym wszystkim, zupełnie wyczerpany, zapadał w głębokie omdlenie... Gedeon Spilett kilka razy myślał, że biedny chłopak już nie żyje.

Następny dzień, 8 grudnia, był jednym ciągiem następujących po sobie zawrotów i omdleń. Wychudłe ręce Harberta kurczowo ścisnęły prześcieradło. Podano mu kolejne dawki sproszkowanej kory, ale reporter niczego się już po tym środku nie spodziewał.

— Jeżeli do jutra rana — powiedział — nie damy mu mocniejszego środka antyfebrycznego, Harbert umrze.

Nadeszła noc przyszła, zapewne ostatnia dla tego dzielnego, rozumnego, dobrego, poważnego jak na swój wiek chłopca, którego wszyscy towarzysze kochali jak rodzzonego syna. Jedyne go środka, jaki istniał przeciwko tej strasznej złośliwej febrze, jedyne go specyfiku zdolnego ją zwalczyć, na Wyspie Lincolna nie było.

W nocy z 8 na 9 grudnia Harbert zaczął jeszcze silniej majaczyć. Wątroba była okropnie nabrzmiąta, mózg zaatakowany i chłopiec nie poznawał już nikogo.

Czy dożyje następnego dnia i trzeciego ataku, który go na pewno zabije? Było to mało prawdopodobne. Jego siły zupełnie się wyczerpały, a w przerwach między atakami leżał jak martwy.

Około trzeciej nad ranem Harbert krzyknął przejmująco. Wydawało się, że się wije w ostatecznych konwulsjach. Nab, który był wtedy przy nim, w przerażeniu wpadł do sąsiedniego pokoju, gdzie czuwali pozostali towarzysze.

W tej samej chwili Top dziwnie zaszczekał.

Koloniści natychmiast wbiegli do pokoju i ledwo zdołali utrzymać konającego młodzieńca, który chciał wyskoczyć z łóżka. Gedeon Spilett, wzięwszy go za rękę, poczuł, że puls staje się coraz słabszy.

Była piąta rano. Promienie wschodzącego słońca zaczynały oświetlać pokoje Granitowego Pałacu. Zapowiadał się piękny dzień, a miał być ostatnim dniem dla biednego Harberta...

Promień słońca padł na stolik stojący przy łóżku.

Nagle Pencroff krzyknął i wskazał ręką jakiś przedmiot leżący na stoliku.

Było to podłużne pudełeczko, na którego pokrywce widniał napis:

Siarczan chininy.

## ROZDZIAŁ XI

*Niepojęta tajemnica. — Powrót Harberta do zdrowia. — Tereny do zbadania. — Przygotowania do wyprawy. — Pierwszy dzień. — Noc. — Drugi dzień. — Kauri. — Parakazuarów. — Ślady w lesie. — Przybycie na Jaszczurczy Cypel.*

Gedeon Spilett otworzył pudełko. Zawierało około dwustu granów<sup>37</sup> białego proszku; wziął kilka okruchów do ust. Niezwykła gorycz substancji nie pozostawiała wątpliwości. Był to rzeczywiście cenny alkaloid z kory chinowca, najlepszy środek antyfebryczny.

Należało niezwłocznie podać proszek Harbertowi. W jaki sposób znalazł się pod ręką, można było się zastanawiać później.

— Kawy! — zawołał Gedeon Spilett.

Po paru chwilach Nab przyniósł filiżankę gorącego wywaru. Gedeon Spilett wrzucił do niego osiemnaście granów<sup>38</sup> chininy i tą miksturą zdołał napić Harberta.

Był już najwyższy czas, bo w każdej chwili mógł nastąpić trzeci atak febry.

<sup>37</sup>gran (z ang. *grain*: ziarno) — niewielka jednostka masy używana w krajach anglosaskich; 200 granów to ok. 13 gramów. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>osiemnaście granów — ok. 1 gram. [przypis redakcyjny]

Ale do trzeciego ataku miało już nie dojść.

Nadzieja wstąpiła w serca kolonistów. Tajemnicza moc znowu zadziałała, i to w ostatniej chwili, kiedy już zupełnie w nią zwątpili.

Po kilku godzinach Harbert spał już o wiele spokojniej. Wówczas koloniści mogli porozmawiać o tym zdarzeniu. Pomoc nieznanego była tym razem bardziej oczywista niż kiedykolwiek. Ale w jaki sposób zdołał przedostać się w nocy do Granitowego Pałacu? To było całkiem niewytłumaczalne i doprawdy sposób działania opiekuńczego ducha wyspy był nie mniej dziwny niż on sam.

Przez cały dzień regularnie co trzy godziny Harbertowi podawano siarczan chininy. Następnego dnia stan zdrowia młodzieńca wyraźnie się poprawił. Oczywiście Harbert nie był jeszcze zupełnie wyleczony, gdyż w febrze zdarzają się częste i niebezpieczne nawroty, ale pozostawał pod troskliwą opieką. Mieli już pod ręką odpowiedni lek, a bez wątpienia niedaleko znajdował się ten, który go dostarczył. Nareszcie nadzieja nappełniła wszystkim serca.

Nadzieja ich nie zawiodła. Dziesięć dni później, 20 grudnia, Harbert zaczął powracać do zdrowia. Nadal był bardzo osłabiony i pozostawał na ścisłej diecie, ale ataki ustały. Zresztą posłuszny młodzieniec tak chętnie poddawał się wszystkim zaleceniom! Tak bardzo pragnął wyzdrowieć!

Pencroff przypominał człowieka wydobytego z samego dna przepaści. Chwilami jego radość dochodziła prawie do szału. Gdy tylko została zażegnana groźba trzeciego ataku, uściskał reportera tak mocno, że mało go nie udusił. Od tej pory nie nazywał go inaczej, jak tylko „doktorem Spilettem”.

Pozostawało jeszcze odkryć prawdziwego doktora.

— Znajdziemy go! — powtarzał marynarz.

Z pewnością, kimkolwiek był ten człowiek, mógł się spodziewać potężnego uścisku ze strony pocziwego Pencroffa.

Kończył się grudzień, a wraz z nim i rok 1867, w ciągu którego koloniści Wyspy Lincoln doświadczyli tylu ciężkich prób. Rok 1868 zaczął się śliczną, upalną pogodą, tropikalną temperaturą, którą na szczęście chłodził wiatr od morza.

Harbert wracał do zdrowia i z łóżka postawionego przy jednym z okien Granitowego Pałacu wdychał odświeżające, przesycone morską solą powietrze, które przywracało mu siły. Zaczynał już jeść, a Nab przyrządzał mu same lekkie i smakowite potrawy.

— Dla samych tych przysmaków warto było być umierającym — mawiał Pencroff.

Przez cały ten czas piraci ani razu nie pokazali się w pobliżu Granitowego Pałacu. Od Ayrtona nie było żadnych wiadomości, toteż tylko inżynier i Harbert zachowywali jeszcze pewną nadzieję na odnalezienie go, ale reszta towarzyszy nie miała już wątpliwości, że nieszczęśnik zginął. Wszystkie zagadki jednak powinny zostać rozwiązane i dlatego postanowiono, że gdy tylko Harbert wróci do zdrowia, podejmą wyprawę, której rezultat mógł mieć dla nich tak wielkie znaczenie. Na to należało jednak poczekać jeszcze co najmniej miesiąc, gdyż do pokonania piratów konieczne było zmobilizowanie wszystkich sił kolonii.

Harbert z każdym dniem miał się coraz lepiej. Obrzęk wątroby ustąpił, a rany całkiem się zabiłżyły.

W ciągu stycznia na Płaskowyżu Pięknego Widoku wykonano ważne prace, a mianowicie uratowano, co się jeszcze dało, ze stratowanych warzyw i zboża. Zebrano nasiona i rośliny, aby zapewnić sobie nowe zbiory w następnym sezonie. Z odbudowaniem budynków ptaszarni, młyna i stajni Cyrus Smith wolał na razie poczekać. W czasie, gdy on i jego towarzysze byliby zajęci pogonią za piratami, ci mogliby znowu nawiedzić płaskowyż, nie należało więc im dawać im okazji do kolejnych rabunków i podpaleń. Po oczyszczeniu wyspy ze złooczyńców będzie pora pomyśleć o odbudowaniu wszystkiego.

W drugiej połowie stycznia przychodzący do zdrowia młodzieniec zaczął wstawać z łóżka, początkowo na godzinę, potem na dwie i trzy. Miał silny organizm, więc sił przybywało mu niemal w oczach. Skończył już wówczas osiemnaście lat, był wysoki i zapowiadało się, że wyrośnie z niego przystojny mężczyzna o szlachetnym wyglądzie. Od tego czasu powrót Harberta do pełnego zdrowia, choć wymagający jeszcze pewnych starań i ostrożności, których przestrzegał surowo „doktor” Spilett, regularnie postępował naprzód.



Pod koniec miesiąca Harbert odbywał już spacer po Płaskowyżu Pięknego Widoku i wybrzeżu. Kilka kąpeli morskich, których zażywał w towarzystwie Pencroffa i Naba, doskonale mu posłużyło. Cyrus Smith stwierdził, że może już wyznaczyć termin wyprawy i ustalił go na 15 lutego. Noce, bardzo jasne o tej porze roku, sprzyjały zamierzonym poszukiwaniom na całej wyspie.

Rozpoczęto niezbędne przygotowania do wyprawy. Przygotowywano się starannie, ponieważ koloniści przysięgli sobie, że nie powrócą do Granitowego Pałacu, dopóki nie osiągną obu celów, to jest dopóki nie zniszczą piratów i nie odnajdą Ayrtona, jeżeli jeszcze żył, oraz dopóki nie odszukają tego, który wywierał tak wielki wpływ na losy kolonii.

Koloniści poznali dokładnie całe wschodnie wybrzeże Wyspy Lincoln, od Przylądka Szponu aż do Przylądka Szczęki, rozległe Bagna Kazarek, okolice Jeziora Granta, Las Złotopióra, leżący pomiędzy drogą do zagrody a Rzeką Dziękczynienia i Czerwonym Potokiem, i wreszcie zbocza Góry Franklina, do których przylegała zagroda. Zbadali także, choć tylko pobieżnie, przylegający do Zatoki Waszyngtona duży pas wybrzeża od Przylądka Szponu aż do Jaszczurczego Cypla, zalesiony i błotnisty brzeg zachodni oraz niekończące się wydmy, dochodzące półotwartej paszczy Zatoki Rekinów.

Natomiast nie znali dotąd wcale lasów pokrywających Półwysep Wężowy, całego prawego brzegu Rzeki Dziękczynienia, lewego brzegu Rzeki Wodospadu ani całej płataniny wzgórz i dolin, na której wspierały się trzy czwarte podstawy Góry Franklina od zachodu, północy i wschodu, gdzie przecież musiało znajdować się mnóstwo trudno dostępnych kryjówek. Zatem kilka tysięcy akrów powierzchni wyspy pozostawało niezbadanych przez kolonistów.

Postanowiono, że wyprawa skieruje się przez Lasy Dalekiego Zachodu, tak żeby poszukiwaniami objąć cały teren na prawym brzegu Rzeki Dziękczynienia.

Być może lepiej byłoby udać się najpierw do zagrody, gdyż można się było obawiać, że piraci ponownie się tam schronili, czy to w celu rabunku, czy też, żeby osiąść na stałe. Jednak albo spustoszenie zagrody było już faktem dokonany i wówczas było za późno, żeby temu zapobiec, albo też celem piratów było się tam usadowić, a w takim przypadku zawsze będzie czas, żeby ich stamtąd później wyprzeć.

Po namyśle utrzymano pierwotny plan i koloniści postanowili przejść lasami aż do Jaszczurczego Cypla. Zamierzali sobie wyrąbywać drogę siekierą, zapoczątkowując w ten sposób przyszyły szlak łączący Granitowy Pałac z krańcem cypla, długości szesnastu do siedemnastu mil.

Wózek był w doskonałym stanie, wypoczęte onagry zdolne do długiej podróży. Na wózek załadowano zapasy żywności, przedmioty niezbędne do urządzenia obozowiska, przenośną kuchenkę i różne inne sprzęty, jak również broń i amunicję, starannie wybrane z tak kompletnego obecnie arsenału Granitowego Pałacu. Nie wolno było też zapominać, że bandyci mogli się włóczyć po lasach i że w gęstwinie łatwo o strzał, i to celny. Dlatego też grupka kolonistów musiała trzymać się razem i nie rozdzielać się pod żadnym pozorem.

Postanowiono również, że nikt nie pozostanie w Granitowym Pałacu. Nawet Top i Jup mieli wziąć udział w wyprawie. Niedostępne mieszkanie mogło się samo obronić.

14 lutego, w przeddzień odjazdu, wypadła niedziela<sup>39</sup>. Poświęcono ją w całości na wypoczynek i modlitwy dziękczynne, jakie koloniści winni byli Stwórcy. Dla Harberta, całkiem zdrowego, ale jeszcze nieco osłabionego, przygotowano specjalne miejsce na wózku.

Nazajutrz o świcie Cyrus Smith podjął niezbędne środki ostrożności, żeby zabezpieczyć Granitowy Pałac przed wszelką napaścią. Drabiny, które służyły niegdyś do wchodzenia do domu, przyniesiono do Kominów i zakopano głęboko w piasku, tak aby je można było odnaleźć i użyć po powrocie, gdyż windę wraz z całym jej oprzyrządowaniem zdemontowano. Pencroff pozostał jako ostatni w Granitowym Pałacu, żeby skończyć tę pracę. Potem opuścił się na dół po podwójnej linii, której obydwa końce przytrzymywano u dołu w ten sposób, że gdy ją wreszcie ściągnięto, zostało przerwane połączenie pomiędzy wejściem do Granitowego Pałacu a wybrzeżem.

Pogoda była wspaniała.

<sup>39</sup> 14 lutego (...) wypadła niedziela — 14 lutego 1868 roku wypadł wtorek. 14 lutego była niedziela w roku 1869. [przypis edytorski]

— Zapowiada się gorący dzień! — zawołał radośnie reporter.

— Ba, doktorze Spilett — odpowiedział Pencroff — będziemy szli przez lasy, więc nawet nie zauważymy słońca.

— W drogę! — odezwał się inżynier.

Wózek już oczekiwał na nich przed Kominami. Reporter kazał Harbertowi zająć w nim miejsce przynajmniej podczas kilku pierwszych godzin podróży i młodzieniec musiał posłuchać zalecenia swego lekarza.

Nab prowadził onagry. Cyrus Smith, reporter i marynarz mieli iść przodem. Top podskakiwał z radosną miną. Harbert zaofiarował Jupowi miejsce przy sobie i Jup przyjął je bez ceremonii.

Dano hasło do odjazdu i grupka ruszyła w drogę. Wózek skręcił najpierw przy ujęciu ujścia rzeki, a następnie ujechawszy milę po lewym brzegu Rzeki Dziękczynienia, przebył most, od którego droga prowadziła prosto do Przystani Balonowej. Drogę tę jednak koloniści zostawili po lewej stronie i zapuścili się w cień olbrzymich lasów nazwanych Lasem Dalekiego Zachodu.

Przez pierwsze dwie mile rzadko rosnące drzewa pozwalały na łatwy przejazd. Od czasu do czasu trzeba było przeciąć kilka lian lub przerąbywać krzaki, ale dotąd żadna poważniejsza przeszkoda nie powstrzymała kolonistów.

Gęste listowie drzew utrzymywało chłodny cień. Cedry, daglezie, kazuaryny, bankse, drzewa gumowe, smokowce i inne znane im już drzewa rozciągały się przed nimi w nieskończoność. Cały światek ptactwa właściwego wyspie znajdował się tu w komplecie: periokury, złotopióry, bażanty i cała szczebiotliwa rodzina kakadu i papug. Aguti, kangury, kapibary przemykały wśród traw, a wszystko to przypominało kolonistom ich pierwsze wyprawy podjęte po przybyciu na wyspę.

— Zauważyłem — odezwał się Cyrus Smith — że wszystkie te zwierzęta, zarówno czworonogi, jak i ptactwo, są bardziej płochliwe niż kiedyś. Widocznie przez te lasy niedawno przechodzili piraci i niewątpliwie powinniśmy natrafić na ich ślady.

Istotnie, w wielu miejscach można było rozpoznać mniej lub bardziej świeże ślady świadczące o przejściu grupy ludzi: tu nacięcia na drzewach, zapewne w celu znakowania drogi, ówdzie popiół z wygasłego ogniska lub odciski stóp w gliniastych miejscach terenu. Nic jednak nie wskazywało, żeby w pobliżu było jakieś stałe obozowisko.

Inżynier zalecił towarzyszącej grupie, aby powstrzymali się od polowania. Huk broni palnej mógł zwrócić uwagę piratów włóczących się być może po lesie. Zresztą łowy z pewnością odciągnęłyby kolonistów na pewną odległość od wózka, a chodzenie w pojedynkę zostało przecież surowo zakazane.

Po południu, mniej więcej o sześć mil od Granitowego Pałacu, przejazd stał się trudniejszy. Chcąc przebyć niektóre gęstwiny, trzeba było ścinać drzewa i w ten sposób torować sobie drogę. Przed zapuszczeniem się w takie miejsca Cyrus Smith za każdym razem wysyłał najpierw w gęstwinę Topa i Jupa, którzy wywiązywali się sumiennie z tego, czego po nich oczekiwano. Kiedy pies i orangutan powracali bez żadnych oznak niepokoju, znaczyło to, że się nie ma czego obawiać ani ze strony piratów, ani ze strony drapieżników — dwu gatunków królestwa zwierzęcego stojących ze względu na dzikie swoje instynkty na jednym poziomie.

Wieczorem pierwszego dnia koloniści obozowali mniej więcej o dziewięć mil od Granitowego Pałacu, na brzegu małego dopływu Rzeki Dziękczynienia, nieznanego im do tychczas, niewątpliwie jednak należącego do systemu wód, któremu gleba zawdzięczała swoją zadziwiającą żyzność.

Po obfitej kolacji, do której koloniści zasiedli z mocno zaostrzonym apetytem, przedsięwzięto odpowiednie środki ostrożności na noc. Gdyby inżynier miał tylko do czynienia z dzikimi zwierzętami, jaguarami czy innymi, kazałby po prostu rozpalić ognie wokół obozowiska i to wystarczyłoby do obrony; jednak blask płomienia prędzej przywabiłby piratów, niż ich powstrzymał, słuszniejsze więc wydawało się w tym przypadku zaszyć się w głębokich ciemnościach.

Nie zapomniano też o zorganizowaniu straży. Dwóch kolonistów miało czuwać razem, a co dwie godziny mieli ich zmieniać inni towarzysze. Ponieważ pomimo wszelkich protestów Harberta odsunięto go od obowiązku warty, więc Pencroff z Gedeonem Spilettem, a następnie inżynier z Nabem stali kolejno na straży w pobliżu obozowiska.

Noc zresztą trwała zaledwie kilka godzin. Ciemności były spowodowane raczej gęstwiną gałęzi niż schowaniem się słońca. Głębką ciszę mąciły tylko chrapliwe wycia jaguarów i chichoty małp, które szczególnie irytowały pana Jupa.

Noc minęła bez żadnego wypadku, a nazajutrz, 16 lutego, rozpoczęli dalszy pochód przez lasy, nie tyle trudny, co powolny.

Tego dnia koloniści przeszli zaledwie sześć mil, co chwila bowiem trzeba było torować sobie drogę siekierą. Jak prawdziwi „osadnicy” koloniści oszczędzali wielkie i piękne drzewa, których ścinanie zresztą kosztowałoby ich mnóstwo trudu, i poświęcali mniejsze. Wskutek tego droga odbiegała od linii prostej i wydłużały ją liczne zakręty.

Tego dnia Harbert odkrył kilka gatunków roślin, których dotychczas jeszcze nie spotkali na wyspie, jak olbrzymie paprocie ze zwisającymi liśćmi, podobnymi do wody wylewającej się z fontanny, i drzewa świętojańskie<sup>40</sup>, z których onagry chciwie zjadały długie strąki zawierające słodki, smaczny miąższ. Tu koloniści napotkali także rosnące w kępach wspaniałe kauri<sup>41</sup>, których walcowate pnie uwieńczone stożkiem zieleni wznosiły się do wysokości dwustu stóp. Były to królewskie drzewa Nowej Zelandii, tak sławne jak libańskie cedry<sup>42</sup>.

Fauna nie przedstawiała innych okazów prócz znanych już myśliwym. Zobaczyli tylko, choć nie mogli się do nich zbliżyć, parę wielkich ptaków charakterystycznych dla Australii, będących pewnym rodzajem kazuarów<sup>43</sup> nazywanym emu<sup>44</sup>. Miały pięć stóp wysokości, czarne opierzenie, należały do rzędu szczudłowatych<sup>45</sup>. Top rzucił się za nimi całym pędem swoich czterech łap, ale kazuary, biegające z niemal cudowną szybkością, bez trudu zostawiły go daleko za sobą.

Ślady pozostawione przez piratów w lesie znaleziono jeszcze w kilku miejscach. W pobliżu ogniska, które wyglądało na niedawno zgaszone, koloniści spostrzegli odciski stóp, które dokładnie zbadali. Po zmierzeniu długości i szerokości każdego odcisku z łatwością ustalili, że były to ślady stóp pięciu ludzi. Niewątpliwie obozowało tutaj pięciu piratów, ale — i to właśnie było przedmiotem tak dokładnego badania — nie zdołano znaleźć szóstego odcisku, który byłby śladem Ayrtona.

— Ayrtona nie było z nimi — odezwał się Harbert.

— Nie — odpowiedział Pencroff. — A jeżeli go nie było, to znaczy, że ci nędznicy musieli już go zabić! Czy nie mają ci niegodziwcy jakiegoś legowiska, gdzie można by ich było wytropić i osaczyć jak tygrysa?

— Nie — odpowiedział reporter — najprawdopodobniej bląkają się bez celu i nie zamierzają tego zmieniać, dopóki nie staną się panami wyspy.

— Panami wyspy! — zawołał marynarz. — Panami wyspy!... — powtórzył zduszonym głosem, jak gdyby żelazna dłoń ścisnęła go za gardło. Po chwili odezwał się nieco spokojniejszym tonem: — Czy wie pan, panie Cyrusie, jaką to ja kulą nabilem moją strzelbę?

— Nie, Pencroffie.

— Tą samą, która przeszła pierś Harberta, i zaręczam panu, że nie chybi ona celu!

Jednak nawet najślusniejszy odwet nie mógł przywrócić Ayrtonowi życia, a ze zbadania śladów pozostawionych na ziemi trzeba było niestety wnioskować, że nie ma już nadziei na zobaczenie go kiedykolwiek.

<sup>40</sup>*drzewo świętojańskie* (pot.), właśc. *szarańczym strąkowy* (bot.) — gatunek drzewa z rodziny bobowatych występujący w regionie śródziemnomorskim; jego duże strąki (do 20 cm dł.) są bogate w cukry (do 50%). [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*kauri* a. *agatis nowozelandzki*, *Agathis australis* (biol.) — drzewo z rodziny araukariowatych występujące na Wyspie Północnej w Nowej Zelandii, wysokie do 50 m, cenione ze względu na swoje drewno i żywicę. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*cedr libański* (bot.) — gatunek drzew z rodziny sosnowatych, występujących na stokach Libanu, pasma górskiego w państwie o tej samej nazwie; eksploatowany od czasów staroż. jako cenny materiał budowlany, wspominany w Biblii, ob. rzadki. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*kazuary* (biol.) — rodzina nielotnych ptaków zamieszkujących Nową Gwineę i pln.-wsch. Australię, a także wyspy leżące pomiędzy nimi. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*emu* (biol.) — podrodzina ptaków z rodziny kazuarowatych, obejmująca nielotne i szybko biegające ptaki, zamieszkujące całą Australię. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>*szczudłowate* (daw. biol.) — wyróżniany dawniej rząd ptaków o długich, szczudłowatych nogach, zwykle brodzących na płytkich wodach lub na mokradłach. [przypis edytorski]

Tego wieczora założono obóz o czternaście mil od Granitowego Pałacu, a Cyrus Smith oszacował, że muszą się znajdować nie dalej niż o pięć mil od Jaszczurczego Cypla.

Rzeczywiście, nazajutrz koloniści, przeszedłszy las na całej jego długości, dotarli do krańca półwyspu. Jednak jak dotąd nie znaleźli ani schronienia piratów, ani też ukrytej siedziby tajemniczego nieznajomego.

## ROZDZIAŁ XII

*Zbadanie Półwyspu Wężowego. — Obozowisko przy ujściu Rzeki Wodospadu. — O sześćset kroków od zagrody. — Gedeon Spilett i Pencroff wysłani na zwiady. — Ich powrót. — Naprzód! — Otwarte wrota. — Światło w oknie. — Przy blasku księżyca.*

Następny dzień, 18 lutego, poświęcono na zbadania zalesionej części wyspy ciągnącej się od Jaszczurczego Cypla aż do Rzeki Wodospadu. Koloniści dokładnie przeszukali las, ograniczony oboma brzegami Półwyspu Wężowego i mający szerokość zaledwie od trzech do czterech mil.

Wysokość drzew i grubość ich konarów świadczyły o nadzwyczajnej żyzności gleby, większej tutaj niż w którejkolwiek innej części wyspy. Był to jak gdyby jakiś zakątek dziewiczych lasów Ameryki czy Afryki Środkowej przeniesiony w strefę umiarkowaną. Prowadziło to do przypuszczenia, że ta wspaniała roślinność musiała znaleźć w glebie — wilgotnej po wierzchu, ale wewnątrz rozgrzanej przez wulkaniczne ognie — ciepło niespotykane zwykle w klimacie umiarkowanym. Najczęściej występowały tu drzewa kauri i eukaliptusy, osiągające gigantyczne rozmiary.

Jednakże celem kolonistów nie było podziwianie tych wspaniałych okazów roślinności. Wiedzieli dobrze, że pod tym względem Wyspa Lincoln mogłaby zająć pierwsze miejsce w grupie Wysp Kanaryjskich<sup>46</sup>, którym pierwotnie nadano nazwę Szczęśliwych. Niestety, obecnie wyspa nie należała już wyłącznie do nich, wtargnęli tu, deptali po niej zbrodniarze, których trzeba było doszczętnie wytępić.

Na zachodnim wybrzeżu mimo najstaranniejszych poszukiwań koloniści nie napotkali już żadnych śladów. Nie było tam ani odcisków stóp, ani nacięć na drzewach, ani wystygłych popiołów, ani opuszczonych obozowisk.

— Nie dziwi mnie to wcale — powiedział Cyrus Smith do towarzyszy. — Rozbójnicy wylądowali w okolicach Cypla Znaleziska i natychmiast zagłębili się w Lasy Dalekiego Zachodu, po przejściu przez Bagno Kazarek. Szli więc prawie tą samą drogą, co my po wyjściu z Granitowego Pałacu. W ten sposób można wytłumaczyć ślady, które napotkaliśmy w lesie. Kiedy jednak znaleźli się na wybrzeżu, piraci zrozumieli, że nie ma tu dla nich odpowiedniego schronienia, a wówczas skierowali się na północ i odkryli zagrodę...

— Do której prawdopodobnie powrócili — powiedział Pencroff.

— Nie sądzę — odpowiedział inżynier — gdyż powinni przypuszczać, że nasze poszukiwania skierują się właśnie w tym kierunku. Zagroda jest dla nich miejscem zaopatrzenia, a nie stałym obozowiskiem.

— Zgadza się ze zdaniem Cyrusa — odezwał się reporter. — Według mnie piraci znaleźli sobie kryjówkę gdzieś pomiędzy skałami Góry Franklina.

— Ruszajmy więc, panie Cyrusie, prosto do zagrody! — zawołał Pencroff. — Trzeba wreszcie z nimi skończyć, bo dotychczas tylko marnowaliśmy czas!

— Nie, przyjacielu — odpowiedział inżynier. — Zapomina pan, że musimy się dowiedzieć, czy w Lesie Dalekiego Zachodu nie kryje się jakaś siedziba ludzka. Przecież nasza wyprawa ma podwójny cel, Pencroffie. Prawda, że z jednej strony mamy zbrodnię do ukarania, z drugiej jednak mamy do spłacenia dług wdzięczności.

— Pięknie powiedziane, panie Cyrusie — powiedział marynarz. — Ale zdaje mi się, że znajdziemy tego dżentelmena dopiero wtedy, kiedy on sam tego zechce.

Doprawdy, Pencroff wyraził opinię ogółu. Prawdopodobnie kryjówka nieznajomego była równie tajemnicza, jak on sam.

<sup>46</sup>Wyspy Kanaryjskie — grupa górzystych wysp pochodzenia wulkanicznego położonych na Atlantyku na płn.zach. od Afryki; niekiedy utożsamiane z legendarnymi, leżącymi na Atlantyku, Wyspami Szczęśliwymi, na których wg mit. gr. przebywali po śmierci (lub nawet jeszcze za życia) sławni bohaterowie. [przypis edytorski]

Tego wieczoru wózek zatrzymał się przy ujściu Rzeki Wodospadu. Nocleg urządzono jak zwykle, z zachowaniem niezbędnych środków ostrożności.

Harbert, który był znowu silny i zdrowy jak przed chorobą, korzystał z przyjemnością z pobytu na świeżym powietrzu, wśród powiewów od oceanu i ożywiającej atmosfery lasów. Nie zajmował już miejsca na wózku, ale szedł na czele karawany.

Nazajutrz, 19 lutego, koloniści, opuściwszy wybrzeże, na którym za ujściem rzeki piętrzyły się malowniczo bazalty rozmaitych kształtów, udali się lewym brzegiem w górę rzeki. Droga była już częściowo urotowana podczas poprzednich wypraw, odbytych z zagrody na zachodnie wybrzeże. W tej chwili koloniści znajdowali się w odległości sześciu mil od Góry Franklina.

Plan inżyniera był następujący: przebadać szczegółowo całą dolinę, której kotlina tworzyła łożysko rzeki, i zachowując wszelkie środki ostrożności, dotrzeć w okolice zagrody. Jeżeli zagroda będzie zajęta, należy odbić ją siłą; jeżeli zaś nie będzie — umocnić się w niej i stworzyć z niej bazę wypadową do wypraw mających za cel zbadanie Góry Franklina. Plan został jednogłośnie przyjęty przez kolonistów, gdyż wszystkim było pilno ponownie wejść w posiadanie całej wyspy.

Ruszyli więc dalej ciasną doliną rozdzielającą dwa olbrzymie zbocza Góry Franklina. Drzewa, stojące gęsto na wybrzeżu rzeki, stawały się coraz rzadsze, w miarę jak wspinali się w górę wulkanu. Teren był pagórkowaty, dość nierówny, sprzyjający zasadzkom, toteż zwiększono środki ostrożności. Top i Jup biegli przodem jako zwiadowcy i rzucając się to w lewo, to w prawo w gęstwinę, współzawodniczyli w spryście i zręczności. Nic jednak nie wskazywało, aby brzegi rzeki były przez kogoś niedawno odwiedzane, nic nie zapowiadało obecności lub bliskości piratów.

Okolo piątej po południu wózek zatrzymał się o mniej więcej sześćset kroków od palisady otaczającej zagrodę. Przed wzrokiem przybywających nadal ukrywała ją półkulista zasłona z wysokich drzew.

Konieczne było dokonanie rozpoznania, czy zagroda jest zajęta. Udać się do niej otwarcie w świetle dnia, kiedy być może piraci się tam zaczęli, byłoby narażaniem się na strzał, jak się to przytrafiło Harbertowi. Lepiej więc było poczekać do zmroku.

Tymczasem Gedeon Spilett chciał, nie zwlekając dłużej, przekonać się, co się dzieje w zagrodzie, a zniecierpliwiony Pencroff zaproponował, że będzie mu towarzyszył.

— Nie, przyjaciele — odezwał się inżynier. — Czekajcie do zmierzchu. Nie pozwolę żadnemu z was narażać się w biały dzień.

— Ależ, panie Cyrusie... — zaczął marynarz niezbyt skłonny do posłuszeństwa.

— Proszę pana o to, Pencroffie — powiedział inżynier.

— Więc niech i tak będzie! — zawołał marynarz i zwracając swój gniew w inną stronę, obsypał bandytów najsoczystszymi przezwiskami z marynarskiego słownika.

Koloniści pozostali więc w pobliżu wózka, zwracając baczną uwagę na pobliskie lasy. Tak minęły trzy godziny. Wiatr ucichł i pod wielkimi drzewami zapanowała zupełna cisza. Z łatwością usłyszano by trzask łamanej gałązki, szelest kroków na suchych liściach, szelest ciała czołgającego się w trawie. Panował całkowity spokój. Top, leżąc na ziemi z łbem opartym na łapach, nie zdradzał najmniejszego niepokoju.

O ósmej było już na tyle ciemno, że można było podkraść się pod zagrodę w sprzyjających warunkach. Gedeon Spilett oświadczył, że gotów jest wyruszyć w towarzystwie Pencroffa. Cyrus Smith wyraził zgodę.

Top i Jup mieli zostać z inżynierem, Harbertem i Nabem, gdyż szcęknięcie lub krzyk mogły przedwcześnie zbudzić czujność nieprzyjaciół.

— Nie zapuszczajcie się zbyt daleko — zalecił Cyrus Smith marynarzowi i reporterowi. — Waszym zadaniem nie jest opanowanie zagrody, ale tylko przekonanie się, czy jest zajęta.

— Tak zrobimy — powiedział Pencroff.

I obaj z reporterem wyruszyli w drogę.

Pod drzewami dzięki gęstym liściom i gałęziom panowały takie ciemności, że poza promieniem trzydziestu do czterdziestu stóp niczego nie było widać. Reporter i Pencroff zatrzymywali się przy każdym podejrzanym szeleście i posuwali się naprzód z największą ostrożnością. Szli w pewnej odległości od siebie, aby nie stanowić zbyt łatwego celu dla kul. Szczerze mówiąc, spodziewali się w każdej chwili usłyszeć huk wystrzału.

W pięć minut po oddaleniu się od wózka obydwaj zwiadowcy doszli do skraju lasu i stanęli przed polanką, w głębi której widać było palisadę zagrody.

Tu się zatrzymali. Kilka ostatnich promieni słońca oświetlało jeszcze łąkę огоłoconą z drzew. O trzydzieści kroków przez nimi czerniała brama zagrody, jak się zdawało, zamknięta. Te trzydzieści kroków, oddzielających polankę od palisady, stanowiło strefę zagrożenia, używając terminu z dziedziny balistyki<sup>47</sup>. Rzeczywiście, jedna lub kilka kul wysłanych ze szczytu palisady mogły powalić na ziemię każdego, kto by się wysunął na tę otwartą przestrzeń.

Gedeon Spilett i marynarz nie należeli do ludzi cofających się przed podobnym niebezpieczeństwem, rozumieli jednak, że najmniejsza nierozwaga z ich strony, której stałoby się ofiarami, odbiłaby się następnie na towarzyszach. Gdyby się dali zabić, co by się stało z Cyrusem Smithem, Nabem, Harbertem?

Mimo tych refleksji Pencroff, podekscytowany tym, że jest tak blisko zagrody, w której, jak przypuszczał, ukryli się bandyci, już miał skoczyć naprzód, gdy silna ręka reportera osadziła go na miejscu.

— Za kilka minut stanie się całkiem ciemno — szepnął Gedeon Spilett marynarzowi do ucha — i wtedy będzie odpowiednia chwila do działania.

Pencroff, ściskając kurczowo kolbę karabinu, pohamował się i pozostał w miejscu, pomrukując.

Wkrótce ostatnie pobłyski zachodzącego słońca zgasły zupełnie. Mrok, zdający się wychodzić z gęstwiny lasu, zalał całą łączkę. Góra Franklina wznosiła się na zachodzie jak olbrzymi ekran zasłaniający horyzont i w mgnieniu oka zapanowała nieprzenikniona ciemność, jak się to zwykle zdarza w okolicach położonych na tej szerokości geograficznej. Nadeszła właściwa chwila.

Reporter i Pencroff od czasu zatrzymania się na skraju gęstwiny ani na chwilę nie spuścili z oka palisady. Zagroda wydawała się zupełnie opuszczona. Szczyt palisady rysował się jednostajną linią, nieco ciemniejszą od otaczającego mroku i w żadnym miejscu nieprzerwaną. A przecież jeżeli piraci znajdowali się w zagrodzie, to powinni wystawić w tym miejscu kogoś na straży, żeby zabezpieczyć się przed niespodziewanym atakiem.

Gedeon Spilett uściśnął dłoń swego towarzysza i obydwaj poczołgali się w stronę zagrody, z bronią gotową do strzału.

Dotarli aż do bramy ogrodzenia, a ciągle najmniejsze światełko nie przebiło mroków.

Pencroff popróbował popchnąć bramę, ale okazało się, że tak jak przypuszczał reporter, jest zamknięta. Jednakże marynarz zauważył, że nie założono zewnętrznych sztab. Można więc było wnioskować, że piraci znajdują się w zagrodzie i że prawdopodobnie zabezpieczyli tylko bramę tak, aby nie można jej było otworzyć siłą.

Gedeon Spilett i Pencroff wyżeżyli słuch.

Z wnętrza nie dochodził najmniejszy szelest. Muflony i kozice, zapewne śpiące w obórkach, nie przerywały ciszy nocnej.

Nie słysząc nic, reporter i marynarz zastanawiali się, czy powinni wspiąć się na palisadę i górą wejść do zagrody. Byłoby to wbrew instrukcjom Cyrusa Smitha.

Co prawda zamiar mógł się powieść, ale mógł także skończyć się niepowodzeniem. Jeżeli piraci niczego nie podejrzewali, jeżeli nic nie wiedzieli o skierowanej przeciw nim wyprawie, jeżeli wreszcie istniała w tej chwili szansa, żeby ich zaskoczyć, to czy wolno było narażać się na utratę tej szansy, próbując nierozważnie przechodzić przez palisadę?

Reporter uważał, że nie powinni tego robić. Sądził, że rozsądniej będzie poczekać, aż zbiorą się wszyscy razem, i wtedy dopiero próbować wejść do zagrody. Jedno ustalili na pewno: można było niepostrzeżenie dojść aż do samej palisady, a ogrodzenie chyba nie było strzeżone. Po ustaleniu tego faktu pozostawało już tylko wrócić do wózka i tam naradzić się wspólnie, co robić dalej.

Pencroff zapewne podzielał zdanie reportera, gdyż bez sprzeciwu poczołgał za nim z powrotem w stronę lasu.

Po kilku minutach inżynier znał już całą sytuację.

— Cóż — powiedział po chwili namysłu — zdaje mi się, że piratów nie ma w zagrodzie.

<sup>47</sup>balistyka — nauka o miotaniu i ruchu pocisków. [przypis edytorski]

— Dowiemy się o tym na pewno, kiedy przejdziemy przez palisadę — odpowiedział Pencroff.

— Do zagrody więc, przyjaciele! — zawołał Cyrus Smith.

— Czy zostawimy wózek w lesie? — spytał Nab.

— Nie — odpowiedział inżynier — to nasz furgon z żywnością i amunicją, a w razie potrzeby może nam posłużyć za szaniec.

— Naprzód więc! — odezwał się Gedeon Spilett.

Za chwilę wyprowadzony z lasu wózek zaczął się bezszelestnie toczyć w stronę palisady. Wciąż panowała głęboka ciemność i zalegała taka sama cisza, jak w chwili, gdy Pencroff z reporterem, czolgając się, oddalali się od zagrody. Gęsta trawa całkowicie tłumiała odgłos kroków.

Koloniści trzymali broń w pogotowiu. Jup na rozkaz Pencroffa trzymał się z tyłu. Nab prowadził Topa na smyczy, żeby nie mógł wyskoczyć naprzód.

Wkrótce ukazała się polanka. Była zupełnie pusta. Grupka bez wahania skierowała się w stronę ogrodzenia. Szybko przebyli niebezpieczną strefę. Nie padł żaden strzał. Przed samą palisadą zatrzymano wózek. Nab pozostał przy onagrach, trzymając je na wzdzy. Inżynier, reporter, Hubert i Pencroff ruszyli do bramy, żeby przekonać się, czy jest zabarykadowana z wewnątrz...

Jedno skrzydło było otwarte na oścież.

— Co mi opowiadaliście? — spytał inżynier, obracając się do marynarza i Gedeona Spiletta.

Na twarzach obydwu malował się wyraz najwyższego osłupienia.

— Jak pragnę zbawienia! — zawołał wreszcie Pencroff. — Przed chwilą brama była zamknięta!

Koloniści zawahali się. Czyżby piraci znajdowali się w zagrodzie w chwili, gdy Pencroff i reporter zbliżyli się do niej na zwiady? To chyba nie ulegało wątpliwości, gdyż bramę, wówczas zamkniętą, tylko oni mogli otworzyć. Czy byli tam jeszcze, czy może jeden z nich wyszedł?

Wszystkie te pytania natychmiast przysły do głowy kolonistom, ale jak znaleźć na nie odpowiedź?

W tej chwili Harbert, który zrobił kilka kroków za ogrodzenie, cofnął się gwałtownie i chwycił Cyrusa Smitha za rękę.

— Co się stało? — spytał inżynier.

— Światło!

— W domu?

— Tak!

Cała piątka ruszyła do bramy i rzeczywiście, przez szyby okna położonego naprzeciw nich ujrzeli drżące, słabe światelko. Cyrus Smith szybko powziął decyzję.

— To jedyna okazja — zawołał — żeby zaskoczyć piratów zamkniętych w domu i niespodziewających się niczego!... Mamy ich w pułapce! Naprzód!

Na to hasło koloniści wśliznęli się za ogrodzenie, trzymając broń gotową do strzału. Wózek pozostawiono zewnątrz pod strażą Topa i Jupa, których na wszelki wypadek uwiązano do niego.

Cyrus Smith, Pencroff i Gedeon Spilett z jednej strony, zaś Harbert i Nab z drugiej, skradając się wzdłuż palisady, nie spuszczali z oka części zagrody pogrążonej w ciemności i zupełnie pustej.

Po kilku minutach wszyscy znajdowali się już przy domu, przed zamkniętymi drzwiami.

Wówczas Cyrus Smith dał towarzyszom znak ręką, aby się nie ruszali z miejsca, a sam podszedł do okna, słabo oświetlonego przez jakieś światelko wewnątrz.

Inżynier zagłębił wzrok w jedynym pokoju, stanowiącym parter domu.

Na stole płonęła latarnia. Obok stołu stało łóżko, które kiedyś służyło Ayrtonowi. Na łóżku leżało ciało jakiegoś człowieka.

Nagle Cyrus Smith cofnął się i zawołał przytłumionym głosem:

— Ayrton!

W mgnieniu oka przez drzwi, raczej wyłamane niż otwarte, koloniści wdarli się do pokoju.

Ayrton zdawał się być pogrążony w śnie. Jego twarz świadczyła o długich i okrutnych cierpieniach. Na nadgarstkach i kostkach nóg miał szerokie, sine ślady.

Cyrus Smith pochylił się nad nim.

— Ayrtonie! — zawołał, chwytając za ramię towarzysza odnalezionego w tak nieoczekiwanych okolicznościach.

Na dźwięk jego głosu Ayrton otworzył oczy i wpatrzył się w twarz Cyrusa Smitha, a potem w pozostałych towarzyszy.

— To wy? — zawołał. — To wy?

— Ayrtonie! Ayrtonie! — powtórzył Cyrus Smith.

— Gdzie jestem?

— W domu w zagrodzie.

— Sam?

— Tak.

— Ale oni wrócą! — zawołał Ayrton. — Brońcie się, brońcie!

I upadł bez sił na łóżko.

— Spilecie — odezwał się w tej chwili inżynier — lada chwila możemy się spodziewać ataku. Wprowadźcie wózek za ogrodzenie, a potem zabarykadujcie bramę i wracajcie tu wszyscy.

Pencroff, Nab i reporter rzucili się z pośpiechem do wykonania rozkazów inżyniera. Nie było chwili do stracenia. Kto wie, może wózek już wpadł w ręce piratów!

W mgnieniu oka reporter i dwaj jego towarzysze przebiegli przez zagrodę i dopadli bramy, za którą słychać było głuchy warkot Topa.

Inżynier opuścił na chwilę Ayrtona i także wyszedł z domu z bronią gotową do strzału. Harbert stanął przy nim. Obydwaj obserwowali zbocza góry wznoszącej się nad zagrodę. Jeżeli piraci czaili się tam w zasadzce, to mogliby bez trudu wystrzelać kolonistów jednego po drugim.

W tym momencie nad czarną zasłoną lasu na wschodzie pojawił się księżyc i powódź srebrzystego światła załała wnętrze zagrody. Blask oświetlił obejście, przylegające kępy drzew, nawadniający zagrodę strumyk i obszerny dywan traw. Od strony góry odcinał się na czarnym tle biały dom i część palisady. Z przeciwnej strony, od bramy, ogrodzenie kryło się w mroku.

Wkrótce ukazała się jakaś ciemna bryła. Był to wózek wchodzący w krąg światła, a zaraz potem Cyrus Smith usłyszał łoskot bramy, którą zamykali i barykadowali od wewnątrz jego towarzysze.

W tej samej chwili Top raptownie zerwał się ze smyczy i wściekle szczekając, rzucił się w głąb zagrody na prawo od domu.

— Uwaga, przyjaciele, przygotujcie się! — zawołał Cyrus Smith.

Koloniści złożyli się do strzału, czekając na odpowiedni moment. Top nie przestawał zaciekle szczekać, a Jup, podbiegłszy do niego, wydawał ostre gwizdy.

Koloniści podążyli za nim i po chwili znaleźli się nad strumykiem ocienionym wielkimi drzewami.

I cóż tam ujrzeli w świetle księżycy?

Pięć ciał leżących na brzegu.

Były to trupy piratów, którzy przed czterema miesiącami wylądowali na Wyspie Lincoln.

## ROZDZIAŁ XIII

*Opowiadanie Ayrtona. — Zamiary jego dawnych kamratów. — Zajęcie przez nich zagrody. — Wymierzający sprawiedliwość na Wyspie Lincoln. — „Bonawentura”. — Poszukiwania wokół Góry Franklina. — Wyższe doliny. — Podziemne grzmoty. — Odpowiedź Pencroffa. — W głębi krateru. — Powrót.*

Co się stało? Kto zabił piratów? Czy to był Ayrton? Nie, skoro jeszcze przed chwilą obawiał się ich powrotu.



Ale Ayrton pogrążony był teraz w tak głębokim śnie, że nie dało się go obudzić. Po kilku wymówionych przed chwilą słowach ponownie opanowało go otępienie i padł bez ruchu na łóżko.

Szarpani tysiącem sprzecznych myśli koloniści spędzili noc w stanie niezwykłego podniecenia, nie opuszczając ani na chwilę domu Ayrtona ani nie wracając na miejsce, gdzie leżały ciała zabitych piratów. Ayrton prawdopodobnie nie mógłby im nic powiedzieć o okolicznościach, które towarzyszyły śmierci tych bandytów, gdyż nie wiedział nawet, że znajduje się w domu w zagrodzie. Ale chyba przynajmniej mógłby opowiedzieć o tym, co się działo przed tą straszną egzekucją.

Nazajutrz Ayrton był trochę przytomniejszy i towarzysze serdecznie wyrazili mu swoją radość, że go znów widzą, prawie zdrowego i całego po stu czterech dniach rozłąki.

Wówczas Ayrton opowiedział im w paru słowach, co się stało, o tyle przynajmniej, o ile mu było wiadomo.

Nazajutrz po jego przybyciu do zagrody, 10 listopada, z nastaniem zmierzchu zniecka napadli go bandyci, którzy przeleźli przez ogrodzenie. Związali go i zakneblowali, a następnie uprowadzili ze sobą do jakiejś jaskini u stóp Góry Franklina, gdzie mieli kryjówkę.

Jego śmierć była postanowiona, następnego dnia mieli go zabić, gdy nagle jeden z bandytów poznał go i nazwał po imieniu, jakie nosił niegdyś w Australii. Nędznicy chcieli zamordować Ayrtona, ale szanowali Ben Joyce'a.

Od tej chwili Ayrton stał się przedmiotem nieustannych nalegań i namów ze strony dawnych kamratów. Chcieli go przyciągnąć znowu do siebie, liczyli na niego, że pomoże im zawładnąć Granitowym Pałacem, dostać się do tej niedostępnej warowni i po wymordowaniu kolonistów zostać panami wyspy.

Ayrton opierał się. Dawny skazaniec, skruszony i przyjęty do grona ludzi uczciwych, raczej poniósłby śmierć, niż zdradził swoich towarzyszy.

Związany, zakneblowany i czujnie strzeżony, przeżył w tej jaskini cztery miesiące.

Tymczasem piraci, którzy odkryli zagrodę prawie zaraz po swoim wylądowaniu na wyspie, korzystali ze zgromadzonej tam żywności, ale w niej nie mieszkali. 11 listopada dwaj bandyci, zaskoczeni przybyciem kolonistów, strzelali do Harberta i jeden z nich po powrocie przechwalał się, że zabił któregoś z mieszkańców wyspy. Powrócił jednak sam. Towarzysz jego, jak wiemy, padł od sztyletu Cyrusa Smitha.

Można sobie wyobrazić niepokój i rozpacz Ayrtona na wieść o śmierci Harberta. Kolonistów było już tylko czterech, jak się wydawało, zdanych na łaskę piratów.

Wskutek tego zdarzenia przez cały czas, w którym choroba Harberta zatrzymywała kolonistów w zagrodzie, piraci nie ruszyli się ze swojej jaskini i nawet po spustoszeniu Płaskowyzu Pięknego Widoku nie uważali za rozsądne, żeby opuścić tę kryjówkę.

Z Ayrtonem zaczęli się obchodzić jeszcze gorzej. Na jego rękach i nogach wciąż widniały krwawe ślady więzów krępujących go w dzień i w nocy. Każdej chwili oczekiwał na śmierć, której zdawało się, że w żaden sposób nie uniknie.

Tak było do trzeciego tygodnia lutego. Piraci, czatując wciąż na sprzyjającą okazję, rzadko opuszczali swą kryjówkę i zrobili zaledwie kilka wycieczek myśliwskich, bądź to w głąb wyspy, bądź też w stronę jej południowego wybrzeża. Ayrton nie miał żadnych wiadomości o swoich towarzyszach i stracił wszelką nadzieję, że jeszcze ich kiedyś zobaczy.

Wreszcie, osłabiony strasliwym traktowaniem, zapadł w głębokie otępienie i nic już nie widział ani nie słyszał. Od tej chwili, to jest od dwóch dni, nie mógł powiedzieć, co się działo.

— Ale, panie Smith — dodał — byłem uwięziony w jaskini, więc jak to się stało, że jestem tu, w zagrodzie?

— A jak się to stało, że piraci leżą martwi, tu, wewnątrz ogrodzenia? — odpowiedział reporter.

— Martwi?! — zawołał Ayrton, mimo całego osłabienia zrywając się z łóżka.

Towarzysze podtrzymali go. Chciał się koniecznie podnieść, na co mu wreszcie pozwolono, i wszyscy udali się w stronę strumyczka.

Było już całkiem widno.

Na brzegu, w pozycji, w jakiej ich zaskoczyła śmierć, widocznie błyskawiczna, leżało pięć ciał piratów.

Ayrton stał w osłupieniu. Cyrus Smith i towarzysze patrzyli na niego bez słowa.

Na znak dany przez inżyniera Nab i Pencroff obejrzeni zeszywniały już ciała.

Nie było na nich żadnych śladów obrażeń.

Dopiero po bardzo uważnym zbadaniu Pencroff dostrzegł na czole u jednego, u drugiego na piersiach, u trzeciego na plecach, u czwartego na szyi małą czerwoną plamkę, jakby ledwo widoczny ślad uderzenia, której pochodzenie trudno było rozpoznać.

— Tu zostali ugodzeni — powiedział Cyrus Smith.

— Ale jaką bronią?

— Jakąś piorunującą bronią, której nie znamy.

— A kto ich zabił? — spytał Pencroff.

— Wielki wykonawca sprawiedliwości na wyspie — odpowiedział Cyrus Smith — ten sam, który przeniósł tutaj Ayrtona, którego dobroczynną moc znowu poczuliśmy, który robi dla nas, czego sami nigdy nie zdołalibyśmy dokonać, a zrobiwszy, ukrywa się przed nami.

— Szukajmy go więc! — zawołał Pencroff.

— Tak, szukajmy — odpowiedział Cyrus Smith — ale nie znajdziemy tej potężnej istoty, dokonującej takich cudów, dopóki sama nie zechce nas do siebie wezwać.

Ta tajemnicza opieka, która sprawiała, że ich własne działania były niczym, głęboko wzruszała, a zarazem drażniła inżyniera.

Stwierdzał swoją niższość, co raniło jego dumną duszę. Wspaniałomyślność objawiająca się w taki sposób, aby uniknąć wszelkich oznak wdzięczności, zdradzała rodzaj pogardy w stosunku do dłużników, pogardy, która w oczach Cyrusa do pewnego stopnia obniżała wartość dobrodziejstw nieznanego.

— Szukajmy — ciągnął dalej — i dałby Bóg, żebyśmy kiedyś mogli dowieść temu wyniosłemu opiekunowi, że nie ma do czynienia z niewdzięcznikami! Ileż bym dał za możliwość odplacenia mu się jakąś wielką przysługą, choćby z narażeniem życia!

Od tego dnia poszukiwanie nieznanego stało się jedynym celem działań kolonistów Wyspy Lincoln. Wszystko popychało ich do odkrycia odpowiedzi na tę zagadkę, odpowiedzi, która mogła być tylko imieniem człowieka obdarzonego prawdziwie niepojętą, prawie nadludzką mocą.

Po kilku chwilach koloniści powrócili do domu, gdzie ich starania wkrótce przywróciły Ayrtonowi równowagę psychiczną i fizyczną.

Nab i Pencroff przenieśli trupy do lasu, z dala od zagrody, i pogrzebali je głęboko.

Następnie opowiedziano Ayrtonowi wszystko, co zaszło podczas jego uwięzienia. Dowiedział się o przygodzie Harberta, o wszystkich ciężkich doświadczeniach kolonistów i o tym, jak stracili już całkiem nadzieję zobaczenia go ponownie, sądząc, że go spotkała bezlitosna śmierć z rąk piratów.

— A teraz — odezwał się Cyrus Smith, kończąc swoją opowieść — pozostaje nam jeszcze jeden obowiązek do spełnienia. Wykonaliśmy połowę naszego zadania, ale tego, że nie musimy się już obawiać piratów i że ponownie staliśmy się jedynymi panami wyspy, nie zawdzięczamy samym sobie.

— Przeszukajmy więc — powiedział Gedeon Spilett — cały ten labirynt skał i kotlin Góry Franklina. Zajrzyjmy do każdego wgłębienia, do każdej dziury. Ach, przyjaciele, nie wiem, czy kiedykolwiek jakiś reporter stanął wobec bardziej poruszającej do głębi tajemnicy niż ja!

— I nie powrócimy do Granitowego Pałacu — odpowiedział Harbert — zanim nie znajdziemy naszego dobroczyńcy.

— O tak! — powiedział inżynier — zrobimy wszystko, co w ludzkiej mocy... Ale powtarzam wam, że nie znajdziemy go wcześniej, niż sam tego zechce.

— Czy pozostaniemy w zagrodzie? — spytał Pencroff.

— Pozostaniemy — odpowiedział Cyrus Smith. — Mamy tu pod dostatkiem zapasów, a co najważniejsze, leży w samym centrum kręgu naszych poszukiwań. Zresztą, jeśli zajdzie potrzeba, można podjechać wózkami do Granitowego Pałacu.

— Dobrze — odpowiedział marynarz. — Ale jeszcze jedna uwaga...

— Jaka?

— Przed nami lato, a nie powinniśmy zapominać, że mamy przed sobą wycieczkę morską...

— Wycieczkę morską? — spytał Gedeon Spilett.

— Owszem, na wyspę Tabor — odpowiedział Pencroff. — Musimy zostawić tam notatkę podającą położenie naszej wyspy, na której znajduje się obecnie Ayrton, na wypadek gdyby przybył po niego szkocki jacht. Kto wie, czy już i tak nie jest za późno?

— Ale w jaki sposób, Pencroffie — spytał Ayrton — zamierza pan odbyć tę wycieczkę?

— Na „Bonawenturze”.

— Na „Bonawenturze”! — zawołał Ayrton. — Już go nie ma.

— Co, mojego „Bonawentury” nie ma?! — zaryczał Pencroff, zrywając się z miejsca.

— Niestety! — odpowiedział Ayrton. — Zaledwie osiem dni temu piraci odkryli go w małej zatoczce, wypłynęli nim na morze i...

— I?... — zapytał Pencroff z bijącym sercem.

— I nie mając ze sobą Boba Harveya, który by go poprowadził, wpadli na skały, tak że statek rozbił się doszczętnie.

— Ach, nędznicy! Zbóje! Podłe lotry! — wrzeszczał Pencroff.

— Pencroffie — odezwał się Harbert, chwytając go za rękę — zrobimy drugiego „Bonawenturę”, i to większego. Przecież mamy teraz do dyspozycji wszystkie okucia i całe ożaglowanie brygu.

— Ale czy wiecie — odpowiedział Pencroff — że na zbudowanie statku mającego trzydzieści do czterdziestu ton wyporności potrzeba co najmniej pięć do sześciu miesięcy?

— Znajdziemy czas — odpowiedział reporter — a w tym roku zrezygnujemy z wycieczki na wyspę Tabor.

— Cóż zrobić? — powiedział inżynier. — Trzeba się poddać konieczności, a mam nadzieję, że opóźnienie nie przyniesie nam żadnej szkody.

— Ach, mój „Bonawentura”! Mój biedny „Bonawentura”! — jęczał Pencroff, mocno dotknięty stratą statku, z którego był taki dumny.

Zniszczenie „Bonawentury” było rzecz jasna przykre dla wszystkich kolonistów i dlatego postanowiono jak najszybciej naprawić tę szkodę. Zdecydowawszy o tym, zajęli się tylko jednym, to jest wyprawą w celu przeszukania najskrytszych części wyspy.

Poszukiwania rozpoczęto jeszcze tego samego dnia, 19 lutego, i prowadzono je przez cały tydzień. U podnóża góry, pomiędzy grzbietami zboczy i ich licznymi rozgałęzieniami, ciągnął się labirynt kapryśnie rozrzuconych dolin i wąwozów. Właśnie tam, w głębi tych wąskich rozpadlin, kto wie, może nawet w samym środku góry, należało prowadzić najdokładniejsze poszukiwania. Żadna inna część wyspy nie nadawała się bardziej na kryjówkę dla człowieka, który chciałby pozostać nieznanym. Labirynt dolin był jednak tak zawity, że Cyrus Smith uznał, iż badania trzeba prowadzić bardzo metodycznie.

Kolonisci zwiedzili więc najpierw całą dolinę rozpościerającą się na południowym stoku wulkanu, gdzie wypływała Rzeka Wodospadu. Tutaj Ayrton pokazał im jaskinię, w której ukrywali się piraci i gdzie go trzymali aż do chwili przeniesienia do zagrody. Jaskinia wyglądała tak, jak wtedy, kiedy Ayrton w niej przebywał. Znalaziono w niej jeszcze pewna ilość amunicji i zapasów żywności, które piraci zabrali z zagrody, żeby stworzyć sobie tutaj rezerwę.

Zbadano jak najdokładniej całą przylegającą do jaskini dolinę, ocienioną pięknymi drzewami, wśród których przeważały drzewa iglaste. Następnie zaś, po okrążeniu południowo-zachodniego zbocza, kolonisci zapuścili się w wąski wąwóz kończący się malowniczymi zwałami bazaltów na wybrzeżu.

Tu drzewa były rzadsze. Kamień wypierał roślinność. Po skałach przeskakiwały kozice i muflony. W tym miejscu rozpoczynała się jałowa część wyspy. Można było zauważyć, że z tych licznych dolin rozgałęziających się od podnóża Góry Franklina, tylko trzy były zalesione i obfitowały w pastwiska, tak jak dolina, w której była zagroda, granicząca na zachodzie z doliną Rzeki Wodospadu, a na wschodzie z doliną Czerwonego Potoku. Oba te strumienie, które po przyjęciu różnych dopływów przemieniały się niżej w rzeki, zbierały wszystkie wody spływające z góry i były przyczyną żyzności jej południowej części. Rzeka Dziękczynienia była zasilana bardziej bezpośrednio przez obfite źródła ukryte w głębi Lasu Złotopióra; podobnego rodzaju źródła, sączące się tysiącem nici, nawilżały glebę Półwyspu Wężowego.

Jedna z tych trzech dolin, gdzie nie brakowało wody, mogła służyć za schronienie jakiemuś samotnikowi, który znalazłby w niej wszystko, co niezbędne do życia. Ale koloniści już je dokładnie zbadali i nigdzie nie znaleźli ani śladu obecności człowieka.

Czyżby więc schronienie nieznanego miało się znajdować w głębi tych jałowych wąwozów, wśród rumowisk skalnych, w dzikich jarach<sup>48</sup> na północy, wśród zastygłych potoków lawy?

Północne zbocze Góry Franklina miało u podnóża dwie szerokie i niezbyt głębokie doliny, pozbawione zieleni, usiane głazami, poprzerzynane głębokimi szczelinami, wybrukowane lawą, poorane zwalami skalnymi pokrytymi obsydianami<sup>49</sup> i labradorami<sup>50</sup>. Ten teren wymagał długich i trudnych poszukiwań. Istniały tu tysiące rozpadlin, zapewne niezbyt wygodnych, ale doskonale ukrytych i trudno dostępnych. Koloniści zagłębiali się nawet w mroczne tunele, pochodzące z czasów aktywności wulkanu, nadal poczerniałe od ówczesnych ogni, prowadzące w głąb samej góry. Szli przez te ciemne korytarze, oświetlając sobie drogę smolnymi pochodniami, zbadali najmniejsze zagłębienia, sprawdzili każdy otwór. Wszędzie panowała cisza i ciemność. Nie wyglądało na to, żeby kiedykolwiek jakaś istota ludzka stąpała po tych odwiecznych korytarzach, aby czyjaś ręka przesunęła któryś z głazów. Leżały tak samo, jak wtedy gdy wulkan wyrzucił je ponad powierzchnię wody, w epoce, kiedy wyspa wynurzyła się z dna morskiego.

Jednak chociaż te podziemne przejścia były całkiem puste i pogrążone w głębokiej ciemności, to nie panowała w nich zupełna cisza, jak się o tym przekonał Cyrus Smith.

Kiedy inżynier dotarł do końca jednej z tych mrocznych rozpadlin, rozciągających się na kilkaset stóp w głąb góry, ze zdziwieniem usłyszał głuche pomruki wzmocnione echem otaczających go skał.

Towarzyszący mu Gedeon Spilett, również usłyszał ten daleki warkot, wskazujący na uaktywnienie się podziemnych ogni. Obaj kilkakrotnie nastuchiwali i doszli do wspólnego wniosku, że we wnętrzu ziemi zachodzi jakiś proces chemiczny.

— A więc wulkan nie wygasł zupełnie? — odezwał się reporter.

— Możliwe — odpowiedział Cyrus Smith — że od czasu, gdy badaliśmy krater, w głębszych warstwach zaszły jakieś zmiany. Widocznie każdy wulkan pomimo pozornego wygaśnięcia może zbudzić się na nowo.

— Jeżeli jednak zanosi na wybuch Góry Franklina, to czy Wyspie Lincolna nie zagraża niebezpieczeństwo? — spytał Gedeon Spilett.

— Nie wydaje mi się — odpowiedział inżynier. — Istnieje przecież krater, czyli kłapa bezpieczeństwa, więc nadmiar gazów i lawy wydostanie się nim, jak niegdyś, swoją zwykłą drogą.

— Żeby tylko lawa nie utorowała sobie nowego przejścia w kierunku żywnych części wyspy.

— A to dlaczego, drogi Spilecie? — odpowiedział Cyrus Smith. — Dlaczego nie miałyby popłynąć naturalnie wytyczoną drogą?

— Ech, wulkany są kapryśne — powiedział reporter.

— Proszę zauważyć — odpowiedział inżynier — że nachylenie całego masywu Góry Franklina sprzyja wylewaniu się mas wulkanicznych w kierunku dolin, które teraz badamy. Po to, żeby zmienić kierunek tego przepływu, jakieś trzęsienie ziemi musiałyby przesunąć środek ciężkości góry.

— Ależ w podobnych warunkach zawsze należy się obawiać trzęsienia ziemi — zauważył Gedeon Spilett.

— Zawsze — odpowiedział inżynier — zwłaszcza gdy siły podziemne poczynają się budzić, a wewnątrz ziemi może być zapchane wskutek długiej bezczynności. Toteż, drogi Spilecie, wybuch byłby dla nas sprawą niesłychanie poważną i lepiej byłoby, żeby nasz wulkan nie nabrał ochoty na przebudzenie się. Ale nic na to nie poradzimy, prawda? W każdym razie nie wydaje mi się, żeby naszej posiadłości na Płaskowyżu Pięknego Widoku mogło coś naprawdę zagrażać. Pomiędzy nią a górą grunt jest znacznie zagłębiony,

<sup>48</sup>jar — wąwóz o wąskim dnie i stromych zboczach. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>obsydian — skała wulkaniczna złożona niemal wyłącznie ze szkliwa wulkanicznego, powstająca w wyniku natychmiastowego stygnięcia lawy. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>labradyt — magmowa skała głębinowa z dużą zawartością labradoru, minerału z gromady krzemianów, występującego w postaci kruchych, przezroczystych kryształów o migotliwej barwie. [przypis edytorski]

a gdyby kiedykolwiek lawa skierowała się w stronę jeziora, zostałaby odrzucona w stronę wydm i terenów sąsiadujących z Zatoką Rekinów.

— Dotychczas nie widzieliśmy na szczycie góry żadnego dymu zapowiadającego bliski wybuch — odezwał się Gedeon Spilett.

— Istotnie — odparł Cyrus Smith — z krateru nie wznosi się najmniejszy dymek, a wczoraj dokładnie obserwowałem jego szczyt. Możliwe jednak, że w dolnej części kominu z biegiem lat nagromadziły skały, popioły i zastygła lawa i że ta wspomniana przeze mnie kłapa bezpieczeństwa jest chwilowo pod zbyt wielkim naciskiem. Ale przy pierwszym poważniejszym wysiłku te wszystkie przeszkody znikną i może pan być pewny, drogi Spilecie, że ani wyspa będąca kotłem, ani wulkan służący za komin nie wylecą w powietrze pod ciśnieniem gazów. W każdym razie, powtarzam, byłoby lepiej, gdyby nie było wybuchu.

— A jednak zmysły nas nie huczają — odparł reporter. — Słysząc przecież wyraźnie głuche pomruki w samym wnętrzu wulkanu.

— Istotnie — odpowiedział inżynier, nastawiwszy raz jeszcze uszu z wyteżoną uwagą — istotnie, niemożliwe, abyśmy się mylili. Odbywa się tam jakiś proces, a my nie możemy ocenić ani jego rozmiarów, ani ostatecznego rezultatu.

Po wyjściu i odnalezieniu towarzyszy Cyrus Smith i Gedeon Spilett powiadomili ich o swoich spostrzeżeniach.

— Ha! — zawołał Pencroff. — Temu wulkanisku zbiera się na figle! Niech no tylko spróbuje! Znajdzie się ktoś, kto mu na to nie pozwoli!...

— Kto taki? — spytał Nab.

— Nasz duch opiekuńczy, Nabie, nasz duch, który mu zaknebluje krater, jak tylko będzie go chciał rozdziawić!

Jak widać, zaufanie marynarza do specjalnego bożka wyspy nie miało granic. Rzeczywiście, jego tajemnicza potęga, przejawiająca się dotychczas tyloma niepojętymi faktami, wydawała się bezgraniczna. Udało mu się nawet ująć najskrupulatniejszym poszukiwaniom kolonistów, tak że pomimo wszelkich wysiłków, mimo gorliwości, pomimo zawziętych poszukiwań dotychczas nie zdołali odkryć jego kryjówki.

Od 19 do 25 lutego rozszerzono zasięg poszukiwań na całą północną część Wyspy Lincoln, gdzie przetrząsnęto najtajniejsze zakamarki. Koloniści doszli wreszcie do tego, że opukiwali każdą ścianę skalną, jak to robią agenci sprawdzający mury podejrzanego domu. Inżynier sporządził nawet bardzo dokładny plan całej góry i przeprowadził poszukiwania aż podtrzymujących ją dolnych partii skał. Zbadano ją do samego szczytu ściętego stożka kończącego pierwszą kondygnację góry, a następnie aż do górnej krawędzi tego olbrzymiego kapelusza, w głębi którego otwierał się krater.

Co więcej, koloniści zagłębili się także w samą gardziel krateru, wciąż jeszcze wygasłą, ale z głębi której wyraźnie dochodziły pomruki. Na razie jednak ani dym, ani para, ani najmniejsze rozgrzanie się ścian nie wskazywały na zbliżający się wybuch wulkanu. I ani tutaj, ani w żadnej innej części Góry Franklina koloniści nie znaleźli śladów tego, którego szukali.

Wówczas przeniesiono poszukiwania w okolice wydm. Przeszukano starannie wysokie urwisko z lawy w Zatoce Rekinów, od podstawy do szczytu, pomimo że zejście do samego poziomu zatoki nastęczało ogromne trudności. Nikogo! Niczego!

Te dwa słowa streszczały w sobie tyle trudów poniesionych na marne, tyle bezowocnej wytrwałości, że w duszy Cyrusa Smitha i jego towarzyszy do uczucia zawodu dołączył rodzaj gniewu.

Trzeba było pomyśleć o powrocie, bo poszukiwania nie mogły się przedłużyć w nieskończoność. Koloniści mieli doprawdy prawo wierzyć, że ta tajemnicza istota nie mieszkała na powierzchni wyspy, i w ich pobudzonej wyobraźni powstawały najbardziej szalone hipotezy. Zwłaszcza Nab i Pencroff, nie poprzestając już na tym, co było dziwne, dawali się unosić w świat nadprzyrodzony.

25 lutego koloniści powrócili do Granitowego Pałacu i dzięki podwójnie złożonej linie, zarzuconej na podest za pomocą strzały, przywrócili połączenie pomiędzy swoim mieszkaniem a ziemią.

W miesiąc później, 25 marca, obchodzili trzecią rocznicę swego przybycia na Wyspę Lincoln.

## ROZDZIAŁ XIV

*Upłynęły trzy lata. — Sprawa nowego statku. — Co postanowiono? — Dobrobyt kolonii. — Stocznia. — Mrozy na półkuli południowej. — Pencroff rezygnuje. — Pranie bielizny. — Góra Franklina.*

Trzy lata upłynęły od ucieczki więźniów z Richmond. Ileż to razy przez ten czas rozmawiali o swojej ojczyźnie, zawsze obecnej w ich myślach!

Nie wątpili, że wojna domowa musiała się już skończyć i wydawało im się niemożliwe, żeby słuszna sprawa Północy nie odniosła zwycięstwa. Ale jak przebiegała ta straszliwa wojna? Ile krwi kosztowała? Którzy z ich przyjaciół polegli w tej walce? Często o tym rozmawiali, nie mogąc nawet przewidzieć, kiedy znowu zobaczą swój kraj. Pragnęli powrócić do swojej ziemi choćby na kilka dni, nawiązać z powrotem więzi z zamieszkanym światem, nawiązać jakąś komunikację pomiędzy ojczyzną a tą wyspą, a następnie spędzić najdłuższy, najlepszy może okres swego życia w tej kolonii, którą założyli i która wówczas należałaby do metropolii. Czyżby było to marzeniem niemożliwym do spełnienia?

Były tylko dwa środki urzeczywistnienia tej nadziei: albo pewnego dnia w pobliżu Wyspy Lincolna pojawi się jakiś statek, albo też koloniści sami zbudują statek dostatecznie wytrzymały, żeby dopłynąć nim do najbliższego lądu.

— Chyba że — mawiał Pencroff — chyba że nasz dobry duch dostarczy nam innych środków umożliwiających powrót do ojczyzny.

Z pewnością, gdyby ktoś przyszedł do Pencroffa i Naba i powiedział, że okręt o wyporności trzystu ton oczekuje na nich w Zatoce Rekinów lub w Przystani Balonowej, nie okazaliby najmniejszego zdziwienia. Jeżeli chodziło o tajemniczego opiekuna, spodziewali się po nim wszystkiego.

Jednak Cyrus Smith, mniej naiwny, radził im powrócić do rzeczywistości i pomyśleć o budowie statku, sprawie naglącej, ponieważ trzeba było jak najprędzej zawieźć na wyspę Tabor dokument wskazujący nowe miejsce pobytu Ayrtona.

„Bonawentury” już nie było, zaś zbudowanie nowego statku wymagało co najmniej sześciu miesięcy. Tymczasem zbliżała się zima, więc podróż nie mogła się odbyć przed nadejściem wiosny.

— Mamy więc dosyć czasu na przygotowania przed nadejściem lata — powiedział inżynier, rozmawiając o tym z Pencroffem. — Sądzę zaś, przyjacielu, że będąc zmuszeni zbudować na nowo statek, powinniśmy mu nadać większe rozmiary. Przybycie szkockiego jachtu na wyspę Tabor jest rzeczą bardzo niepewną. Możliwe nawet, że przypłynął już przed kilkoma miesiącami i po daremnych poszukiwaniach śladów Ayrtona odpłynął z powrotem. Czy nie byłoby zatem wskazane zbudować statek, którym w razie potrzeby można by popłynąć na archipelagi polinezyjskie lub do Nowej Zelandii? Co pan o tym sądzi?

— Sądzę, panie Cyrusie, że potrafi pan tak samo zbudować wielki statek, jak i mały. Ani drzewa, ani narzędzi nam nie zabraknie. To tylko kwestia czasu.

— A ile czasu wymagałoby zbudowanie statku o wyporności dwustu pięćdziesięciu do trzystu ton? — spytał Cyrus Smith.

— Co najmniej siedem do ośmiu miesięcy — odpowiedział Pencroff. — Nie należy jednak zapominać, że zbliża się zima i że przy silnych mrozach obróbka drzewa jest trudna. Musimy przewidzieć kilka tygodni przerwy w pracy, więc będziemy mieli szczęście, jeżeli zdążymy ukończyć statek na listopad.

— Cóż — odpowiedział Cyrus Smith — to jest akurat najbardziej odpowiednia pora na podjęcie dłuższego rejsu, czy to na wyspę Tabor, czy też do odleglejszego lądu.

— Rzeczywiście, panie Cyrusie — potwierdził marynarz. — Niech więc pan sporządzi plany; robotnicy czekają, a myślę, że i Ayrton potrafi nam doskonale pomóc przy tej pracy.

Pozostali koloniści, spytani o zdanie, zgodzili się na projekt inżyniera, bo też rzeczywiście było to najlepsze wyjście. Co prawda zbudowanie dwustu do trzystutonowego statku było nie lada zadaniem, ale koloniści wierzyli we własne siły, co usprawiedliwiały dotychczasowe liczne sukcesy.

Cyrus Smith zajął się opracowaniem planu statku i wykonaniem modelu. W tym czasie jego towarzysze zabrali się do wyrębu i zwożenia drzewa potrzebnego na wręgi, kadłub i poszycie. Las Dalekiego Zachodu dostarczył najlepszych dębów i wiązów. Skorzystano z traktu wyciętego podczas ostatniej wyprawy, żeby utorować wygodną drogę, której nadano nazwę Drogi Dalekiego Zachodu, zaś drewno zwieziono do Kominów, gdzie urządzono stocznię. Wprawdzie droga przebiegała nieco krętą linią, gdyż o jej przebiegu decydował głównie duży wybór odpowiednich drzew, ułatwiała jednak dostęp do znacznej części Półwyspu Wężowego.

Drzewa trzeba było szybko ściąć i obrobić, gdyż nie można ich było użyć świeżo po ścięciu, a na wyschnięcie potrzebowały dość dużo czasu. Ciesłe pracowali więc gorliwie przez cały kwiecień, podczas którego nie zaszło nic ważnego oprócz kilku gwałtownych wichur w okresie zrównania dnia z nocą. Pan Jup zręcznie pomagał, bądź to włącząc na szczyty drzew i umocowując liny służące do ich zwalania na ziemię, bądź też dźwigając na swoich potężnych barkach pozbawione gałęzi pnie.

Następnie całe drewno złożono w obszernej szopie z desek zbudowanej w pobliżu Kominów, gdzie miało czekać na rozpoczęcie budowy statku.

Kwiecień był dosyć piękny, jak często bywa październik na półkuli północnej. W tym samym czasie zabrano się również gorliwie do pracy na roli i wkrótce wszelkie ślady spustoszenia znikły z Płaskowyżu Pięknego Widoku. Młyn odbudowano, a na miejscu dawnych zabudowań ptaszarni stanęły nowe. Trzeba je było koniecznie powiększyć, ponieważ liczba ptasich mieszkańców ogromnie wzrosła. W stajni było obecnie pięć onagrów, z których cztery silne, dobrze wyćwiczone nadawały się do zaprzęgu i jazdy wierzchem, a piąty właśnie się urodził. Inwentarz kolonii powiększył się o pług i onagrów użyto do orki jak prawdziwe woły z Yorkshire<sup>51</sup> lub Kentucky<sup>52</sup>. Każdy z kolonistów miał przydzieloną część pracy i żadna para rąk nie próżnowała. Toteż robotnicy mieli świetne zdrowie i niezrównany humor ożywiały wieczory w Granitowym Pałacu, gdy układali tysiące projektów na przyszłość.

Rzecz jasna Ayrton żył i pracował wspólnie z kolonistami, i nie było już nawet mowy o tym, żeby mieszal w zagrodzie. Zawsze jednak był smutny i mało mówny, raczej przyłączał się do pracy niż do rozrywek swoich towarzyszy. Za to przy pracy był niezastąpiony — silny, zręczny, pomysłowy i inteligentny. Wszyscy go szanowali i lubili, co nie mogło ujść jego uwagi.

Nie zaniedbywano także zagrody. Co dwa dni jeden z kolonistów wózkiem lub wierzchem na onagrze udawał się tam, żeby doglądnąć stada muflonów i kozic, i powracał z zapasem mleka do spiżarni Naba. Wycieczki te stanowiły zarazem okazję do polowań. Toteż Harbert i Gedeon Spilett, z Topem na przedzie, częściej od reszty towarzyszy przemierzali drogę do zagrody, a ponieważ mieli doskonałą broń, w domu nigdy nie brakowało kapibar, aguti, kangurów, dzików, a także kaczek, kuraków, bażantów, złotopiórów i bekasów. Królikarnia, ławica ostryg, kilka schwytych żółwi, nowy połów wybornych łososi, które wpłynęły znowu do Rzeki Dziękczynienia, warzywa z Płaskowyżu Pięknego Widoku, dzikie owoce z lasu — całego tego bogactwa było tyle, że kuchmistrz Nab ledwie znajdował miejsce, żeby je przechować.

Rzecz jasna linia telegraficzna łącząca zagrodę z Granitowym Pałacem została naprawiona i korzystano z niej, gdy któryś z kolonistów, będąc w zagrodzie, uważał za konieczne tam przenocować. Zresztą wyspa była obecnie bezpieczna, nie trzeba się było obawiać napaści, przynajmniej ze strony ludzi.

Niemniej jednak to, co się stało, mogło się jeszcze powtórzyć. Zawsze można było się spodziewać wylądowania piratów lub zbiegłych przestępców. Możliwe, że towarzysze i wspólnicy Boba Harveya nadal odsiadujący karę w Norfolk byli wtajemniczeni w jego plany i mogli wpaść na pomysł, żeby pójść za jego przykładem. Dlatego też koloniści nie przestawali zwracać czujnej uwagi na miejsca odpowiednie do lądowania na wyspie i codziennie przeszukiwali lunetą szeroki horyzont pomiędzy Zatoką Stanów Zjednoczonych a Zatoką Waszyngtona. Kiedy przebywali w zagrodzie, nie mniej uważnie obserwowali

<sup>51</sup>Yorkshire — hrabstwo w płn. Anglii. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>Kentucky — jeden ze stanów USA. [przypis edytorski]

zachodnią część morza, a gdy wspinali się na zbocza Góry Franklina, mogli ogarnąć wzrokiem duży odcinek zachodniego horyzontu.

Wprawdzie nic podejrzanego się nie pojawiło, ale trzeba było mieć się na baczności.

Pewnego wieczoru inżynier przedstawił przyjaciółom wymyślony przez siebie plan ufortyfikowania zagrody. Uważał, że należy podwyższyć palisadę i zbudować przy niej coś w rodzaju blokhauzu<sup>53</sup>, w którym w razie potrzeby koloniści mogliby się bronić przeciw nieprzyjaciółom. Ponieważ Granitowy Pałac ze względu na jego położenie należało uważać za niemożliwy do zdobycia, zatem celem usiłowań piratów, kimkolwiek by oni byli, którzy wylądowaliby na wyspie, byłaby zawsze zagroda ze swymi budynkami, zapasami i zwierzętami. Na wypadek gdyby koloniści byli zmuszeni w niej się zamknąć, powinni mieć korzystne warunki do obrony.

Projekt ten jednak wymagał gruntownego przemyślenia. Zresztą jego wykonanie z konieczności trzeba było odłożyć do przyszłej wiosny.

Około 15 maja stępka nowego statku leżała na miejscu w stoczni, a wkrótce znalazły się tam także wznoszące się prawie prostopadle dziobnica i tylnica, połączone na obu końcach czopami. Zrobiona z mocnego dębu stępka miała sto dziesięć stóp długości, co pozwalało nadać konstrukcji szerokość dwudziestu pięciu stóp. Jednak było to wszystko, co cieśle zdążyli zrobić przed nastaniem zimy i niepogody. Przez następny tydzień przymocowali jeszcze pierwsze wręgi rufowe, a potem trzeba już było przerwać prace.

W ostatnich dniach maja pogoda była wyjątkowo zła. Wiatr ze wschodu wiał chwilami z gwałtownością huraganu. Inżynier niepokoił się o los stoczni, której zresztą nie można było postawić w żadnym innym miejscu w pobliżu Granitowego Pałacu, ponieważ wysepka nie całkiem zasłaniała wybrzeże przed furią otwartego morza i podczas wielkich burz fale uderzały o samo podnóże granitowej ściany.

Na szczęście obawy się nie ziściły. Wiatr wiał częściej z południowego wschodu, a w tych warunkach wybrzeże Granitowego Pałacu było całkowicie osłonięte przez Cypel Znaleziska.

Pencroff i Ayrton, dwaj najgorliwsi budowniczy nowego statku, nie przerywali pracy, jak tylko mogli najdłużej. Nie zwracali uwagi na wicher targający im włosy, na przenikający do kości deszcz, a uderzenie młotka jest tak samo dobre w piękną, jak i w złą pogodę. Ale kiedy po deszczach przyszły ostre mrozy, drewno, którego włókna nabrały twardości żelaza, stało się zbyt trudne do obróbki i około 10 czerwca trzeba było ostatecznie przerwać budowę statku.

Cyrus Smith i jego towarzysze od dawna zauważyli, jak dokuczliwa była pogoda podczas zimy na Wyspie Lincolna. Zimno było porównywalne z panującym w położonych mniej więcej w tej samej odległości od równika stanach Nowej Anglii<sup>54</sup>. Na półkuli północnej, a przynajmniej tam, gdzie leży Nowa Brytania<sup>55</sup> i północna część Stanów Zjednoczonych, zjawisko powyższe tłumaczy się płaskim ukształtowaniem tych terenów, położonych w okolicach bieguna i niemających wzniesień, które stwarzałyby przeszkody wichrom podbiegunowym. Na Wyspie Lincolna jednak takie wyjaśnienie nie dało się zastosować.

— Zauważono nawet — powiedział pewnego dnia Cyrus Smith do towarzyszy — że na tych samych szerokościach wyspy i części przybrzeżne mniej są narażone na mrozy niż okolice leżące w głębi lądu. Często zdarzało mi się słyszeć, że na przykład zimy w Lombardii<sup>56</sup> są ostrzejsze niż w Szkocji, a bierze się to stąd, że morze zwraca w zimie ciepło otrzymane w ciągu lata. Wyspy więc znajdują się w najlepszych warunkach, jeśli chodzi o korzystanie z tego zwrotu.

— Ale w takim razie, panie Cyrusie — spytał Harbert — dlaczego Wyspa Lincolna wydaje się wyłamywać z tego ogólnego prawa?

<sup>53</sup>*blokhauz* (z niem.) — niewielki ufortyfikowany budynek ze strzelnicami, przystosowany do samodzielnej obrony z kilku stron. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*Nowa Anglia* — region USA położony na płn.-wschodzie kraju, składający się z 6 stanów. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*Nowa Brytania* (hist.) — w XVII–XIX w. nazwa wschodnich i środkowych terenów ob. Kanady, obejmujących Płw. Labrador oraz ob. stany Manitoba i Nunavut; obecnie nazwę N. Brytania nosi wyspa należąca do Papui-Nowej Gwincei. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>*Lombardia* — kraina w płn. Włoszech, położona u podnóży Alp. [przypis edytorski]



— Trudno to wytłumaczyć — odparł inżynier. — Byłbym jednak skłonny przypuszczać, że przyczyną tej osobliwości jest położenie naszej wyspy na półkuli południowej, która, jak ci to wiadomo, mój chłopcze, jest o wiele chłodniejsza od północnej.

— Rzeczywiście — odpowiedział Harbert — pływające góry lodowe spotyka się ma mniejszych szerokościach geograficznych na południu niż na północy Pacyfiku.

— Najprawdziwsza prawda — wtrącił Pencroff. — Ja sam, gdy zajmowałem się wiewolbictwem, widziałem góry lodowe aż na wysokości przylądka Horn<sup>57</sup>.

— Dokuczliwe zimna na Wyspie Lincoln — powiedział Gedeon Spilett — dałyby się zatem wytłumaczyć obecnością pól i lawic lodowych<sup>58</sup> w stosunkowo niedalekiej odległości.

— Pańskie zdanie jest bardzo prawdopodobne, drogi Spilecie — odparł Cyrus Smith — i zapewne nasze ostre zimy zawdzięczamy bliskości jakiegoś pola lodowego. Muszę też zwrócić uwagę, że istnieje jeszcze jedna przyczyna fizyczna, która powoduje, że półkula południowa jest zimniejsza od północnej. Ponieważ Słońce znajduje się bliżej tej półkuli w czasie lata, w zimie z konieczności musi być dalej. To wyjaśnia dużą rozpiętość temperatury w obu kierunkach: jeżeli bowiem uważamy zimy na Wyspie Lincoln za bardzo surowe, to nie zapominajmy, że lata są tu bardzo skwarne.

— Ale dlaczego, przepraszam bardzo — spytał Pencroff, marszcząc brwi — panie Smith, dlaczego nasza półkula, jak pan mówi, dostała taki kiepski udział? To niesprawiedliwie!

— Przyjacielu — odpowiedział inżynier, śmiejąc się — czy to sprawiedliwe, czy nie, nic na to nie poradzimy. Przyczyna tej właściwości jest następująca. Ziemia opisuje wokół Słońca nie koło, ale elipsę, jak to wynika z praw mechaniki. Słońce zajmuje jedno z ognisk tej elipsy, zatem Ziemia w pewnym okresie swego obiegu znajduje się w aphelium, to znaczy w punkcie swej największej odległości od Słońca, a w innym okresie w perigeum, czyli najbliżej Słońca. Otóż tak się składa, że właśnie w czasie zimy na półkuli południowej Ziemia znajduje się w punkcie najdalszym od Słońca, a więc w warunkach sprowadzających najsilniejsze mrozy. Na to nie ma rady i nawet najbardziej uczeni ludzie, Pencroffie, nie zdołają nigdy niczego zmienić w porządku kosmograficznym<sup>59</sup>, ustanowionym przez samego Boga.

— A jednak — dodał Pencroff, który łatwo nie ustępował — a jednak ludzie są bardzo uczeni. Co by to za grubą księgę można było złożyć, panie Cyrusie, z tego, co ludzie wiedzą.

— A o ile grubszą z tego, czego nie wiedzą — odparł Cyrus Smith.

W każdym razie, z tej czy z owej przyczyny, w czerwcu jak zwykle nadeszły silne mrozy i koloniści najczęściej musieli przebywać w zamknięciu w Granitowym Pałacu.

To przymusowe zamknięcie było dokuczliwe dla wszystkich, a najbardziej chyba dla Gedeona Spilletta.

— Widzisz — powiedział pewnego dnia do Naba — darowałbym ci chętnie aktem notarialnym prawa do wszelkich spadków, jakie mi kiedykolwiek przypadną, gdybyś był tak dobry i poszedł wszystko jedno gdzie, żeby zaprenumerować dla mnie jakiś dziennik!... Stanowczo najbardziej brakuje mi do szczęścia, żeby codziennie rano dowiedzieć się, co się wydarzyło poprzedniego dnia gdzieś indziej niż tutaj.

Nab zaczął się śmiać.

— Doprawdy — odpowiedział — a mnie najbardziej obchodzi moja codzienna praca!

Rzeczywiście, tak w domu, jak i na zewnątrz nie brakowało zajęcia.

Kolonia Wyspy Lincoln przeżywała w tym czasie okres największego rozkwitu, osiągniętego dzięki trzem latom ciężkiej pracy. Zniszczony bryg stał się nowym źródłem bogactwa. Nie mówiąc już bowiem o kompletnym ożaglowaniu, mogącym się przydać do budującego się statku, magazyny Granitowego Pałacu były teraz wypełnione po brzegi wszelkiego rodzaju sprzętami i narzędziami, bronią i amunicją, odzieżą i instrumentami.

<sup>57</sup>przylądek Horn — najbardziej na pld. wysunięty przylądek Ameryki Płd. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>pola i lawice lodowe — rodzaje pływającej pokrywy lodowej morza, występującej na obszarach polarnych; dryfujący lód o średnicy powyżej 10 km jest nazywany polem lodowym, zaś mający mniejszą średnicę lawicą lodową. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>kosmograficzny — związany z kosmografią, daw. nauką opisującą wszechświat i jego funkcjonowanie. [przypis edytorski]

Nie trzeba już było uciekać się do wyrobu grubej tkaniny filcowej. Wprawdzie koloniści podczas pierwszego zimowania na wyspie wiele ucierpieli wskutek zimna, ale teraz wcale nie obawiali się nadejścia surowej pory roku. Bielizny mieli także pod dostatkiem, zresztą dbali o nią z wielką sumiennością. Z chlorku sody, który jest niczym innym jak solą morską, Cyrus Smith z łatwością wyodrębnił sodę i chlor. Soda, którą można było bez trudu przemienić w węglan sodu, jak i chlor, z którego inżynier wytworzył chlorek wapna i inne pochodne, przydały się do wielu czynności domowych, a przede wszystkim do prania bielizny. Zresztą urządzano tylko cztery prania na rok, jak to było niegdyś w zwyczaju w staromodnych domach. Warto dodać, że Pencroff i Gedeon Spilett, wciąż czekający na roznosiciela gazet, okazali niezwykle zdolności jako pracze.

Tak upłynęły miesiące zimowe: czerwiec, lipiec i sierpień. Były bardzo zimne, średnia temperatura nie przekraczała ośmiu stopni Fahrenheita (13°,33 Celsjusza poniżej zera), była więc niższa niż poprzedniej zimy. Toteż w kominkach Granitowego Pałacu stale huczał ogień, zostawiając czarne długie smugi dymu na granitowych ścianach. Nie oszczędzono opału, gdyż rósł o kilka kroków od domu. Zresztą nadwyżka drewna przeznaczonego na budowę statku pozwoliła zaoszczędzić węgla, bardziej kłopotliwego do transportowania.

Ludzie i zwierzęta mieli się doskonale. Trzeba przyznać, że pan Jup okazał się trochę zmarzlakiem. Była to chyba jego jedyna wada i uporano się z nią, szyjąc mu ciepły, dobrze watowany szlafrok. Za to jaki był z niego sługa — zręczny, gorliwy, nieustrudzony, dyskretny, niegadatliwy. Można go było stawiać za wzór służącego wszystkim jego dwunożnym kolegom w Starym i w Nowym Świecie.

— Chociaż — mawiał Pencroff — wstyd by było, mając cztery ręce do dyspozycji, nie uwijać się jak należy przy robocie.

Rzeczywiście inteligentny czwororęki pracował bardzo dobrze.

Przez siedem miesięcy, które upłynęły od ostatnich poszukiwań wokół góry, i przez cały wrzesień, odznaczający się już piękną pogodą, nie było mowy o opiekuńczym duchu wyspy. Jego moc nie przejawiała się w żadnej okoliczności. Co prawda i tak byłaby zbyt cenna, ponieważ nie zaszło nic takiego, co wystawiałoby kolonistów na jakąś ciężką próbę.

Cyrus Smith zauważył, że jeżeli nawet komunikowanie się nieznanego z mieszkańcami Granitowego Pałacu odbywało się poprzez masyw granitowy, zaś Top niejako wyczuwał go swoim instynktem, to w ciągu tego całego okresu nic się podobnego nie zdarzyło. Dziwne warczenie psa całkowicie ustało, tak samo jak i niepokój orangutana. Obaj przyjaciele — jakimi rzeczywiście byli Jup i Top — nie kręcili się już przy wylocie wewnętrznej studni, pies nie szczekał, a orangutan nie wydawał już tych dziwnych pomruków, które od razu zwróciły uwagę inżyniera. Ale czy Cyrus Smith mógł ręczyć, że wszystko na temat tej zagadki zostało powiedziane i że nigdy nie znajdzie jej rozwiązania? Czy mógł twierdzić stanowczo, że nie zajdzie jakiś wypadek i nie wprowadzi znowu na scenę tajemniczej postaci? Kto może wiedzieć, co przyniesie przyszłość?

Wreszcie zima dobiegła końca, ale właśnie pierwszych dniach wiosny zaszło pewne zdarzenie, które mogło przynieść poważne konsekwencje.

7 września Cyrus Smith, przypatrując się uważnie szczytowi Góry Franklina, spostrzegł wijący się nad kraterem dym, którego pierwsze kłęby rozprasały się właśnie w powietrzu.

## ROZDZIAŁ XV

*Przebudzenie się wulkanu. — Lato. — Wznowienie prac. — Wieczór 15 października. — Telegram. — Wezwanie. — Odpowiedź. — W drodze do zagrody. — Kartka. — Przedłużenie linii. — Bazaltowe wybrzeże. — Podczas przyptywu morza. — Podczas odpływu. — Pieczara. — Olsniwające światło.*

Koloniści, powiadomieni przez inżyniera, przerwali pracę i w milczeniu obserwowali szczyt Góry Franklina.

A więc wulkan się przebudził i wyziewy przedarły się przez warstwę mineralną nagromadzoną w głębi krateru. Czy jednak te podziemne ognie spowodują gwałtowny wybuch? Tej ewentualności nie dało się zapobiec.

Jednakże nawet w przypadku wybuchu prawdopodobnie nie cała Wyspa Lincoln by ucierpiała. Wylewy law wulkanicznych nie zawsze bywają niszczące. Wyspa już kiedyś doświadczyła czegoś co podobnego, jak o tym świadczyły smugi zastygłej lawy na północnym zboczu góry. Poza tym zapadnięcie wyżłobione na górnej krawędzi krateru powinno poprowadzić ognisty wylew w stronę przeciwną, a nie na żyzne części wyspy.

Z drugiej strony to, co się stało w przeszłości, nie stanowi rękojmi na przyszłość. Nieraz bowiem na szczycie wulkanu dawne kratery zamykają się, a otwierają się nowe. Przypadki takie miałby miejsce na obu półkulach, na Etnie<sup>60</sup>, na Popocatepetlu<sup>61</sup>, na Orizabie<sup>62</sup>, toteż w przededniu wybuchu można obawiać się wszystkiego. Wystarczy zresztą trzęsienie ziemi, zjawisko czasami towarzyszące wybuchom wulkanów, żeby zmienił się wewnętrzny układ góry i by rozżarzona lava utorowała sobie nowe drogi.

Cyrus Smith wytłumaczył to wszystko towarzyszom i nie wyolbrzymiając powagi sytuacji, zapoznał ich ze sprzyjającymi i niekorzystnymi okolicznościami.

Zresztą nic nie można było na to poradzić. Granitowy Pałac nie wydawał się zagrożony, chyba że w przypadku trzęsienia ziemi, które zachwiałoby fundamentami wyspy. Ale o zagrodę należało się poważnie obawiać, gdyby jakiś nowy krater otworzył się od południowej strony Góry Franklina.

Od tego dnia na szczycie Góry Franklina nie przestawały się gromadzić wyziewy. Dym stawał się coraz gęstszy i sięgał coraz wyżej, jak dotąd jednak wśród kłębow nie było widać płomieni. Zatem ogniste wrzenie koncentrowało się w dolnych częściach głównego przewodu.

Mimo obaw z nadejściem ładnej pogody zabrano się na nowo do przerwanych prac. Koloniści spieszyli się z budową statku. Wykorzystując nadbrzeżny wodospad, Cyrus Smith uruchomił wodny tartak, tnący szybko pnie na deski i belki. Mechanizm tego urządzenia był równie prosty jak wiejskich tartaków w Norwegii. Należało wprawić kłoc drewna w ruch poziomy, a piłę w ruch pionowy. Zadanie to inżynier rozwiązał za pomocą koła, dwóch walców i odpowiednio rozmieszczonych bloków.

Pod koniec września kadłub statku, mającego być szkunerem<sup>63</sup>, stał już w stoczni. Wręgi były prawie całkiem skończone i prowizorycznie przymocowane, tak że można już było ocenić kształty przyszłego statku. Wismukły z przodu, szerszy z części rufowej, wyglądał na zdalny do odbycia dalekiej wyprawy w razie potrzeby; jednak wykonanie odyłowania<sup>64</sup>, pokładu oraz ułożenie klepek poszycia wymagało jeszcze dużo czasu. Na szczęście z katastrofy brygu wywołanej podwodnym wybuchem ocalono okucia. Z uszkodzonych desek i wręg Pencroff i Ayrton powyciągali sworznie i mnóstwo mosiężnych gwoździ. Zaoszczędziło to pracy i czasu kowalom, ale cieślom zostawało jeszcze wiele roboty.

Prace budowlane trzeba było przerwać na tydzień na żniwa, sianokosy i zwózkę zbiorów z Płaskowyzu Pięknego Widoku. Po ukończeniu tego zadania każdą chwilę poświęcano odtąd wyłącznie szkunerowi.

Z nadejściem nocy robotnicy byli już całkiem wyczerpani. Ażeby nie marnować czasu, zmienili godziny posiłków: jedli obiad w południe, a kolację dopiero, gdy się całkiem ściemniło. Wówczas powracali do Granitowego Pałacu i szybko kładli się spać.

Niekiedy jednak, gdy zawiązała się rozmowa na jakiś ciekawy temat, godzina snu opóźniała się nieco. Koloniści snuli plany na przyszłość i chętnie zastanawiali się nad zmianami, jakie mogła spowodować w ich sytuacji wyprawa szkunerem do najbliższego lądu. Ale wszystkim tym projektom towarzyszyła zawsze myśl o późniejszym powrocie na Wyspę Lincoln. Nigdy nie przyszło im do głowy, żeby całkiem opuścić tę kolonię, założoną z takim trudem i z takim powodzeniem, kolonię, która dzięki ustaleniu komunikacji z Ameryką zyskałaby nowe możliwości rozwoju.

Zwłaszcza Pencroff i Nab mieli nadzieję dokonać na niej żywota.

<sup>60</sup>*Etna* — czynny wulkan na wsch. wybrzeżu Sycylii, najwyższy (3340 m n.p.m.) i największy w Europie stożek wulkaniczny. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*Popocatepetl* (w jęz. nahuatl: dymiąca góra) — czynny wulkan w Meksyku, drugi co wysokości (5452 m n.p.m.) szczyt w tym kraju. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*Orizaba* — wulkan będący najwyższym szczytem Meksyku (5636 m n.p.m.); obecnie uspiiony, ostatni jego wybuch miał miejsce w 1846 r. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*szkuner* — żaglowiec mający dwa lub więcej masztów o ożaglowaniu skośnym. Typowy szkuner posiada dwa maszty, przy czym tylny jest wyższy od przedniego. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*odyłowanie* — konstrukcja z dyli (belek drewnianych), tu: z dyli mocowanych do wręg. [przypis edytorski]

— Harbercie — mawiał marynarz — prawda, że nigdy nie opuścisz Wyspy Lincoln?  
— Nigdy, Pencroffie, zwłaszcza jeżeli i ty postanowisz tu pozostać.  
— Już dawno postanowiłem, mój chłopcze — odpowiadał Pencroff. — Zaczekam tu na ciebie. Sprowadzisz tu swoją żonę i dzieci, a ja twoich malców wychowam na nie lada zuchów!

— No, więc postanowione — kończył Harbert, śmiejąc się i rumieniąc zarazem.

— A pan, panie Cyrusie — ciągnął dalej Pencroff porwany zapalem — pan pozostanie gubernatorem wyspy... Hm, ile by też ona mogła wyżywić mieszkańców? Co najmniej dziesięć tysięcy.

Tak sobie rozmawiali; nikt nie powstrzymywał Pencroffa i od słowa do słowa kończyło się na tym, że reporter zakładał na wyspie dziennik „New Lincoln Herald”.

Tak to już jest z człowiekiem. Potrzeba zbudowania trwałego dzieła, dzieła, które by go przeżyło, to oznaka jego wyższości nad wszystkim, co żyje na ziemi. Właśnie ta cecha ugruntowała i usprawiedliwia jego panowanie na całym świecie.

Zresztą kto wie, czy Jup i Top nie mieli także swoich własnych, niewielkich marzeń o przyszłości?

Milczący Ayrton myślał, że chciałby ponownie ujrzeć lorda Glenervana i stanąć wobec wszystkich jako człowiek zrehabilitowany.

Pewnego wieczoru, 15 października, rozmowa na temat różnych planów przeciągnęła dłużej niż zwykle. Była już dziewiąta. Przeciągłe, z trudem ukrywane ziewnięcia wskazywały, że pora na spoczynek, a Pencroff już szedł do łóżka, gdy nagle dzwonek elektryczny umieszczony w sali odezwał się ostrym dźwiękiem.

Wszyscy znajdowali się na miejscu: Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert, Pencroff, Ayrton i Nab. Nikogo z kolonistów nie było w zagrodzie.

Cyrus Smith wstał z krzesła. Pozostali spoglądali po sobie, sądząc, że się przesłyszeli.

— Co to ma znaczyć?! — wykrzyknął Nab. — Chyba diabeł dzwoni?

Nikt mu nie odpowiedział.

— Mamy dziś burzę — zauważył Harbert. — Może pod wpływem elektryczności...

Urwał i nie skończył. Inżynier, na którego zwrócili się oczy wszystkich, potrząsnął przecząco głową.

— Zaczekajmy — odezwał się wówczas Gedeon Spilett. — Jeśli to sygnał, to ktośkolwiek go nadał, znowu go powtórzy.

— Ale któż by to mógł być? — zapytał Nab.

— No — odparł Pencroff — ten, który...

Słowa marynarza przerwał ponowny dźwięk dzwonka.

Cyrus Smith podszedł do aparatu telegraficznego i włączywszy prąd, wysłał do zagrody następujące zapytanie:

„O co chodzi?”

W kilka chwil później wskazówka obracająca się na tarczy z alfabetem podała odpowiedź mieszkańcom Granitowego Pałacu:

„Przyjdźcie jak najszybciej do zagrody”.

— Nareszcie! — zawołał Cyrus Smith.

Tak! Nareszcie!... Tajemnica miała się wyjaśnić. Wobec niezmiernej ciekawości, która przyciągała ich do zagrody, całe znużenie kolonistów gdzieś znikło, z potrzeby odpoczynku nie zostało ani śladu. Nie mówiąc ani słowa, w ciągu paru chwil opuścili Granitowy Pałac i wkrótce znaleźli się na wybrzeżu. Tylko Jup i Top zostali w domu. Można się było bez nich obyć.

Noc była ciemna. Księżyc, w tym dniu w nowiu, zniknął wraz ze słońcem. Jak zauważył Harbert, olbrzymie burzliwe chmury utworzyły rodzaj niskiego, ciemnego sklepienia, nieprzepuszczającego najmniejszego promyka gwiazd. Kilka błysków ognia, odbłasków jakiejś odległej burzy oświetlało od czasu do czasu horyzont. Możliwe, że za kilka godzin pioruny zahuczą nad samą wyspą. Była to złowroga noc.

Ale ciemność, choćby najgłębsza, nie mogła powstrzymać ludzi dobrze znających drogę do zagrody. Poszli lewym brzegiem Rzeki Dziękczynienia, doszli do płaskowyzu, przeszli przez most na Glicerynowym Potoku i ruszyli dalej lasem.

Szli szybkim krokiem, mocno wzruszeni. Nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że mieli wreszcie poznać tak długo poszukiwane rozwiązanie zagadki, imię tajemniczej

istoty, która tak głęboko była związana z ich życiem, tak wspaniale z nimi postępowała, tak potężnie działała. Czyż bowiem ten nieznajomy nie musiał niejako żyć wspólnie z nimi, aby znać najdrobniejsze szczegóły, słyszeć wszystko, co się mówiło w Granitowym Pałacu, i działać zawsze we właściwej chwili?

Wszyscy, pogrążeni w myślach, przyspieszali kroku. Pod sklepieniem drzew panowały takie ciemności, że nie było widać nawet skraju drogi. W lesie panowała głęboka cisza. Czworonożne zwierzęta i ptaki, przytłoczone ciężką atmosferą, nie ruszały się i nie wydawały żadnych dźwięków. Najłżejszy powiew nie poruszał liśćmi. W ciemnościach słychać było tylko odgłos kroków kolonistów idących po stwardniałej ziemi.

Milczenie panujące przez pierwszy kwadrans drogi przerwała jedynie uwaga Pencroffa:

— Należało wziąć ze sobą latarnię.

I ta odpowiedź inżyniera:

— Znajdziemy inną w zagrodzie.

Cyrus Smith z towarzyszami opuścił Granitowy Pałac o dziewiątej dwanaście. O dziewiątej czterdzieści siedem przebyli już trzy z pięciu mil dzielących ujście Rzeki Dziękczynienia od zagrody.

W tej chwili nad wyspą zajaśniały olbrzymie, białawe błyskawice, przy których świetle czarno odcinały się postrzępione kontury listowia. Potężne błyski olśniewały i zaćmiewały wzrok. Wkrótce miała rozpuścić się burza. Błyskawice robiły się coraz częstsze i coraz jaskrawsze. W głębi nieba przetaczały się dalekie grzmoty. Robiło się coraz duszniej.

Koloniści szli naprzód, jakby popychani jakąś nieodpartą siłą.

Kwadrans po dziesiątej w świetle jaskrawej błyskawicy ujrzeli ogrodzenie zagrody i le dwie weszli za bramę, gdy rozległ się potężny grzmot.

W mgnieniu oka przebiegli podwórko i znaleźli się przed domem.

Możliwe, że w domu znajdował się nieznajomy, ponieważ telegram mógł zostać wysłany tylko stąd. Jednak z okna nie pobłyskiwało żadne światło.

Inżynier zastukał do drzwi.

Nie było odpowiedzi.

Wówczas Cyrus Smith otworzył drzwi i koloniści weszli do pokoju, w którym panował głęboki mrok.

Nab skrzesał ognia i w chwilę później przy świetle zapalonej latarni obejrzano wszystkie zakamarki pokoju.

Nigdzie nikogo nie było. Wszystkie rzeczy leżały w tych samych miejscach, w których je ostatnio pozostawiono.

— Czyżbyśmy padli ofiarą złudzenia? — szepnął Cyrus Smith.

Nie! To było niemożliwe! Telegram nakazywał przecież wyraźnie: „Przyjdźcie jak najszybciej do zagrody”.

Podeszli do stołu, gdzie stała aparatura telegraficzna. Wszystko było na swoim miejscu: zarówno pudełko z baterią, jak i aparat odbiorczy i nadawczy.

— Kto tu był ostatni? — spytał inżynier.

— Ja, panie Smith — odpowiedział Ayrton.

— A to było?...

— Przed czterema dniami.

— Ach! Notatka! — zawołał Harbert, wskazując kartkę leżącą na stole.

Na kartce widniały napisane po angielsku słowa:

Idźcie w ślad za nowym drutem.

— W drogę! — zawołał Cyrus Smith. Zrozumiał, że depeszę wysłano nie z zagrody, ale z tajemniczej kryjówki, którą nowy drut, przyczepiony do dawnego, łączył bezpośrednio z Granitowym Pałacem.

Nab wziął zapaloną latarnię i wszyscy opuścili zagrodę.

Burza rozszalała się z niesłychaną gwałtownością. Przerwy pomiędzy każdą nową błyskawicą a grzmotem były coraz krótsze. Wkrótce burza miała zapanować nad Górą Franklina i całą wyspą. W świetle przerywanych błysków widać było szczyt wulkanu zwieńczony pióropuszem dymu.

Pomiędzy domem a ostrokołem nie było dodatkowego drutu, ale gdy wyszli za bramę, inżynier, podbiegłszy do pierwszego słupa, zauważył przy świetle błyskawicy nowy drut ciągnący się od izolatora do ziemi.

— Oto on! — zawołał.

Drut leżał na ziemi, ale na całej długości pokryty był substancją izolującą, jak kabel podmorski, co zapewniało swobodny przepływ prądu. Kierunek drutu wskazywał, że biegnie przez lasy i południowe zbocza góry, a więc na zachód.

— Chodźmy za nim — powiedział Cyrus Smith.

Koloniści, oświetlając sobie drogę latarnią, a częściowo korzystając z światła błyskawic, podążali drogą wskazywaną przez drut.

Grzmiało bez przerwy, i to tak głośno, że nie można było usłyszeć ani słowa. Zresztą nie chodziło o to, aby mówić, tylko by szybko posuwać się naprzód.

Cyrus Smith i jego towarzysze wspięli się na zbocze góry wznoszące się pomiędzy zagrodą a doliną Rzeki Wodospadu i pokonali je w najwyższym miejscu. Drut, czasem spoczywający na dolnych gałęziach drzew, czasem leżący wprost po ziemi, prowadził ich pewnie.

Inżynier sądził, że ta metalowa nić urwie się gdzieś w głębi doliny i że tam będzie się schronienie nieznanego.

Mylił się jednak. Musieli wspiąć się na południowo-zachodnie zbocze, a następnie zejść na jałowy płaskowyż, zakończony ścianą malowniczo spiętrzonych bazaltów.

Od czasu do czasu jeden z kolonistów schylał się, dotykał ręką drutu i w miarę potrzeby korygował kierunek marszu. Nie ulegało już jednak wątpliwości, że drut zmierzał prosto do morza. Tam zapewne, w głębi jakichś wulkanicznych skał, znajdowało się bezskutecznie dotychczas poszukiwane schronienie.

Niebo było całe w ogniu. Błyskawica wyprzedzała błyskawicę. Niektóre z piorunów uderzały w szczyt wulkanu i wpadały w głąb krateru wśród gęstych kłębow dymu. Chwilami można było sądzić, że góra bucha płomieniem.

Kilka minut przed jedenastą koloniści dotarli do wysokiej skarpy górującej nad oceanem od zachodu. Zerwał się wiatr. O pięćset stóp pod nimi ryczały fale oceanu.

Cyrus Smith obliczył, że od zagrody przeszli około półtorej mili.

W tym miejscu drut zapuszczał się pomiędzy skały, schodząc po dosyć stromej pochyłości wąskim, fantazyjnie zarysowanym wąwozem.

Koloniści zapuścili się w ślad za nim, ryzykując spowodowanie osunięcia się niestabilnych głazów, które porwałyby ich do morza. Schodzenie było niezwykle niebezpieczne, ale koloniści przestali zwracać uwagę na niebezpieczeństwo, przestali być panami swojej woli, nieodparta siła ciągnęła ich do tajemniczego celu, jak magnes przyciąga żelazo.

Toteż niemal nieświadomie zeszli w wąwóz, który nawet w pełnym świetle dnia był prawie nie do przebycia. Kamienie toczyły się i wpadając w smugi światła, lśniły jak rozpalone kule. Cyrus Smith szedł na czele, Ayrton zamykał pochód. W jednym miejscu trzeba było iść krok po kroku, gdzie indziej znowu ześlizgiwali się bez tchu z wypolerowanej skały, podnosili się i szli dalej.

Na koniec drut gwałtownie skręcił i dotarł do gęsto rozsianych skał nabrzeżnych, o które rozbijało się morze podczas przyprływu. Koloniści doszli do podnóża bazaltowej ściany. Od tego miejsca odchodził wąski gzyms, biegnący poziomo, równoległe do brzegu. Koloniści podążyli za ciągnącym się wzdłuż niego drutem. Nie uszli nawet stu kroków, gdy okazało się, że gzyms łagodnym spadkiem obniża się do samego poziomu morza.

Inżynier chwycił za drut i stwierdził, że zagłębia się w morzu.

Jego towarzysze stanęli przy nim jak wręci.

Z piersi wydarł im się okrzyk rozczarowania, prawie krzyk rozpacz. Czyżby trzeba było rzucić się w fale i szukać jakiejś podwodnej jaskini? W tym stanie pobudzenia psychicznego i fizycznego, w jakim się znajdowali, uczyniliby to bez wahania.

Powstrzymała ich tylko uwaga inżyniera. Cyrus Smith zaprowadził towarzyszy do zagłębienia pomiędzy skałami, a gdy tam stanęli, powiedział:

— Zaczekajmy. Teraz trwa przyprływ. Kiedy nadejdzie odpływ, droga się odsłoni.

— A dlaczego pan tak przypuszcza? — spytał Pencroff.

— Nie wezwałby nas, gdyby nie było możliwości, żeby się do niego dostać.

Cyrus Smith wypowiedział to z takim przekonaniem, że nikt nie odważył się zaprotestować. Zresztą jego uwaga była całkiem logiczna. Należało przypuszczać, że u podnóża skalnej ściany istniał jakiś otwór, dostępny w czasie odpływu, choć teraz zalany przez fale.

Chodziło więc tylko o kilka godzin cierpliwości. Koloniści przesiedzieli je w milczeniu, skuleni w zagłębieniu o kształcie portyku<sup>65</sup> wyłobionego w skale. Zaczął padać deszcz i wkrótce rozdarte przez pioruny chmury zamieniły się w istne spadające potoki. Echo powtarzało grzmoty i nadawało im majestatyczny rozdźwięk.

Poruszenie kolonistów sięgało zenitu. Tysiące dziwnych myśli przelatywały im przez głowy, przed oczyma stawała jakaś nadludzka zjawą, odpowiadająca wyobrażeniu, jakie sobie wyrobili o opiekuńczym duchu wyspy.

O północy Cyrus Smith, zabrawszy ze sobą latarnię, zszedł nad sam brzeg morza, żeby zorientować się w konfiguracji skał. Odpływ trwał już dwie godziny.

Inżynier się nie mylił. Nad wodą zaczęło się zarysowywać sklepienie jakiegoś obszernego wydrążenia. Drut, skręcając pod kątem prostym, zagłębiał się w tę ziejącą czeluść.

Cyrus Smith wrócił do towarzyszy i powiedział po prostu:

— Za godzinę można będzie wejść w otwór...

— A więc istnieje? — spytał Pencroff.

— Czyżby pan w to wątpił? — odparł Cyrus Smith.

— Ale ta pieczara do pewnej wysokości będzie napełniona wodą — zauważył Harbert.

— Albo całkowicie wysycha — odpowiedział Cyrus Smith — a w tym przypadku przejdziemy ją piechotą, albo nie wysycha, a wtedy na pewno znajdziemy do swojej dyspozycji jakiś środek transportu.

Minęła godzina. W ulewnym deszczu wszyscy zeszli nad samo morze. W ciągu trzech godzin poziom wody obniżył się o piętnaście stóp. Szczyt łuku zakreślonego przez sklepienie pieczary wznosił się co najmniej osiem stóp nad poziomem fal. Wyglądał jak arkada mostu, pod którą przepływała spieniona woda.

Schyliwszy się, inżynier spostrzegł jakiś ciemny obiekt unoszący się na powierzchni morza. Przyciągnął go do siebie.

Była to łódź przywiązana liną do jakiegoś miejsca wewnątrz jaskini. Zrobiona była z nitowanej blachy. Na dnie, pod ławkami, leżały dwa wiosła.

— Wsiadajmy — powiedział Cyrus Smith.

Za chwilę koloniści siedzieli już w łodzi. Nab i Ayrton wzięli się do wiosła, Pencroff usiadł u steru. Cyrus Smith, stojąc na dziobie i opierając latarnię o burzę, oświetlał drogę.

Sklepienie, pod które wpłynęła łódź, początkowo bardzo niskie, zaczęło się nagle podnosić, ale ciemność była zbyt głęboka, a światło latarni za słabe, aby można było zorientować się w rozmiarach pieczary, oszacować jej szerokość, wysokość i głębokość. W bazaltowej jaskini panowała uroczysta cisza. Z zewnątrz nie przenikały żadne odgłosy i nawet huk piorunów nie mógł się przedrzeć przez masywne ściany.

W niektórych częściach globu istnieją takie olbrzymie pieczary, rodzaj naturalnych krypt<sup>66</sup>, pochodzących z odległych epok geologicznych. Jedne są zalane wodami morza, inne mieszczą w sobie całe jeziora. Do takich należy Grota Fingala na Wyspie Staffa, jednej z Hebrydów<sup>67</sup>, groty Morgat nad zatoką Douarnenez w Bretanii<sup>68</sup>, groty Bonifacego na Korsyce, Lysefjordu w Norwegii, ogromna Jaskinia Mamucia<sup>69</sup> w Kentucky, wysoka na pięćset stóp i długa na ponad dwadzieścia mil. W wielu punktach globu przyroda wyłobiała takie krypty i zachowała je na podziw ludzi.

Czy pieczara, którą koloniści właśnie badali, ciągnęła się aż do środka wyspy? Już od kwadransa łódź posuwała się naprzód, skręcając według wskazówek, które inżynier krótko przekazywał Pencroffowi.

Naraz zawołał:

— Bardziej na prawo!

<sup>65</sup>portyk — popularny w staroż. architekturze greckiej i rzymskiej rodzaj otwartej frontowej części budowli z rzędem kolumn wspierających dach. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>krypta — sklepiena podziemna komora grobowa a. pomieszczenie w podziemiach kościoła przeznaczone do pochówku znamienitych zmarłych, czasem też do przechowywania relikwii świętych. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>Hebrydy — grupa wysp przy płn.-zach. wybrzeżach Szkocji. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>Bretania — region w północno-zachodniej Francji. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>Jaskinia Mamucia — najdłuższa jaskinia świata, o łącznej długości korytarzy równej ok. 650 km, znajdująca się w Stanach Zjednoczonych, w stanie Kentucky. [przypis edytorski]

Łódź zmieniła kierunek i popłynęła pod prawą ścianę pieczary. Inżynier słusznie chciał się upewnić, czy drut nadal biegnie wzdłuż tej ściany.

Był tam, istotnie, przyczepiony do występów skalnych.

— Naprzód! — odezwał się Cyrus Smith.

Obydwa wiosła, zanurzając się jednocześnie w czarnych toniach, uniosły łódź.

Tak płynęli jeszcze około kwadransa i od wejścia do pieczary musieli już przebyć z pół mili, gdy nagle rozległ się znowu głos Cyrusa Smitha.

— Stójcie! — zawołał.

Łódź zatrzymała się i koloniści ujrzeli jaskrawe światło zalewające olbrzymią kryptę wyżłobioną głęboko we wnętrzościach ziemi.

Na wysokości stu stóp nad ich głowami wznosiło się zaokrąglone sklepienie podtrzymywane bazaltowymi słupami, które wyglądały jak odlane z jednej formy. Na tych kolumnach, wzniesionych tysiącami przez naturę w pierwszych epokach formowania się kuli ziemskiej, wspierały się nieregularne łuki i fantazyjnych kształtów gzymsy. Odlamki bazaltu, spiętrzone jedno na drugich, wznosiły się na wysokość od czterdziestu do pięćdziesięciu stóp, a woda, zupełnie tutaj spokojna pomimo wzburzenia panującego na zewnątrz, obmywała ich podstawy. Jaskrawe promienie światła, na które zwrócił uwagę inżynier, wpadały w każde zagłębienie, załamywały się w różnych kierunkach i wydawały się przenikać ściany, jak gdyby były one przezroczyste, zamieniając najmniejsze występy skalne w migoczące klejnoty. Wszystkie te blaski odbijały się na powierzchni wody, tak iż łódź zdawała się unosić pomiędzy dwiema skrzącymi się taflami.

Nie można było się mylić co do źródła światła, którego ostre i proste promienie załamywały się na każdym kącie ścian, na każdym gzymsie krypty. Było to światło elektryczne i już sam jego biały kolor dostatecznie o tym przekonywał. Było dla tej pieczary jak słońce, oświetlające ją całą.

Na znak dany przez Cyrusa Smitha wiosła zanurzyły się, wywołując istny deszcz diamentów, łódź skierowała się w stronę źródła światła i wkrótce oddzielało ją od niego tylko pół kabla.

W tym miejscu szerokość tafli wodnej wynosiła około trzystu pięćdziesięciu stóp, a z tyłu, za olśniewającym centrum, widać było ogromną bazaltową ścianę, zamykającą pieczarę od tamtej strony. W tym miejscu pieczara rozszerzała się znacznie i morze utworzyło tu rodzaj małego jeziora. Sklepienie, ściany boczne, wszystkie te kamienne graniastosłupy, walce, stożki pławiły się w świetle elektrycznym, tak że zdawało się, iż same je wydzielają i można by powiedzieć, że te kamienie, oszlifowane niczym drogocenne diamenty, pocą się światłem.

Pośrodku jeziora na powierzchni wody unosił się jakiś długi wrzecionowaty przedmiot, nieruchomy i cichy. Z obu jego boków bił blask jak z dwóch rozpalonych do białości otworów hutniczego pieca. Aparat ten, podobny do ogromnego wieloryba, miał około dwustu pięćdziesięciu stóp długości i wynurzał się na dziesięć do dwunastu stóp ponad powierzchnię wody.

Łódź zbliżyła się do niego powoli. Siedzący na dziobie Cyrus Smith wstał. Patrzył, ulegając gwałtownemu wzruszeniu. Nagle obrócił się i chwycił reportera za ramię.

— Ależ to on! — zawołał. — Nikt inny tylko on! On!

Po czym opadł na ławkę, wymawiając szeptem jakieś imię, które usłyszał tylko Gedeon Spilett.

Niewątpliwie i reporter znał to imię, bo wywarło ono na nim wielkie wrażenie, i przytłumionym głosem odpowiedział:

— On! Człowiek wyjęty spod prawa!

— Tak, to on! — odpowiedział Cyrus Smith.

Na rozkaz inżyniera łódź zbliżyła się do tego dziwnego pływającego aparatu. Potem przybiła do jego lewego boku, z którego przez grubą szybę tryskał strop światła.

Cyrus Smith i towarzysze weszli na platformę. Przed sobą zobaczyli otwartą na oścież kłapę luku. Wszyscy zeszli przez otwór.

Na dole drabinki znajdował się wewnętrzny korytarz oświetlony światłem elektrycznym. Na jego końcu były drzwi. Cyrus Smith je otworzył.

Bogato zdobiony salon, przez który koloniści szybko przeszli, przylegał do rzęsiście oświetlonej biblioteki.



W głębi biblioteki zobaczyli szerokie, zamknięte drzwi. Inżynier otworzył je.

Oczom kolonistów ukazała się obszerna sala, rodzaj muzeum, w którym obok skarbów świata mineralnego tłoczyły się dzieła sztuki i cuda przemysłu. Kolonistom zdawało się, że zostali magicznie przeniesieni do świata snów.

Na pięknej otomanie<sup>70</sup> leżał mężczyzna, który zdawał się nie dostrzegać ich obecności.

Wówczas Cyrus podniósł głos i ku niesłychanemu zdziwieniu towarzyszy powiedział:

— Kapitanie Nemo, pan nas wzywał? Oto jesteśmy.

## ROZDZIAŁ XVI

*Kapitan Nemo. — Jego pierwsze słowa. — Historia bohatera niepodległości. — Nienawiść do najeźdźców. — Towarzysze. — Życie pod wodą. — Samotny. — Ostatnie schronienie „Nautilusa” na Wyspie Lincoln. — Tajemniczy duch wyspy.*

Na te słowa człowiek leżący na otomanie uniósł się i jego twarz ukazała się w pełnym świetle. Piękna głowa, wysokie czoło, dumne spojrzenie, biała broda i bujne, odrzucone w tył włosy.

Oparł rękę o wezglowie otomany, z której wstał. Spojrzenie miał spokojne. Widać było, że jakaś powolna choroba podkopuje jego zdrowie, ale jego głos wydawał się jeszcze silny, gdy powiedział po angielsku, tonem wyrażającym najżywsze zdziwienie:

— Nie mam nazwiska, proszę pana.

— Znam pana — odpowiedział Cyrus Smith.

Kapitan Nemo wbił w inżyniera palające spojrzenie, jakby chciał go unicestwić. Potem, osuwając się na poduszki otomany, szepnął:

— Zresztą to nie ma znaczenia. I tak umieram!

Cyrus Smith zbliżył się do kapitana Nemo, zaś Gedeon Spilett wziął go za rękę i stwierdził, że jest rozpalona. Ayrton, Pencroff, Harbert i Nab stali z szacunkiem na boku, w jednym z kątów wspaniałej sali, której powietrze przesycały wzywy elektryczne.

Kapitan Nemo cofnął rękę i skinieniem zaprosił inżyniera i reportera, aby usiedli.

Wszyscy patrzyli na niego z podziwem i wzruszeniem. To więc był ten tajemniczy człowiek, którego nazywali duchem opiekuńczym wyspy, potężna istota, której interwencja w tylu okolicznościach okazała się skuteczna, dobroczyńca, któremu winni byli tak wiele wdzięczności! Przed sobą mieli tylko człowieka, choć Pencroff i Nab spodziewali się znaleźć prawie bóstwo, i to człowieka bliskiego śmierci.

Ale jak to się stało, że Cyrus Smith znał kapitana Nemo? I dlaczego kapitan zareagował tak żywo, gdy usłyszał swoje nazwisko, które, jak sądził, nikomu nie było znane?

Kapitan ponownie położył się na otomanie i podpierając głowę ręką, spoglądał na siedzącego obok inżyniera.

— Zna pan nazwisko, które nosiłem? — zapytał.

— Znam je — odpowiedział Cyrus Smith — tak samo jak nazwę tego godnego podziwu podmorskiego aparatu.

— „Nautilus”? — powiedział, uśmiechając się lekko, kapitan.

— „Nautilus”.

— Ale czy wie pan... czy wie pan, kim jestem?

— Wiem.

— Przecież już od trzydziestu lat nie mam żadnego kontaktu ze światem, od trzydziestu lat żyję w głębinach morza, w jedynym miejscu, gdzie znalazłem wolność. Któż więc mógł zdradzić moją tajemnicę?

— Człowiek, który nie miał nigdy wobec pana, kapitanie Nemo, żadnych zobowiązań, a więc nie można go oskarżać o zdradę.

— Ten Francuz, którego przypadek rzucił na mój pokład szesnaście lat temu?

— Tak, to on.

<sup>70</sup>*otomana* — rodzaj niskiej kanapy z wałkami po bokach zamiast poręczy i miękkim oparciem. [przypis edytorski]

— A więc ten człowiek wraz ze swymi dwoma towarzyszami nie zginął w malstromie<sup>71</sup>, w który wpadł „Nautilus”?

— Nie, nie zginęli i ukazała się książka pod tytułem *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*, w której opisano pana dzieje.

— Moje dzieje w ciągu kilku miesięcy tylko, proszę pana — odpowiedział żywo kapitan.

— To prawda — powiedział Cyrus Smith — ale kilka miesięcy tego niezwykłego życia wystarczyło, żeby pana poznać.

— Jako wielkiego winowajcę, nieprawdą? — dokończył kapitan Nemo i na jego ustach pojawił się wyniosły uśmiech. — O tak, jako buntownika, być może wyrzutka poza nawias ludzkości.

Inżynier nic nie odpowiedział.

— Cóż, czy nie tak, proszę pana?

— Nie do mnie należy wydawanie sądów o kapitanie Nemo — odezwał się wreszcie Cyrus Smith — przynajmniej w tym, co dotyczy jego dawnego życia. Tak jak wszyscy inni nie znam powodów tej niezwyklej egzystencji, nie mogę więc osądzać skutków, nie znając przyczyn. To jednak wiem, że dobroczynna dłoń stale roztaczała opiekę nad nami od chwili naszego przybycia na Wyspę Lincolna, że wszyscy zawdzięczamy życie dobrej, wspaniałej i potężnej istocie i że tą istotą potężną, dobrą i wspaniałą jest pan, kapitanie Nemo.

— Tak, to ja — odpowiedział z prostotą kapitan.

Inżynier i reporter powstali. Ich towarzysze się zbliżyli i wdzięczność przepelniająca im serce już miała wyrazić się w gestach i słowach...

Ale kapitan Nemo powstrzymał ich ruchem ręki i głosem bardziej wzruszonym, niż tego chciał to okazać, powiedział:

— Najpierw mnie wysłuchajcie<sup>72</sup>.

I tak zaczawszy, w zwięzłych, szybko wypowiedzianych zdaniach opowiedział im całe swoje życie.

Jego historia była krótka, a jednak musiał skupić resztę sił, aby móc ją dokończyć. Widać było, że walczy z wielkim osłabieniem. Kilkakrotnie Cyrus Smith prosił go, aby odpoczął, ale kapitan potrząsał głową jak człowiek, do którego jutro już nie należy, a gdy reporter zaoferował mu swoją pomoc, powiedział:

— To zbędne. Moje godziny są policzone.

Kapitan Nemo był Hindusem, nazywał się książę Dakkar, był synem radży niepodległego wówczas Bundelkundu<sup>73</sup>, a bratankiem bohatera Indii Tippto-Sahiba<sup>74</sup>. Gdy miał dziesięć lat, ojciec wysłał go do Europy, aby tam zdobył gruntowne wykształcenie, z ukrytą intencją, że w przyszłości będzie walczył jak równy z równym z tymi, których uważał za ciemnościeli swego kraju.

Od dziesiątego do trzydziestego roku życia książę Dakkar, człowiek niezwykle uzdolniony, wielkiego serca i umysłu, kształcił się w naukach ścisłych, w literaturze i sztuce i osiągnął wspaniałe wyniki.

Książę Dakkar zwiedził całą Europę. Urodzenie i majątek sprawiały, iż był pożądanym gościem w towarzystwie, ale uroki wielkiego świata nigdy go nie pociągały. Chociaż młody i przystojny, pozostawał zawsze poważny, ponury, pożerany pragnieniem wiedzy, z nieubłaganą nienawiścią w sercu.

<sup>71</sup>malstrom — prąd morski o silnych wirach wywołany pływami w fiordach północnej Norwegii. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>Historia kapitana Nemo została rzeczywiście ogłoszona pod tytułem *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*. Tutaj także należy powtórzyć ostrzeżenie, już raz umieszczone przy okazji przygód Ayrtona, co do niezgodności niektórych dat. Czytelnicy zechcą łaskawie zajrzeć do powyższego przypisu. (Przypis wydawcy). [przypis redakcyjny]

<sup>73</sup>Bundelkund — zapewne przekreślona nazwa Bundelkhand, rejonu w środkowych Indiach, ob. w stanie Madhya Pradesh oraz częściowo w stanie Uttar Pradesh. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>Tippto-Sahib a. sultan Tipu (1750–1799) — władca królestwa Majsuru w płd. Indiach, wslawiony stawianiem twardego oporu imperializmowi brytyjskiemu; z powodzeniem walczył przeciwko wojskom brytyjskim w drugiej wojnie majsurskiej, został jednak pokonany w trzeciej i w czwartej wojnie majsurskiej przez połączone siły Wlk. Brytanii i sąsiadów Majsuru; zginął podczas obrony swojej stolicy, Seringatam. [przypis edytorski]

Książę Dakkar nienawidził. Nienawidził jedyne go kraju, którego nigdy nie chciał odwieść, jedyne go narodu, którego wszelkie oznaki przychylności stale odrzucał. Nienawidził Anglii i to tym mocniej, że niejedno musiał w niej podziwiać.

Ten Hindus skupił w sobie całą zacieklą nienawiść zwyciężonego do zwycięzcy. Najęźdźca nie mógł znaleźć łaski u najechanego. Syn jednego z tych władców, nad którymi Zjednoczone Królestwo<sup>75</sup> zyskało tylko tytularne zwierzchnictwo, książę z rodu Tipposahiba wychowany w duchu odwetu i zemsty, żywiący wielką miłość do swego poetycznego kraju zakutego w angielskie kajdany, nie chciał nigdy postawić stopy na przeklętej ziemi, która narzuciła Indiom niewolę.

Książę Dakkar stał się artystą, na którym dzieła sztuki wywierały głębokie wrażenie, uczonym, któremu nie była obca żadna dziedzina wiedzy, mężem stanu wychowanym na europejskich dworach. W oczach wszystkich, którzy go obserwowali powierzchownie, mógł uchodzić za jednego z tych kosmopolitów<sup>76</sup>, ciekawych wiedzy, ale gardzących czynem, za jednego z tych bogatych podróżników o wyniosłym i abstrakcyjnym umyśle, którzy stale przemierzają cały świat, nie należąc właściwie do żadnego kraju.

A jednak były to tylko pozory. Ten artysta, ten uczony, ten człowiek pozostał w głębi serca Hindusem, pozostał Hindusem przez żądzę zemsty, Hindusem przez ożywiającą go nadzieję, że kiedyś zdoła upomnieć się o prawa swojego kraju, wypędzić zeń cudzoziemców i przywrócić mu niepodległość.

Książę Dakkar powrócił do Bundelkundu w roku 1849. Poślubił szlachetną Hinduskę, której serce krwawiło, tak jak jego własne, nad nieszczęściami ojczyzny. Miał z nią dwoje dzieci, które niezmiernie kochał. Ale szczęście domowe nie pozwoliło mu zapomnieć o niewoli Indii. Oczekiwał tylko na okazję. Wreszcie się zdarzyła.

Jarzmo angielskie zbyt ciężko ciążyło ludom Indii. Książę Dakkar stał się głosem niezadowolonych. Przełał w nich całą nienawiść, jaką pałał przeciw cudzoziemcom. Przemierzył nie tylko wciąż niezależne kraje Półwyspu Indyjskiego, ale także tereny bezpośrednio podległe administracji angielskiej. Przypomniał wszystkim wielkie dni Tipposahiba, bohaterko poległego pod Seringapatam w obronie rodzinnego kraju.

W 1857 roku wybuchło wielkie powstanie sipajów<sup>77</sup>. Książę Dakkar był jego duszą. Zorganizował ogromne powstanie. Oddał dla sprawy swoje zdolności i bogactwa. Nie szczędził samego siebie i walczył w pierwszych szeregach; narażał życie jak każdy z prostych bohaterów, którzy powstali, żeby wyzwolić kraj z niewoli; był dziesięć razy ranny w dwudziestu starciach i nie znalazł śmierci nawet wówczas, gdy ostatni żołnierze niepodległości padli pod angielskimi kulami.

Nigdy władza angielska w Indiach nie była w takim niebezpieczeństwie i gdyby tylko sipajowie otrzymali jakąś pomoc z zewnątrz, na co liczyli, kto wie, czy nie byłby to kres wpływów i panowania Zjednoczonego Królestwa w Azji.

Imię księcia Dakkara stało się wówczas sławne. Bohater nie ukrywał się i toczył otwartą walkę. Za jego głowę wyznaczono nagrodę i chociaż nie znalazł się zdrajca, który by go wydał, to jednak jego ojciec, matka, żona i dzieci zapłacili za niego życiem, zanim dowiedział się o grożącym im z jego powodu niebezpieczeństwie.

Kolejny raz prawo uległo sile. Sipajów zwyciężono, a kraj dawnych radźów popadł pod jeszcze bardziej bezwzględna władzę Anglików.

Książę Dakkar, nie znalazłszy śmierci, powrócił w góry Bundelkundu. Tutaj, teraz całkiem samotny, przejęty głębokim wstrętem do wszystkiego, co nosi imię człowieka, pełen nienawiści i obrzydzenia do cywilizowanego świata, pragnąc uciec przed nim na zawsze, sprzedał resztki swojej fortuny, zebrał dwudziestkę najwierniejszych towarzyszy i pewnego dnia wszyscy zniknęli.

<sup>75</sup>Zjednoczone Królestwo — tu: Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii, państwo brytyjsko-irlandzkie w latach 1801–1922. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>kosmopolita — człowiek nieodczuwający związku ze swoim krajem, traktujący cały świat jako swoją ojczyznę. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>powstanie sipajów (1857–1858) — wielkie powstanie w Indiach przeciwko Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, działającej jako niezależna władza kolonialna w imieniu Korony brytyjskiej. Zostało zapoczątkowane przez bunt oddziałów sipajów, czyli żołnierzy indyjskich w armii brytyjskiej, i było wspierane przez lokalnych książąt. Skutkiem krwawo stłumionego powstania było zlikwidowanie Kompanii Wschodnioindyjskiej i przejęcie władzy w Indiach bezpośrednio przez Koronę brytyjską. [przypis edytorski]

Gdzie książkę Dakkar zamierzał znaleźć tę wolność, której mu odmówiono na zamieszkaną ziemi? Pod wodą, w głębinach mórz, gdzie nikt nie mógłby go osiągnąć.

Wojownik stał się uczonym. Na bezludnej wyspie na Pacyfiku postawił stocznię, w której jego planów został zbudowany okręt podwodny. Elektryczność, której niezmierną siłą mechaniczną umiał wykorzystywać za pomocą środków, jakie kiedyś staną się znane, i którą uzyskiwał z niewyczerpanych źródeł, zaspokoila wszystkie potrzeby jego pływającego aparatu, zarówno jako siła napędowa, jak też świetlna i ciepła. Niezliczone skarby morza, miriady ryb, wodorosty i porosty, olbrzymie ssaki i nie tylko to, czego dostarcza natura, ale i to wszystko, co utracili ludzie, wystarczało w zupełności na zaspokojenie potrzeb księcia i jego załogi. W ten sposób spełniało się jego najgorętsze pragnienie, gdyż nie chciał już mieć żadnego kontaktu z ziemią. Ochrzcił swój podwodny okręt mianem „Nautilus”<sup>78</sup>, sam przybrał imię kapitana Nemo<sup>79</sup> i zniknął pod powierzchnią mórz.

Przez wiele lat kapitan przemierzał wszystkie oceany od jednego do drugiego bieguna. Parias<sup>80</sup> zamieszkanego świata, zebrał w tych nieznanach światach godne podziwu skarby. Miliony utracone w 1702 roku w wodach zatoki Vigo<sup>81</sup> przez galeony hiszpańskie stały się dla niego niewyczerpaną kopalnią bogactw, z której stale korzystał, anonimowo wspierając narody walczące o niepodległość swych krajów<sup>82</sup>.

Od wielu lat kapitan nie miał żadnego kontaktu z ludźmi, gdy nagle w nocy 6 listopada 1866 przypadek rzucił trzech ludzi na jego pokład. Był to pewien francuski profesor, jego służący oraz wielorybnik kanadyjski. Ci trzej ludzie wpadli do morza wskutek zderzenia „Nautilusa” z fregatą Stanów Zjednoczonych „Abraham Lincoln”, która go ścigała.

Kapitan Nemo dowiedział się od profesora, że „Nautilus”, którego jedni uważali za olbrzymiego ssaka z rodziny wielorybów, a inni za statek podwodny z załogą złożoną z piratów, jest ścigany na wszystkich morzach.

Kapitan Nemo mógł zwrócić oceanowi trzech ludzi, których los postawił w ten sposób na jego tajemniczej drodze życia. Nie zrobił tego jednak, lecz trzymał ich jako więźniów. Przez siedem miesięcy mieli możliwość podziwiania cudów podróży odbytej pod wodą na przestrzeni dwudziestu tysięcy mil.

Pewnego dnia, 22 czerwca 1867 roku, ci trzej ludzie, nieznający bynajmniej przeszłości kapitana Nemo, zawładnąwszy jedną z łodzi „Nautilusa”, zdołali się wymknąć. Ponieważ w tym czasie Nautilus” wpadł wiry malstromu przy wybrzeżach Norwegii, kapitan sądził, że uciekinierzy, pochyceni w ten przerażający prąd, ponieśli śmierć w odmętach. Nie wiedział o tym, że Francuz i jego dwaj towarzysze zostali jakimś cudem wyrzuceni na brzeg, że znaleźli ich rybacy z Lofotów<sup>83</sup> i że profesor po powrocie do Francji wydał książkę, w której opisał i ujawnił ciekawości ludzkiej te siedem miesięcy niezwyklej, pełnej przygód żeglugi „Nautilusa”.

Długo jeszcze kapitan Nemo prowadził ten tryb życia, pływając się po różnych morzach. Powoli jednak jego towarzysze powymierali i znaleźli spoczynek na koralowym cmentarzu na dnie Pacyfiku. Na „Nautilusie” robiła się coraz większa pustka i wreszcie kapitan Nemo pozostał jedynym żyjącym ze wszystkich, którzy wraz z nim schronili się w głębinach oceanu.

Kapitan Nemo miał wówczas sześćdziesiąt lat. Kiedy został sam, zdołał doprowadzić swego „Nautilusa” do jednego z podwodnych portów, które czasami służyły mu za bazy.

Port ten wyżłobiony był pod Wyspą Lincolna i on to właśnie udzielał teraz „Nautilusowi” schronienia.

Od sześciu lat kapitan pozostawał tutaj, nie żeglując, oczekując śmierci, to znaczy chwili, kiedy połączy się z towarzyszami, gdy przypadkowo stał się świadkiem upadku

<sup>78</sup>nautilus (łac. z gr.) — żeglarz. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>nemo (łac.) — nikt. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>parias — członek najniższej kasty w Indiach; przten. wyrzutek. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>bitwa w zatoce Vigo (22 października 1702) — bitwa morska przy atlantyckim wybrzeżu Hiszpanii, w której okręty floty angielsko-holenderskiej zaatakowały i pokonały hiszpańską flotę ze skarbami, płynącą z Hawany i chronioną przez eskortę francusko-hiszpańską. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>wspierając narody walczące o niepodległość swego kraju — mowa tu o powstaniu Kandyjczyków, które zwyciężyło w ten sposób kapitan Nemo wspierał [Kandia to daw. nazwa m. Heraklion na wyspie Krecie; chodzi o greckie powstanie na Krecie przeciwko Imperium Osmańskiemu w l. 1866–1869; red. WL]. [przypis autorski]

<sup>83</sup>Lofoty — archipelag na Atlantyku u płn.-zach. wybrzeży Norwegii. [przypis edytorski]

balonu unoszącego jeńców zbiegłych z niewoli Południowców. Ubrany w swój skafander nurkowy kapitan przechadzał się pod wodą, w odległości kilku kabli od brzegu, właśnie w chwili, gdy inżynier wpadł do morza. Pod wpływem szlachetnego odruchu kapitan ocalił życie Cyrusowi Smithowi.

Z początku kapitan chciał uciec przed tymi pięcioma rozbitkami, ale jego port był zamknięty, gdyż na skutek przesunięcia się bloków bazaltu, spowodowanego działaniem sił wulkanicznych, jego statek nie mógł się już wydostać przez wejście do krypty. Tam, gdzie było jeszcze dosyć wody dla lekkiej łódki, brakowało jej już dla „Nautilusa”, mającego stosunkowo duże zanurzenie.

Kapitan Nemo musiał więc pozostać na miejscu, a potem zaczął się przypatrywać tym ludziom, wyrzuconym bez środków do życia na bezludną wyspę. Nie chciał być jednak przez nich widziany. Stopniowo, gdy przekonał się, że są uczciwi, energiczni, przywiązani do siebie braterską przyjaźnią, zaczął interesować się ich działaniami. Jakby pomimo swojej woli przeniknął wszystkie tajemnice ich życia. Łatwo mu było w skafandrze docierać na dno studni w Granitowym Pałacu, a stamtąd wpinać się po wystęпах skalnych aż do górnego wylotu, gdzie słuchał kolonistów opowiadających o swojej przeszłości, rozważających teraźniejszość i przyszłość. Dowiedział się od nich o olbrzymich zmaganiach, jakie podjęła Ameryka przeciw Ameryce, żeby znieść niewolnictwo. O tak! Ci ludzie mogli pogodzić kapitana Nemo z ludzkością, którą tak szlachetnie reprezentowali na wyspie.

Kapitan Nemo ocalił życie Cyrusowi Smithowi. On to również doprowadził psa do Kominów, wyrzucił Topa z jeziora, on także podrzucił na Cyplu Znaleziska skrzynię wyładowaną tyłoma pożytecznymi dla kolonistów przedmiotami, puścił czółno z prądem Rzeki Dziękczynienia, zrzucił drabinę z progu Granitowego Pałacu podczas napadu małp, dał znać o obecności Ayrtona na wyspie Tabor przez umieszczenie dokumentu w butelce, wysadził bryg wybuchem torpedy założonej na dnie cieśniny, uratował Harberta od pewnej śmierci, dostarczając siarczemu chininy, wreszcie uśmiercił piratów pociskami elektrycznymi, których tajemnicę budowy znał i których używał w swoich podmorskich polowaniach. Tak oto wyjaśniały się rozmaite fakty, które wydawały się nadprzyrodzone, a które wszystkie razem świadczyły o wspaniałomyślności i potędze kapitana.

Wciąż jeszcze ten wielki odludek czuł pragnienie czynienia dobra. Chciał jeszcze przekazać swoim protegowanym wiele użytecznych rad. Czując, jak serce mięknie mu w obliczu zbliżającej się śmierci, wezwał, jak wiadomo, kolonistów z Granitowego Pałacu za pomocą drutu, którym połączył zagrodę z „Nautilusem”, także wyposażonym w aparat telegraficzny. Może nie zrobiłby tego, gdyby wiedział, że Cyrus Smith zna wystarczająco jego dzieje, żeby powitać go imieniem kapitana Nemo.

Kapitan skończył swą opowieść. Wówczas Cyrus Smith przypomniał wszystkie zdarzenia, które wywarły tak zbawienny wpływ na życie kolonistów, i w imieniu swoich towarzyszy oraz swoim własnym podziękował wspaniałomyślnemu człowiekowi, któremu tyle zawdzięczali.

Ale kapitan Nemo nie wymagał podziękowań za oddane przysługi. Niepokoila go ostatnia myśl i zanim uściśnął wyciągniętą rękę inżyniera, powiedział:

— A teraz, proszę pana, teraz, kiedy poznał pan moje życie, proszę je osądzić.

Mówiąc to, kapitan najwyraźniej robił aluzję do tragicznego wydarzenia, którego świadkami byli trzej cudzoziemcy rzućeni na pokład „Nautilusa”. Wydarzenie to francuski profesor niewątpliwie opisał w swojej książce i musiało ono wywołać straszliwe wrażenie.

Otóż na kilka dni przed ucieczką profesora i jego dwóch towarzyszy „Nautilus”, ścigany przez jakąś fregatę na północnym Atlantyku, uderzył w nią jak taran i bez litości ją zatopił.

Cyrus Smith zrozumiał aluzję, ale powstrzymał się od odpowiedzi.

— To była fregata angielska! — zawołał kapitan Nemo, stając się na chwilę znowu księciem Dakkarem. — Angielska, rozumie pan? Zatakowała mnie! Byłem uwięziony w wąskiej i płytkiej zatoce!... Musiałem się wydostać i... wydostałem się!...

A po chwili dodał, spokojnym już głosem:

— Po mojej stronie była słuszność i prawo — dodał. — Wszędzie robiłem tyle dobrego, ile zdołałem, i tyle złego, ile musiałem. Sprawiedliwość nie polega wyłącznie na przebaczeniu.

Przez kilka chwil panowała cisza, po czym kapitan Nemo przemówił ponownie:

— Cóż więc o mnie myślicie, panowie?

Cyrus Smith wyciągnął rękę do kapitana i poważnym głosem odpowiedział:

— Kapitanie, całą pańską winą jest to, że wierzył pan, że można wskrzesić przeszłość, i że walczył pan przeciwko nieuchronnemu postępowi. To jeden z tych błędów, które jedni podziwiają, a inni potępiają, ale tylko Bóg jest ich sędzią, a rozum ludzki musi je rozgrzeszyć. Z tym, kto się myli co do intencji, którą uważa za dobrą, można walczyć, ale nie wolno przestać go szanować. Błąd pański należy do takich, które nie wykluczają podziwu, zaś pana imię może się nie obawiać sądu historii. Kocha ona bowiem bohaterские szaleństwa, choć jednocześnie potępia ich skutki.

Pierś kapitana Nemo uniosła się w westchnieniu, a jego ręka wyciągnęła się ku niebu.

— Czy błędziłem, czy miałem słuszność? — wyszeptał.

Cyrus Smith ciągnął dalej.

— Wszystkie wielkie czyny powracają do Boga, bo od niego pochodzą. Kapitanie Nemo, zebrani tutaj uczciwi ludzie, którym tyle razy pan pomagał, nigdy nie przestaną pana oplakiwać.

Harbert zbliżył się do kapitana. Przykląkł, ujął go za rękę i pocałował.

Łza się stoczyła z oczu umierającego:

— Moje dziecko — wyszeptał. — Niech cię Bóg błogosławi.

## ROZDZIAŁ XVII

*Ostatnie godziny kapitana Nemo. — Wola umierającego. — Pamiętka dla jednodniowych przyjaciół. — Grobowiec kapitana Nemo. — Kilka rad dla kolonistów. — Ostatnia chwila. — Na dnie morza.*

Tymczasem nadszedł dzień. Do głębokiej krypty nie docierał najmniejszy promyk słońca. Przypływ morza zalał otwór, ale sztuczne światło tryskające długimi snopami przez ściany „Nautilusa” nie słabło ani na chwilę, toteż zwierciadło wody otaczające statek wciąż lśniło tak samo.

Kapitan Nemo, skrajnie wyczerpany, opadł na otomanę. O przeniesieniu go do Granitowego Pałacu nie było co nawet myśleć, gdyż stanowczo oznajmił, że chce pozostać wśród bezcennych cudów „Nautilusa” i tu oczekiwać na nadchodzącą śmierć.

Podczas dość długiego okresu osłabienia, które prawie pozbawiło chorego świadomości, Cyrus Smith i Gedeon Spilett uważnie obserwowali jego stan. Widać było, że kapitan powoli gaśnie. Wkrótce miało zupełnie zabraknąć sił temu niegdyś tak potężnemu ciału, dziś zaś kruchej powłoce duszy zbierającej się do odlotu. Resztką życia skupiała w sercu i w głowie.

Inżynier i reporter naradzili się po cichu. Czy można było coś jeszcze zrobić dla umierającego? Czy dałoby się, jeżeli nie ocalić go, to przynajmniej przedłużyć mu życie o kilka dni? Nie, on sam oświadczył, że nie ma już dla niego żadnego ratunku i ze spokojem oczekiwał śmierci.

— Nic nie możemy zrobić — powiedział Gedeon Spilett.

— Na co on umiera? — spytał Pencroff.

— Po prostu gaśnie — odpowiedział reporter.

— Ale gdybyśmy go — ciągnął dalej marynarz — wynieśli na świeże powietrze, na słońce, może by przyszedł do siebie?

— Nie, Pencroffie — odparł inżynier — to by nic nie pomogło. Zresztą kapitan Nemo nie zgodziłby się nigdy na opuszczenie statku. Od trzydziestu lat żyje na „Nautilusie” i na „Nautilusie”, a nie gdzie indziej, chce umrzeć.

Zapewne kapitan Nemo usłyszał odpowiedź Cyrusa Smitha, ponieważ podniósł się i słabym, ale jeszcze zrozumiałym głosem powiedział:

— Ma pan rację. Powinienem i chcę umrzeć tutaj. Dlatego mam prośbę.

Cyrus Smith i jego towarzysze zbliżyli się do otomany i ułożyli jej poduszki tak, aby umierający miał wygodniejsze oparcie.

Wówczas jego wzrok zaczął błądzić po wszystkich cudach tego salonu, oświetlonego elektrycznym blaskiem rozpraszonym przez arabeski świetlny sufitu. Popatrzył kolejno

na obrazy zawieszane na wspaniałych obiciach ścian, na arcydzieła mistrzów włoskich, flamandzkich, francuskich i hiszpańskich, na rzeźby z marmuru i brązu, stojące na postumentach, na wspaniałe organy oparte o przepierzenie tylnej ściany, na szklane gabloty rozstawione wokół basenu znajdującego na środku salonu, w których błyszcząły najbardziej godne podziwu płody morza: morskie rośliny, jamochłony, sznury pereł nieocenionej wartości, a wreszcie jego wzrok zatrzymał się na dewizie wypisanej na frontonie tego muzeum, na dewizie „Nautilusa”:

*Mobilis in mobili*<sup>84</sup>.

Zdawało się, jakby chciał po raz ostatni popieścić wzrokiem te arcydzieła sztuki i przyrody, do których ograniczył swój świat w ciągu długoletniego pobytu w głębinach mórz.

Cyrus Smith uszanował milczenie kapitana Nemo. Czekał, aż umierający sam zacznie mówić.

Po kilku chwilach, w czasie których zapewne przesunęło mu się przed oczyma całe jego życie, kapitan Nemo zwrócił się do kolonistów i powiedział:

— Czy uważacie, panowie, że macie wobec mnie dług wdzięczności?

— Kapitanie, oddalibyśmy swoje życie, aby przedłużyć pańskie!

— To dobrze — ciągnął dalej kapitan Nemo — to dobrze. Przyrzeknijcie mi więc wypełnić moją ostatnią wolę, a wynagrodzicie mi za wszystko, co dla was uczyniłem.

— Przyrzekamy! — odpowiedział Cyrus Smith.

Obietnicą tą wiązał zarazem siebie i swoich towarzyszy.

— Panowie — podjął kapitan — jutro już mnie nie będzie.

I powstrzymując ruchem Harberta, który chciał zaprzeczać, powiedział:

— Tak jest. Jutro już mnie nie będzie, a nie chciałbym mieć innego grobowca niż „Nautilus”. To moja trumna. Wszyscy moi przyjaciele spoczywają na dnie morza i ja też chciałbym tam spocząć.

Głębokie milczenie było odpowiedzią na te słowa kapitana Nemo.

— Wysłuchajcie mnie uważnie, panowie — mówił dalej — „Nautilus” jest uwięziony w tej grocie, gdyż jej próg się podniósł. Jeśli jednak statek nie może opuścić swojego więzienia, to może przynajmniej zapaść się w otchłań, która jest pod nim, i pochować w jej głębi moją śmiertelną powłokę.

Kolonisci w skupieniu słuchali słów umierającego.

— Jutro po mojej śmierci, panie Smith — mówił dalej kapitan — pan i pańscy towarzysze opuścicie „Nautilusa”, gdyż wszystkie skarby, które się w nim znajdują, powinny zniknąć wraz ze mną. Jedna tylko pamiątka pozostanie po księciu Dakkarze, którego historię teraz już znacie. Ta oto szkatułka zawiera diamenty wartości wielu milionów, w większości pochodzące z epoki, gdy będąc ojcem i mężem, prawie uwierzyłem w szczęście, oraz zbiór pereł wydobytych przeze mnie i moich przyjaciół z głębi mórz. Dzięki tym skarbowi będziecie mogli dokonać wiele dobrego. W rękach takich jak pańskie, panie Smith, i pańskich towarzyszy pieniądze nie mogą spowodować złych następstw. Będę więc tam z wysoka współnikiem waszych poczynań i jestem o nie spokojny.

Po paru chwilach odpoczynku, jakiego wymagało jego niezmierne osłabienie, kapitan Nemo ciągnął dalej:

— Jutro zabierzecie szkatułkę i opuścicie ten salon, zamykając za sobą drzwi. Potem wyjdziecie na platformę „Nautilusa” i zamkniecie klapę luku, mocując ją sworzniami.

— Zrobimy to, kapitanie — odpowiedział Cyrus Smith.

— Dobrze. Następnie wsiądzicie do łódki, na której tu przyплыnęliście. Jednak przed opuszczeniem „Nautilusa” udacie się na rufę i otworzycie tam dwa wielkie kurki znajdujące się na linii wodnej. Wówczas woda dostanie się do zbiorników i „Nautilus” powoli zanurzy się, żeby spocząć na dnie otchłani.

A gdy Cyrus Smith zrobił gest, jakby chciał coś zauważyć, kapitan dodał:

— Nie obawiajcie się o nic. Pochowacie tylko zmarłego.

Ani Cyrus Smith, ani żaden z jego towarzyszy nie ośmielił się sprzeciwić kapitanowi Nemo. Wyraził swoją ostatnią wolę i nie pozostało im nic innego, jak ją spełnić.

— Czy przyrzekacie mi to, panowie? — dodał kapitan Nemo.

<sup>84</sup>*Mobilis in mobili* (łac) — ruchome w ruchomym. [przypis edytorski]

— Tak, kapitanie — odpowiedział inżynier.

Kapitan podziękował ruchem głowy i prosił kolonistów, żeby na parę godzin zostawili go samego. Gedeon Spilett chciał koniecznie pozostać przy nim, na wypadek gdyby nastąpił kryzys, ale umierający odmówił:

— Będę żył do jutra.

Opuścili więc wszyscy salon, przeszli przez bibliotekę, salę jadalną i dotarli do maszynowni na dziobie, gdzie znajdowały się aparaty elektryczne, dostarczające „Nautilusowi” ciepło, światło, a także siłę mechaniczną. „Nautilus” był arcydziełem mieszczącym w sobie arcydzieła. Inżynier podziwiał go w zdumieniu.

Koloniści wyszli na platformę, wznoszącą się na siedem do ośmiu stóp nad wodą. Tu położyli się przy grubej, soczewkowej szybie osłaniającej coś w rodzaju wielkiego oka, z którego tryskał snop światła. Za nim widać było kabinę mieszczącą koła sterowe, gdzie przebywał sternik, gdy prowadził „Nautilusa” przez tonie morskie, oświetlane na znaczną odległość przez promienie światła elektrycznego.

Cyrus Smith i jego towarzysze początkowo milczeli, gdyż wszystko, co przed chwilą widzieli i słyszeli, wywarło na nich wielkie wrażenie i serce im się ścisnęło na myśl o tym, że człowiek, który tyle razy im pomagał, ich obrońca, którego znali zaledwie kilka godzin, znajduje się na progu śmierci. Jakikolwiek wyrok wydaliby potomni o czynach tej, można omalże powiedzieć, nadludzkiej istoty, książkę Dakkar pozostanie na zawsze jedną z tych niezwykłych postaci, o których pamięć nigdy nie zginie.

— To dopiero człowiek! — zawołał Pencroff. — Wprost nie do wiary, że żył w ten sposób na dnie oceanu! A pomyśleć jeszcze, że może i tam nie znalazł więcej spokoju niż gdzie indziej...

— Może „Nautilus” — zauważył Ayrton — mógłby nam się przydać, żeby opuścić Wyspę Lincolna i dotrzeć do jakiegoś zamieszkałego lądu.

— Do kroćset diabłów! — krzyknął Pencroff. — Ja nie odważyłbym się kierować podobnym statkiem. Pływać po morzu — zgoda! Ale pod morzem — nigdy!

— Wydaje mi się — odparł reporter — że manewrowanie takim aparatem podwodnym jak „Nautilus” musi być bardzo łatwe, Pencroffie, i że prędko byśmy się to tego przyzwyczaili. Nie trzeba się na takim statku obawiać burzy ani uderzenia o inny statek. Kilka stóp pod powierzchnią morze jest spokojne jak jezioro.

— Bardzo możliwe — upierał się marynarz — ale wolę uczciwy podmuch wiatru na pokładzie solidnie zbudowanego i ożaglowanego statku. Statki są do pływania po wodzie, a nie pod nią.

— Przyjaciele — odpowiedział inżynier — nie ma co teraz dyskutować o okrętach podwodnych, przynajmniej jeśli chodzi o „Nautilusa”. „Nautilus” nie należy do nas i nie mamy prawa nim rozporządzać. Zresztą w żadnym wypadku nie moglibyśmy z niego skorzystać. Nie tylko bowiem nie może się wydostać z pieczary, której wejście zamknęło znaczne wydzwignięcie się skał bazaltowych, ale ponadto kapitan Nemo życzy sobie, aby po jego śmierci statek został zatopiony razem z jego ciałem. Taka jest jego wyraźna wola i ją spełnimy.

Po dłuższej rozmowie Cyrus Smith i jego towarzysze zeszli znowu do wnętrza „Nautilusa”. Tam posilili się nieco i wrócili do salonu.

Kapitan Nemo ocknął się z odrętwienia i jego oczy zapłonęły dawnym blaskiem. Na jego ustach zarysowywał się lekki uśmiech. Koloniści podeszli do niego.

— Panowie — odezwał się do nich kapitan — jesteście odważnymi, uczciwymi i dobrymi ludźmi. Poświęciliście się wszyscy całym sercem wspólnemu dziełu. Często was obserwowałem.. Pokochałem was, kocham was!... Proszę mi podać rękę, panie Smith!...

Cyrus Smith wyciągnął dłoń, a kapitan uścisnął ją serdecznie.

— Jak to dobrze! — szepnął.

A potem dodał:

— Ale dosyć o mnie. Musze porozmawiać o was i o Wyspie Lincolna, gdzie znaleźliście schronienie... Czy chcecie ją opuścić?

— Z tym, żeby później na nią powrócić, kapitanie! — odparł żywo Pencroff.

— Powrócić? Rzeczywiście, Pencroffie — odpowiedział kapitan, uśmiechając się. — Wiem przecież, jak kocha pan tę wyspę. Dzięki waszym staraniom zmieniła się zupełnie i niezaprzeczalnie należy do was.



— Mamy zamiar, kapitanie — odezwał się Cyrus Smith — ofiarować ją Stanom Zjednoczonym i założyć na niej bazę dla naszej marynarki, bardzo dogodnie położoną w tej części Pacyfiku.

— Myślicie o swojej ojczyźnie, panowie — odpowiedział kapitan. — Pracujecie dla jej pomyślności, dla jej sławy. Macie rację. Ojczyzna!... Właśnie tam trzeba wrócić!... Tak, tam się powinno umrzeć!... A ja umieram z dala od wszystkiego, co ukochałem.

— Czy ma pan może do przekazania jakiegoś ostatniego rozporządzenia? — zawołał żywy inżynier. — Może jakąś pamiątkę do wręczenia przyjaciółom, których pozostawił pan w górach Indii?

— Nie, panie Smith. Nie mam już przyjaciół. Jestem ostatnim ze swojego rodu i dawno już umarłem dla wszystkich, którzy mnie znali. Powróćmy jednak do was. Samotność, odosobnienie to rzeczy smutne, przewyższające ludzkie siły. Ja umieram, gdyż uwierzyłem, że można żyć samotnie. Musicie zrobić wszystko, żeby opuścić Wyspę Lincolna i znów ujrzeć ziemię rodzinną. Wiem, że ci nędznicy zniszczyli zbudowany przez was statek...

— Teraz budujemy nowy — odezwał się Gedeon Spilett — i to statek tak duży, abyśmy mogli na nim popłynąć do najbliższych lądów; ale jeśli prędzej czy później zdołamy opuścić Wyspę Lincolna, powrócimy na nią. Zbyt wiele wspomnień nas z nią wiąże, abyśmy mogli kiedykolwiek o niej zapomnieć.

— Tutaj poznaliśmy kapitana Nemo — odezwał się Cyrus Smith.

— I tylko tutaj wszystko nam będzie pana przypominać — dodał Harbet.

— I tu właśnie odpocznę snem wieczystym, jeżeli... — Kapitan zawahał się i zamiast dokończyć zaczętego zdania, powiedział: — Panie Smith, chciałbym z panem pomówić... tylko z panem.

Towarzysze inżyniera, szanując życzenie umierającego, wyszli z sali.

Cyrus Smith tylko parę minut pozostał sam na sam z kapitanem Nemo. Wkrótce przywołał przyjaciół, ale nie wyjawiał im ani słowa z tajemnic, które powierzył mu umierający.

Gedeon Spilett przyjrzał się bacznie choremu. Widać było, że kapitana podtrzymywała już tylko siła ducha, która jednak wkrótce już nie wystarczy, żeby powstrzymać narastające osłabienie fizyczne.

Dzień dobiegł końca, nie przynosząc żadnej ważnej zmiany. Koloniści ani na chwilę nie opuścili „Nautilusa”. Nadeszła noc, choć w krypcie nie można było tego rozpoznać.

Kapitan Nemo nie cierpiał, ale gaśł. Jego szlachetne oblicze, okryte bladą zblizającą się śmiercią, było spokojne. Z ust wymykały się niekiedy prawie niezrozumiałe słowa, odnoszące się do rozmaitych zdarzeń z jego niezwykłego życia. Czuło się, że życie powoli opuszcza to ciało; ręce i nogi były już zimne.

Raz czy dwa odezwał się jeszcze do stojących przy nim kolonistów i uśmiechnął się do nich tym ostatnim uśmiechem, którego nieraz nawet śmierć nie zaciera.

Wreszcie krótko po północy kapitan Nemo ostatnim wysiłkiem zdołał skrzyżować ręce na piersiach, jak gdyby pragnął umrzeć w tej pozycji.

Około pierwszej nad ranem resztką życia skupiła się już tylko w jego spojrzeniu. Ostatni błysk zaświecił w źrenicach, niegdyś płonących takim ogniem. Potem, szepcząc „Bóg i Ojczyzna”, oddał ostatnie tchnienie.

Cyrus Smith, pochylwszy się nad nim, zamknął oczy temu, który był niegdyś księciem Dakkarem, a w tej chwili przestał być nawet kapitanem Nemo.

Harbert i Pencroff płakali, Ayrton ukradkiem ocierał łzy. Nab klęczał obok reportera stojącego jak posąg.

Wśród tej ciszy Cyrus Smith uniósł rękę nad głowę zmarłego i powiedział:

— Niech Bóg ma w opiece jego duszę! — Potem, zwracając się do przyjaciół, dodał: — Módlmy się za tego, którego straciliśmy!

Kilka godzin później koloniści spełnili obietnicę daną kapitanowi, wykonując ostatnią wolę umierającego.

Cyrus Smith i jego towarzysze opuścili „Nautilusa”, zabierając ze sobą jedyną pamiątkę pozostawioną im przez dobroczyńcę — szkatułkę zawierającą majątek wart kilka fortun.

Starannie zamknęli drzwi wspaniałego salonu, wciąż zalanego powodzią światła. Przytwierdzili sworzniami metalową pokrywę luku, tak aby ani kropla wody nie mogła przeniknąć do wnętrza „Nautilusa”.

Następnie koloniści zeszli do łódki przycumowanej do burty statku podwodnego. Podpłynęli do rufy. Tu na linii wodnej znajdowały się dwa duże kurki połączone ze zbiornikami służącymi do zanurzania statku.

Odkręcili kurki, zbiorniki napełniły się wodą i „Nautilus”, zagłębiając się powoli, zniknął pod powierzchnią wody.

Koloniści długo jeszcze widzieli statek przez warstwę wody. Jego potężne reflektory oświetlały przejrzystą toń, podczas gdy w krypcie powoli stawało się coraz ciemniej. Wreszcie snop światła elektrycznego zniknął i „Nautilus”, zamieniony w grobowiec kapitana Nemo, spoczął na dnie morza.

## ROZDZIAŁ XVIII

*Rozmyślenia kolonistów. — Wznowienie prac nad budową statku. — 1 stycznia 1869. — Pióropuszc na szczycie wulkanu. — Pierwsze oznaki bliskiego wybuchu. — Ayrton i Cyrus Smith w zagrodzie. — Badania w Krypcie Dakkara. — Co kapitan Nemo powiedział inżynierowi.*

O świcie koloniści w milczeniu dotarli do wylotu grotu, której na pamiątkę kapitana Nemo nadali nazwę Krypty Dakkara. Trwał odpływ, więc z łatwością przepłynęli pod arkadą, o której bazaltowe filary uderzały fale.

Łódź pozostawili na miejscu, poza zasięgiem fal. Przez nadmiar ostrożności Pencroff, Nab i Ayrton wyciągnęli ją niewielką plażą przylegającą z jednej strony do krypty, w miejsce, gdzie nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo.

Z nadejściem dnia burza ustała. Ostatnie pomruki grzmotu cichły gdzieś na zachodzie. Deszcz przestał padać, ale niebo jeszcze pokryte było chmurami. Ogólnie rzecz biorąc październik, który na półkuli południowej jest początkiem wiosny, nie zapowiadał się zbyt obiecująco, zaś wiatr ciągle zmieniał kierunek, co nie pozwalało liczyć na stałą pogodę.

Cyrus Smith i jego towarzysze, opuściwszy Kryptę Dakkara, udali się z powrotem do zagrody. Po drodze Nab i Harbert zajęli się zwijaniem drutu przeciągniętego przez kapitana pomiędzy zagrodą a kryptą, który mógł się przydać na później.

W drodze koloniści mało mówili. Wydarzenia nocy z 15 na 16 października wywarły na nich silne wrażenie. Ten nieznamy, który tak skutecznie im pomagał, człowiek, z którego ich wyobraźnia uczyniła opiekuńczego ducha, kapitan Nemo — już nie żył. Jego „Nautilus” wraz z nim spoczywał w otchłani morza. Toteż wszyscy czuli się osamotnieni jeszcze bardziej niż dawniej. Przyzwyczaili się liczyć na tę potężną pomoc, której im teraz miało zabraknąć. Nawet Gedeon Spilett i Cyrus Smith nie mogli się otrząsnąć z tego wrażenia, toteż wszyscy podczas całej drogi do zagrody zachowywali głębokie milczenie.

Około dziewiątej rano koloniści znaleźli się znowu w Granitowym Pałacu.

Postanowili wszyscy, że trzeba się jak najszybciej ponownie zabrać do pracy przy budowie statku. Cyrus Smith poświęcił temu zadaniu bardziej niż kiedykolwiek swój czas i troskę. Nikt nie mógł przewidzieć, co przyniesie przyszłość. Dlatego tak ważne było dla kolonistów posiadanie solidnie zbudowanego statku, zdolnego utrzymać się na morzu nawet w czasie burzy i dostatecznie dużego, aby można było na nim wyruszyć w dłuższy, dalszy rejs. Gdyby po wykończeniu statku koloniści nie zdecydowali się jeszcze na opuszczenie Wyspy Lincoln i popłynięcie na archipelag polinezyjski na Pacyfiku bądź też na wybrzeża Nowej Zelandii, to przynajmniej powinni jak najszybciej udać się na wyspę Tabor, żeby pozostawić tam notatkę o Ayrtonie. Był to konieczny środek ostrożności, na wypadek gdyby szkocki jacht zjawił się znowu na tych wodach, i pod tym względem nie wolno było niczego zaniedbać.

Zabrano się więc znowu gorliwie do pracy. Cyrus Smith, Pencroff i Ayrton przy pomocy Naba, Gedeona Spiletta i Harberta, kiedy tych ostatnich nie odrywało jakieś ważne zajęcie, pracowali bez przerwy. Trzeba było koniecznie skończyć nowy statek w ciągu pięciu miesięcy, czyli do początku marca, jeżeli chcieli odwiedzić wyspę Tabor, zanim silne wiatry występujące podczas zrównania dnia z nocą uniemożliwią podróż. Toteż cieśle

nie marnowali ani chwili. Zresztą nie musieli się troszczyć o maszty i ożaglowanie, bo wszystko to już mieli w spadku po „Speedym”. Chodziło przede wszystkim o skończenie kadłuba statku.

Wśród tych ważnych zajęć, którym prawie wszystkie inne ustąpiły miejsca, minął koniec roku 1868. Po dwóch i pół miesiącach pracy zamocowano wszystkie wręgi i rozpoczęto układanie klepek poszycia. Można już było ocenić, że plany Cyrusa Smitha były znakomite i że statek będzie się dobrze trzymał na wodzie. Pencroff poświęcał się tej pracy z zapalczywą gorliwością i zrządził, gdy któryś z towarzyszy zamieniał na jakiś czas topór ciesielski na strzelbę myśliwską. A przecież trzeba było z myślą o zimie uzupełnić zapasy Granitowego Pałacu. Ale to Pencroffa nie obchodziło. Dzielny marynarz był niezadowolony, gdy w stoczni brakowało robotników. W takich wypadkach, mruczając i zrządzając, z wielkiej irytacji pracował za sześciu.

Całe lato było brzydkie. Przez kilka dni trwały nieznośne skwary, wskutek których nadmiar elektryczności w powietrzu wyładowywał się w gwałtownych burzach. Rzadko kiedy nie było słychać dalekich grzmotów. Był to jakby głuchy, ale stały pomruk, jaki słyszy się zwykle w okolorównikowych regionach globu.

1 stycznia 1869 rozszalała się niesłychanie gwałtowna burza, w czasie której pioruny kilkakrotnie uderzyły w wyspę. Trafiły i strzaskały wysokie drzewa, między innymi jeden z olbrzymich wiązowców ocieniających ptaszarnię na południowym brzegu jeziora. Czy to zjawisko atmosferyczne miało jakiś związek z procesami zachodzącymi we wnętrzu ziemi? Czy istniała jakaś łączność pomiędzy zaburzeniami atmosfery a zaburzeniami w głębinach globu? Cyrus Smith przypuszczał, że tak, ponieważ nasilenie burz zbiegało się ze zwiększoną aktywnością wulkanu.

3 stycznia Harbert, wszedłszy o świcie na Płaskowyż Pięknego Widoku, żeby osiodłać onagra, spostrzegł olbrzymi pióropusz dymu wznoszący się na szczycie wulkanu.

Natychmiast zawiadomił o tym towarzyszy, którzy zaraz dołączyli do niego, aby obserwować Górę Franklina.

— Ho, ho! — zawołał Pencroff. — Tym razem to już nie zwykła para. Zdaje mi się, że olbrzym nie poprzestaje już tylko na oddychaniu, ale i fajkę pali!

Obrazowe określenie użyte przez marynarza dobrze opisywało zmiany, jakie zaszły w kraterze wulkanu. Od trzech miesięcy z krateru wydobywała się mniej lub bardziej gęsta para, ale pochodząca tylko z wrzenia składników mineralnych wewnątrz ziemi. Tym razem zamiast pary widać było gęste kłęby dymu wznoszące się w postaci szarawej kolumny, szerokiej u podstawy na ponad trzysta stóp i rozrastającej się jak olbrzymi grzyb na wysokości siedmiuset do ośmiuset stóp ponad szczytem góry.

— W kominie płonie ogień — powiedział Gedeon Spilett.

— A nie jesteśmy w stanie go zgasić! — odpowiedział Harbert.

— Powinno się właściwie czyścić wulkany jak kominy — zauważył Nab najpoważniejszym w świecie tonem.

— Znakomicie, Nabie! — zawołał Pencroff. — A może ty byś chciał zostać kominiarzem wulkanów?

I marynarz wybuchnął głośnym śmiechem.

Cyrus Smith uważnie obserwował gęsty dym wydobywający się z Góry Franklina, a nawet nasłuchiwał, jak gdyby chcąc pochwycić jakieś odległe pomruki. Po chwili porwócił do towarzyszy, od których się nieco oddalił, i powiedział:

— Rzeczywiście, przyjaciele, nie ma co ukrywać, że zaszły poważne zmiany. Produkty wulkaniczne są już nie tylko w stanie wrzenia, ale zajęły się ogniem i z całą pewnością grozi nam bliski wybuch.

— No cóż, panie Smith — powiedział marynarz — przyjrzymy się temu wybuchowi, a jak będzie udany, to będziemy go okłaskiwać. Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli się czym przejmować.

— Nie, Pencroffie — odparł Cyrus Smith. — Wprawdzie dawny szlak lawy pozostaje otwarty i dzięki jego położeniu do tej pory zawsze wypływała z krateru na północ, ale jednak...

— Jednak — podjął reporter — ponieważ wybuch nie może nam przynieść żadnej korzyści, byłoby lepiej, żeby nie nastąpił.

— Kto wie? — powiedział marynarz. — Może w tym wulkanie znajduje się jakaś cenna i pożyteczna substancja, którą będzie łaskaw wyrzucić, a my z niej skorzystamy.

Cyrus Smith potrząsnął głową jak człowiek niespodziewający się niczego dobrego po zjawisku, które tak nagle się rozwinęło. Nie zapatrywał się na następstwa wybuchu tak lekko jak Pencroff. Chociaż wylew lawy dzięki układowi krateru nie zagrażał bezpośrednio zalesionym i uprawnym częściom wyspy, ale mogły się pojawić inne groźne skutki. Nierzadko zdarza się, że wybuchom wulkanów towarzyszy trzęsienie ziemi, a wyspa tego rodzaju jak Wyspa Lincolna, uformowana z tak różnorodnych materiałów — z jednej strony z bazaltów, z drugiej z granitów, z lawy na północy, z luźnego gruntu na południu — z materiałów, które nie mogły się ze sobą bardzo silnie zespolić, narażona byłaby na ryzyko rozpadnięcia się. Chociaż więc wylew substancji wulkanicznych nie stanowił zbyt groźnego niebezpieczeństwa, to wszelkie ruchy skorupy ziemskiej, które wstrząsnęłyby wyspą, mogły doprowadzić do katastrofalnych skutków.

— Wydaje mi się — powiedział Ayrton, który leżał z uchem przyłożonym do ziemi — że słyszę głuchy turkot, jak gdyby wozu wyładowanego sztabami żelaza.

Pozostali zaczęli uważnie się przysłuchiwać i stwierdzili, że Ayrton się nie mylił. Do turkotu dołączało się od czasu do czasu jakieś podziemne wycie, które tworzyło rodzaj *rinforzando*<sup>85</sup>, i stopniowo słabło, jak gdyby przez wnętrze globu przelatował jakiś gwałtowny wicher. Ale jak dotąd nie dawało się słyszeć nic podobnego do huku wybuchu. Z tego można było wnioskować, że para i dym znajdowały swobodne ujście przez główny przewód, a ponieważ ta kłapa bezpieczeństwa była dość szeroka, nie należało się obawiać wstrząsów ani wybuchu.

— Ha! — zawołał, słysząc te wnioski, Pencroff. — Czy możemy wrócić do pracy? Niech tam sobie Góra Franklina dymi, ryczy, jęczy, miota ogniem i płomieniem — to jeszcze nie powód, żeby nic nie robić... Dalej, Ayrtonie, Nabie, Harbercie, panie Cyrusie, panie Spilett! Wszyscy dziś muszą zabrać się do dzieła. Dzisiaj będziemy kłaść wzdłużniki, a przy takiej robocie tuzin rąk to wcale nie za dużo! Chciałbym, żeby za dwa miesiące nasz nowy „Bonawentura” — bo zachowamy tę nazwę, prawda? — unosił się już na wodach Przystani Balonowej! A więc nie ma czasu do stracenia!

Wszyscy koloniści, których rąk domagał się Pencroff, zeszli do stoczni i zabrali się do układania wzdłużników, belek opasujących statek i wiążących ze sobą poprzeczne wręgi kadłuba. Była to ważna i ciężka praca, toteż wszyscy wzięli w niej udział.

Przez cały dzień 3 stycznia pracowali gorliwie, nie martwiąc się wulkanem, którego zresztą z wybrzeża pod Granitowym Pałacem nie było widać. Tylko raz czy dwa wielkie cienie przesłoniły słońce, odbywające swoją dzienną wędrówkę po wyjątkowo czystym niebie, co było wskazówką, że gęsty obłok dymu przeszedł pomiędzy tarczą słoneczną a wyspą. Wiewjący od morza wiatr unosił te wszystkie wyziewy na zachód. Cyrus Smith i Gedeon Spilett zauważyli te przejściowe zaćmienia i kilkakrotnie wymienili parę zdań na temat wyraźnego postępu w aktywności wulkanu, ale nikt nie przerywał pracy. Ukończenie statku w jak najkrótszym czasie było dla kolonistów z wielu względów sprawą najważniejszą. Wobec okoliczności, jakie się mogły pojawić, statek zwiększał bezpieczeństwo kolonistów. Kto wie, czy ten statek nie stanie się dla ich jedynym schronieniem.

Wieczorem po kolacji Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Harbert weszli znowu na Płaskowyż Pięknego Widoku. Noc już całkiem zapadła i w ciemności łatwiej było rozpoznać, czy oprócz nagromadzonej u wylotu pary i dymu wulkan wyrzuca z krateru płomienie lub rozżarzone głązy.

— Krater w ogniu! — zawołał Harbert, który jako zwinniejszy od swoich towarzyszy pierwszy dotarł na płaskowyż.

Góra Franklina, odległa o jakieś sześć mil, wyglądała teraz jak gigantyczna pochodnia, na szczycie której wyla się jezory burch płomieni. Z ogniem mieszała się tak wielka ilość dymu, a zapewne też popiołów i żużli, że pomimo nocnych ciemności jego blask nie był zbyt jaskrawy. Jednak nad wyspą roztaczała się jakaś płowa poświata, w której odcinały się mgliste zarysy lasów na pierwszym planie. Niebo zasnuwały olbrzymie kłęby splątanych dymów, przez które tu i ówdzie przebłyskiwały gwiazdy.

<sup>85</sup>*rinforzando* (muz.) — nagle wzmocnienie dźwięku, używane do zaakcentowania pojedynczego dźwięku lub akordu. [przypis edytorski]

— To postępuje bardzo szybko — odezwał się inżynier.

— Nic dziwnego — odpowiedział reporter. — Wulkan przebudził się już jakiś czas temu. Przypomina pan sobie, Cyrusie, że pierwsze obłoki pary pojawiły się mniej więcej w tym czasie, kiedy przeszukiwaliśmy podnóża Góry Franklina, żeby znaleźć kryjówkę kapitana Nemo. To było, jeśli się nie myłę, około piętnastego października.

— Tak — odpowiedział Harbert. — A od tego czasu minęło już dwa i pół miesiąca.

— Podziemne ognie dojrzewały zatem przez dziesięć tygodni — powiedział Gedeon Spilett — i nic dziwnego, że teraz rozwijają się z taką gwałtownością.

— Czy nie czujecie jakby lekkiego drżenia ziemi? — zapytał Cyrus Smith.

— Rzeczywiście — odpowiedział powoli reporter — ale od tego do trzęsienia ziemi...

— Nie twierdzą, że nam zagraża trzęsienie ziemi — odpowiedział Cyrus Smith — i niech Bóg nas przed tym chroni. Bynajmniej. To drżenie jest wynikiem wrzenia ognia wewnętrznego. Skorupa ziemska to nic innego jak ściany kotła parowego, a wiadomo, że ściany kotła pod ciśnieniem gazów drgają jak membrana. Z takim właśnie zjawiskiem mamy teraz do czynienia.

— Co za wspaniałe snopy ognia! — zawołał Harbert.

W tej chwili z krateru wystrzelił jak gdyby fajerwerk, którego blasku nie zdołały przytłumić nawet gęste wyziewy. Tysiące iskier i ognistych okruchów rozpryskiwały się na wszystkie strony. Niektóre z nich wznosiły się ponad kopułę dymów, przecinając ją szybko i pozostawiając po sobie jarzący się pył. Towarzyszyły temu następujące po sobie wystrzały przypominające terkot całej baterii kartaczownic<sup>86</sup>.

Po spędzeniu całej godziny na Płaskowyżu Pięknego Widoku Cyrus Smith, reporter i towarzyszący im młodzieniec zeszli na wybrzeże i powrócili do Granitowego Pałacu. Inżynier był zamyślony, a nawet przygnębiony do tego stopnia, że Gedeon Spilett uznał, że powinien zapytać go, czy przeczuwa jakieś bliskie niebezpieczeństwo związane bezpośrednio lub pośrednio z wybuchem wulkanu.

— Tak i nie — odpowiedział Cyrus Smith.

— Czy jednak — podjął znowu reporter — największym nieszczęściem, jakie mogłoby nas spotkać, nie byłoby trzęsienie ziemi, które mogłoby zniszczyć wyspę? Wydaje mi się, że nie musimy się tego obawiać, ponieważ wyziewy i lawy znalazły już swobodne ujście.

— Toteż — odparł Cyrus Smith — nie obawiam się trzęsienia ziemi w tym znaczeniu, jakie się nadaje zwykle wstrząsom powodowanym przez rozszerzanie się gazów podziemnych. Ale inne przyczyny mogą sprowadzić na nas straszne klęski.

— Jakże, drogi Cyrusie?

— Tego jeszcze za bardzo nie wiem... muszę się przekonać... odwiedzić górę i dobrze się przyjrzeć. Za kilka dni będę wiedział coś pewnego na ten temat.

Gedeon Spilett nie nalegał. Wkrótce pomimo coraz głośniejszych huków wulkanu, powtarzanych przez wszystkie echa wyspy, mieszkańcy Granitowego Pałacu pogrążyli się w głębokim śnie.

Upłynęły trzy dni, 4, 5 i 6 stycznia. Praca przy budowie statku nie ustawała, a inżynier, nie wdając się w wyjaśnienia, wszelkimi siłami starał się przyspieszyć prace. Góra Franklina miała teraz na sobie jakby kaptur z czarnej, groźnie wyglądającej chmury i wraz z płomieniami wyrzucała rozżarzone odłamki skał, z których część spadała z powrotem do krateru. Toteż Pencroff, który traktował to zjawisko tylko od strony humorystycznej, powiedział:

— Patrzcie! Olbrzym bawi się bilbokietem<sup>87</sup>! Olbrzym żongluje!

Rzeczywiście, wyrzucone produkty wulkaniczne spadały z powrotem do otchłani i nie wyglądało na to, żeby lawa, wypychana ciśnieniem od wewnątrz, podniosła się już do otworu krateru. Przynajmniej przez częściowo widoczną szczybę, wyżłobioną na północno-wschodnim na brzegu krateru, nie wylewał się żaden ognisty strumień na północne zbocze góry.

<sup>86</sup>*kartaczownica* — dawna szybkostrzelna broń wielolufowa; w odróżnieniu od karabinu maszynowego wymagała przeladowywania ręcznego, dźwignią lub korbą. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>*bilbokiet* (z fr. *bilboquet*) — zabawka składająca się z ostro zakończonych kijka połączonego sznurkiem z przedziurawioną drewnianą kulką; zabawa bilbokietem polega podrzucaniu kulki i łapaniu jej na kijek. [przypis edytorski]

Tymczasem, jakkolwiek prace przy budowie statku były niezmiernie pilne, inne zajęcia również wymagały obecności kolonistów w różnych miejscach wyspy. Przede wszystkim trzeba było udać się do zagrody, aby uzupełnić zapasy paszy dla zamkniętych w niej stad muflonów i kozic.

Uzgodniono, że Ayrton pójdzie tam nazajutrz, 7 stycznia. Zwykle sam radził sobie z tą pracą i zdążył się do tego przyzwyczaić, toteż Pencroff i inni zdziwili się, gdy usłyszeli, jak inżynier odezwał się do Ayrtona:

— Skoro idzie pan jutro do zagrody, będę panu towarzyszył.

— Ależ, panie Cyrusie — zawołał na to marynarz — pracę mamy wyliczoną co do dnia i jeżeli pan też pójdzie, to będziemy mieli o cztery ręce mniej!

— Jutro wrócimy — odpowiedział Cyrus Smith — ale muszę iść do zagrody. Chciałbym rozpoznać, jak się mają sprawy z wybuchem wulkanu.

— Wybuchem! Wybuchem!... — zawołał Pencroff z mocno niezadowoloną miną. — Też mi to ważna rzecz ten wybuch! Wcale się nim nie przejmuję.

Pomimo zastrzeżeń marynarza inżynier nie zmienił zdania. Harbert miał ochotę towarzyszyć Cyrusowi Smithowi, ale nie chciał jeszcze bardziej denerwować Pencroffa.

Nazajutrz o świcie Cyrus Smith i Ayrton wsiedli na wózek zaprzężony w dwa onagry i klusem<sup>88</sup> odjechali do zagrody.

Ponad lasem przesuwają się grube chmury, bezustannie zasilane sadzami przez krater Góry Franklina. Chmury te, ciężko pełzące w powietrzu, składały się wyraźnie z różnorodnych substancji. Sam tylko dym z wulkanu nie mógłby być tak dziwnie nieprzejrzysty i ciężki. W gęstych kłębach były zawieszony rozpylone substancje mineralne, pucolana<sup>89</sup> i szarawy popiół, miarki jak najdrobniejsza mączka. Popioły te są tak lekkie, że nieraz utrzymywały się w powietrzu całymi miesiącami. Po wybuchu wulkanu na Islandii w roku 1783<sup>90</sup> przez ponad rok atmosfera była tak przesycona pyłami wulkanicznymi, że promienie słońca ledwie się mogły przebić.

Najczęściej jednak takie sproszkowane substancje mineralne opadają na ziemię i tak właśnie stało się tym razem. Ledwie Cyrus Smith i Ayrton przybyli do zagrody, gdy spadł jakiś czarny śnieg, podobny do drobnego prochu strzelniczego i w mgnieniu oka zmienił wygląd otaczającego ich terenu. Drzewa, łąki — wszystko dookoła zniknęło pod ciemną warstwą o grubości kilku cali. Na szczęście wiał wiatr z północnego wschodu i większą część chmury zapędził nad morze.

— To dziwne, panie Smith — odezwał się Ayrton.

— To poważna sprawa — odpowiedział inżynier. — Ta pucolana, te sproszkowane pumeksy, słowem cała ta mineralna kurzawa wskazuje, jak wielkie zaburzenia zachodzą w dolnych warstwach wulkanu.

— Czy można na to coś poradzić?

— Nic, tylko śledzić postępy tego zjawiska. Niech pan się zajmie, Ayrtonie, wszystkim, co jest do zrobienia w zagrodzie. Ja zaś w tym czasie pójdę w górę źródeł Czerwonego Potoku i zbadam stan góry na jej północnym stoku. A potem...

— A potem, panie Smith?

— A potem odwiedzimy Kryptę Dakkara... Chciałbym zobaczyć... Zresztą przyjdę po pana za dwie godziny.

Ayrton wszedł na dziedziniec zagrody i w oczekiwaniu na powrót inżyniera zajął się muflonami i kozicami, które wydawały się zaniepokojone pierwszymi oznakami wybuchu.

Cyrus Smith w tym czasie wspiął się na grzbiet wschodniego zbocza, okrążył Czerwony Potok i doszedł wreszcie do miejsca, gdzie w trakcie pierwszej wyprawy badawczej razem z towarzyszami odkrył źródło siarczane.

<sup>88</sup>klus — bieg czworonożnego zwierzęcia, w trakcie którego jednocześnie podnosi ono nogi znajdujące się na przekątnej. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>pucolana — drobny popiół lub pył wulkaniczny, składający się głównie z krzemionki; wykorzystywany w budownictwie z powodu zdolności do wiązania wapna. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>Po wybuchu wulkanu na Islandii w roku 1783 — chodzi o katastrofalny wybuch szczelinowego wulkanu Laki (isl. Lakagigar), trwający od 8 czerwca 1783 do lutego 1784, kiedy doszło do otwarcia mierzącej 25 km szczeliny ze 130 kraterami, zaś chmury trujących gazów i pyłów zawędrowały nad Europę, gdzie stały się przyczyną śmierci dziesiątków tysięcy osób, i unosząc się w atmosferze, spowodowały zmianę pogody na całym świecie. [przypis edytorski]

Jakże się tu wszystko zmieniło! Zamiast jednego słupa dymu naliczył ich trzynaście, strzelających z ziemi, jak gdyby je gwałtownie wypychał jakiś tłok. Było oczywiście, że skorupa ziemską podlegała w tym miejscu straszliwemu ciśnieniu. Powietrze było przesycone oparami siarki, wodorem, kwasem węglowym i parą wodną. Cyrus Smith czuł pod stopami drganie tufów<sup>91</sup> wulkanicznych, którymi usłana była cała dolina, będących niczym innym jak popiołami stwardniałymi z upływem czasu na kamień. Wciąż jednak nie zauważył ani śladu świeżej lawy.

Jeszcze dokładniej sprawdził to, obserwując północne zbocze Góry Franklina. Z krateru wydobywały się kłęby i płomienie, na ziemię padał grad żużli, ale z gardzieli nie wylewała się lawa, co dowodziło, że jej poziom nie osiągnął jeszcze górnego otworu głównego komina.

— Wolalbym, żeby się to już stało — powiedział sam do siebie Cyrus Smith. — Miałbym przynajmniej pewność, że lawa popłynęła swoją zwykłą drogą. Kto wie, czy przeleje się przez jakieś nowe ujście? Ale niebezpieczeństwo nie na tym jeszcze polega. Kapitan Nemo doskonale to przeczuwał. Nie, nie to stanowi niebezpieczeństwo!

Cyrus Smith podszedł na skraj olbrzymiej grobli, której przedłużenie okalało wąską Zatokę Rekinów. Mógł teraz dokładnie przyrzeć się z tej strony starym pasmom lawy. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że ostatni wybuch miał miejsce w bardzo odległej epoce.

Potem zawrócił, nasłuchując uważnie podziemnych pomruków, brzmiących jak nieprzerwany grzmot akcentowany niekiedy mocniejszymi wybuchami. O dziewiątej rano był już z powrotem w zagrodzie.

Ayrton czekał na niego.

— Zwierzęta oporządzone, panie Smith — powiedział, witając go.

— Bardzo dobrze, Ayrtonie.

— Wydają się niespokojne, panie Smith.

— Tak, przemówił w nich instynkt, a instynkt nigdy się nie myli.

— Kiedy chce pan...

— Niech pan weźmie ze sobą pochodnię i krzesiwo, Ayrtonie — odpowiedział inżynier — i ruszajmy.

Ayrton wykonał polecenie. Wyprężone onagry spacerowały po zagrodzie. Bramę zamknięto z zewnątrz i Cyrus Smith, wyprzedzając Ayrtona, poszedł wąską ścieżką wiodącą na zachód, na brzeg morza.

Szli po ziemi grubo pokrytej popiołem opadłym z chmur. W lesie nie pokazało się żadne zwierzę. Nawet ptaki gdzieś znikły. Niekiedy przelotny wiatr unosił w górę tumany popiołu i koloniści, otoczeni gęstymi kłębami, nie widzieli się nawzajem. Musieli zasłaniać sobie chusteczkami oczy i usta, żeby pył ich nie oślepił i nie udusił.

W tych warunkach Cyrus Smith i Ayrton nie mogli iść szybko. W dodatku powietrze było tak ciężkie, jak gdyby część tlenu się wypaliła, przez co stało się niezdadne do oddychania. Co sto kroków musieli stawać, żeby złapać oddech. Było już po dziesiątej, gdy inżynier i jego towarzysz dotarli do szczytu tego ogromnego spiętrzenia skał bazaltowych i porfirowych<sup>92</sup>, które tworzyły północno-zachodnie wybrzeże wyspy.

Ayrton i Cyrus Smith zaczęli schodzić z tego stromego brzegu, idąc mniej więcej tą samą okropną drogą, która tamtej burzliwej nocy przywiodła ich do Krypty Dakkara. W biały dzień schodzenie było mniej niebezpieczne, a zresztą warstwa popiołów pokrywająca wypolerowane skały pozwalała pewniej stawiać stopy na tych pochyłościach.

Wkrótce dotarli do skarpy stanowiącej przedłużenie brzegu na wysokości czterdziestu stóp. Cyrus Smith przypomniał sobie, że skarpa schodziła łagodnym spadkiem aż do poziomu morza. Chociaż trwał w tej chwili odpływ, ani kawałek wybrzeża nie był odsłonięty i fale, zbrudzone pyłem wulkanicznym, uderzały bezpośrednio o bazaltowe skały przybrzeżne.

Cyrus Smith i Ayrton bez trudu odnaleźli wejście do Krypty Dakkara i zatrzymali się przy ostatniej skale, tworzącej rodzaj nadmorskiego proggu.

<sup>91</sup>tuf wulkaniczny — lekka, porowata skała złożona gł. z piasków i popiołów wulkanicznych. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>porfir — skała magmowa składająca się z drobnoziarnistego ciasta skalnego, w którym są osadzone wyciekające wcześniej duże kryształy. [przypis edytorski]

— Łódź powinna być tutaj — odezwał się inżynier.

— Jest, panie Smith — odpowiedział Ayrton, przyciągając do siebie lekką, blaszaną łódkę ukrytą pod arkadą.

— Wsiadajmy, Ayrtonie.

Dwaj koloniści usiedli w łodzi. Lekkie kołysanie fal popchnęło ją głębiej pod niskie sklepienie krypty. Ayrton, skrzęsawszy ognia, zapalił latarnię i postawił ją na dziobie łodzi, tak aby świeciła do przodu. Potem chwycił za wiosła. Cyrus Smith ujął ster i skierował łódź w mroki krypty.

Nie było już „Nautilusa”, który by oświetlał tę ciemną pieczarę. Być może światło elektryczne, wciąż zasilane potężnym źródłem energii, nadal rozchodziło się w głębinach wód, ale z otchłani, gdzie spoczął kapitan Nemo, nie dochodził żaden odbłask.

Światło latarni, chociaż słabe, pozwalało im jednak posuwać się naprzód, trzymając się prawej strony krypty. Pod sklepieniem panowała grobowa cisza, przynajmniej w przedniej części, ponieważ wkrótce Cyrus Smith usłyszał wyraźne pomruki dochodzące z wnętrza góry.

— To wulkan — powiedział.

Po chwili do tych odgłosów dołączył ostry zapach związków chemicznych, a wzywiewy siarki chwyciły za gardło inżyniera i jego towarzysza.

— Oto czego się obawiał kapitan Nemo — szepnął Cyrus Smith i twarz mu lekko pobleadła. — Ale musimy dotrzeć do końca.

— Dalej więc — odpowiedział Ayrton, pochyliwszy się nad wiosłami, i popchnął łódź w głąb krypty.

Dwadzieścia pięć minut po wplynięciu do groty łódź przybiła do zamykającej ją ściany i tu się zatrzymała.

Cyrus Smith, stanąwszy na ławeczce, oświetlał latarnią różne części tej ściany, oddzielającej kryptę od centralnego komina wulkanu. Jaka była jej grubość, czy wynosiła to sto stóp, czy tylko dziesięć, tego nie dało się stwierdzić, ale podziemne odgłosy dochodziły tak wyraźnie, że nie mogła być zbyt gruba.

Obejrawszy ścianę na wysokości wzroku, inżynier przymocował latarnię na końcu wiosła i oświetlił nią bazaltową skałę na większej wysokości.

Tu, przez ledwo widoczne szczeliny, przez luźno połączone bloki skalne wydobywał się gryzący dym, zatruwający powietrze jaskini. Ścianę przecinały pęknięcia; niektóre z nich, wyraźniej zarysowane, szły w dół do zaledwie dwóch czy trzech stóp ponad powierzchnią wody.

Cyrus Smith trwał kilka chwil w głębokiej zadumie. Potem wyszeptał:

— Tak. Kapitan miał rację! Tu się kryje niebezpieczeństwo, i to niebezpieczeństwo straszliwe.

Ayrton nic nie odpowiedział, tylko na znak Cyrusa Smitha pochwycił znowu za wiosła i w pół godziny potem obaj opuścili Kryptę Dakkara.

## ROZDZIAŁ XIX

*Opowiadanie Cyrusa Smitha. — Przyspieszenie prac przy budowie statku. — Ostatnia wizyta w zagrodzie. — Walka ognia z wodą. — Co pozostało z wyspy. — Decyzja o spuszczeniu statku na wodę. — Noc z 8 na 9 marca.*

Nazajutrz rano, 8 stycznia, po spędzeniu całego dnia i nocy w zagrodzie, gdzie wszystko pozostawili w należyтым porządku, Cyrus Smith i Ayrton powrócili do Granitowego Pałacu.

Inżynier natychmiast zebrał towarzyszy i oznajmił im, że Wyspie Lincoln zagraża wielkie niebezpieczeństwo, któremu żadna siła ludzka nie zdoła zapobiec.

— Przyjaciele — dodał głosem zdradzającym głębokie wzruszenie — Wyspa Lincoln nie należy do tych, które mogą przetrwać tak długo, jak sama kula ziemiska. Skazana jest prędzej czy później na zagładę, której przyczyna tkwi w niej samej i nic nie może jej usunąć.



Koloniści popatrzyli po sobie, a potem wszyscy zwrócili wzrok na inżyniera. Nie mogli go zrozumieć.

— Proszę nam to wytłumaczyć, Cyrusie — powiedział Gedeon Spilett.

— Zaraz wytłumaczę, albo raczej powtórzę tylko to, co w ciągu kilku chwil poufnej rozmowy powiedział mi kapitan Nemo.

— Kapitan Nemo! — wykrzyknęli koloniści.

— Tak. I to jest ostatnia przysługa, jaką chciał nam wyświadczyć przed śmiercią.

— Ostatnia przysługa! — zawołał Pencroff. — Ostatnia przysługa! Przekonacie się, że chociaż martwy, wyświadczy nam jeszcze niejedną!

— Ale co takiego powiedział panu kapitan Nemo? — spytał reporter.

— Zaraz się dowiecie, przyjaciele — odpowiedział inżynier. — Wyspa Lincolnna znajduje się w innej sytuacji niż inne wyspy na Pacyfiku. Pewna szczególna cecha jej budowy, o której powiedział mi kapitan Nemo, musi prędzej czy później doprowadzić do rozpadu jej podmorskich fundamentów.

— Rozpadu Wyspy Lincolnna?! Cóż znowu! — zawołał Pencroff, mimo całego szacunku do Cyrusa Smitha nie mogąc się powstrzymać od wzruszenia ramionami.

— Proszę posłuchać, Pencroffie — odparł na to inżynier. — Oto co stwierdził kapitan Nemo i co ja sam sprawdziłem podczas wczorajszych oględzin w Kryptcie Dakkara. Krypta ciągnie się pod wyspą aż do wulkanu i od centralnego komina oddziela ją tylko ściana na końcu. Otóż ta ściana poprzerzynana jest pęknięciami i szczelinami, przez które przedzierają się już gazy siarczane wytworzone we wnętrzu wulkanu.

— No to co? — spytał Pencroff, marszcząc czoło.

— Otóż stwierdziłem, że pęknięcia powiększają się pod wpływem ciśnienia wewnętrznego, bazaltowa ściana powoli pęka i po pewnym czasie przedrą się przez nią wody morza wypełniające pieczarę.

— Świetnie! — zawołał Pencroff, usiłując jeszcze raz obrócić wszystko w żart. — A więc morze zagasi wulkan i już po wszystkim!

— Tak, i już po wszystkim! — odpowiedział Cyrus Smith. — W dniu, gdy morze przedrze się przez ścianę i wpadnie centralnym kominem do wnętrza wyspy, gdzie kipi lava, w tym dniu, Pencroffie, cała Wyspa Lincolnna wyleci w powietrze, jakby wyleciała w powietrze Sycylia, gdyby Morze Śródziemne dostało się w głąb Etny!

Koloniści nie odpowiedzieli ani słowem na tak stanowcze zdanie inżyniera. Zrozumieli, jak wielkie niebezpieczeństwo im zagraża.

Trzeba zresztą powiedzieć, że Cyrus Smith ani trochę nie przesadzał. Wielu ludziom przychodziło już do głowy, że może dałoby się gasić wulkany, które prawie zawsze wznoszą się nad brzegami mórz i jezior, wpuszczając w ich wnętrza wody. Ale nie rozumieli, że w ten sposób część kuli ziemskiej wyleciałaby w powietrze, podobnie jak kocioł parowy zostaje rozsadzony przez zbyt wielkie ciśnienie pary. Woda, wpadając do zamkniętej przestrzeni, gdzie temperatura wynosi może tysiące stopni, zamieniłaby się w parę tak gwałtownie, że żadna skorupa nie zdołałaby się oprzeć.

Nie ulegało zatem wątpliwości, że wyspa, zagrożona przerażającym i bliskim rozszarpaniem, przetrwa tylko tak długo, jak długo wytrzyma ściana Krypty Dakkara. Nie było to już nawet kwestią miesięcy ani tygodni, ale dni, kto wie, może godzin.

Pierwszym uczuciem kolonistów był głęboki żal. Nie myśleli nawet o niebezpieczeństwie, które zagrażało bezpośrednio im samym, ale o zniszczeniu tej ziemi, gdzie znaleźli schronienie, wyspy, którą użyźnili własną pracą, wyspy, którą ukochali i którą chcieli kiedyś doprowadzić do rozkwitu. Tyle trudów poniesionych na darmo, tyle straconej pracy!

Pencroff nie mógł powstrzymać wielkiej łzy, która stoczyła mu się po twarzy, i nie próbował jej nawet ukryć.

Rozmowa trwała jeszcze przez jakiś czas. Rozważano możliwości ratunku, jakie jeszcze pozostały. Koniec końców uznano, że nie ma ani chwili do stracenia i że prace nad wykończeniem i osprzętowaniem statku trzeba prowadzić z jak największym pośpiechem, gdyż w tym właśnie kryła się teraz jedyna nadzieja ocalenia dla mieszkańców Wyspy Lincolnna.

Wszyscy zabrali się do pracy. Zresztą na cóż by się teraz przydało żęcie, zbieranie, polowanie, zwiększanie zapasów w Granitowym Pałacu? To, co zawierały jeszcze maga-

zyny i spiżarnia, wystarczało aż nadto na zaopatrzenie statku choćby na najdłuższy rejs. Chodziło tylko o to, aby mieć ten statek do dyspozycji, zanim nastąpi nieunikniona katastrofa.

Prace wznowiono więc z gorączkowym zapalem. Około 23 stycznia statek był już w połowie pokryty poszyciem. Do tego czasu na szczycie wulkanu nic się nie zmieniło. Z krateru wciąż buchała para i dym, pomieszane z płomieniami, i wylatywały rozżarzone kamienie. Ale w ciągu nocy z dwudziestego trzeciego na dwudziesty czwarty pod naporem lawy, która dotarła już do poziomu pierwszej kondygnacji wulkanu, zwalił się stożek tworzący kapelusz krateru. Rozległ się straszliwy huk. Koloniści myśleli z początku, że wyspa się rozpada. Wybiegli wszyscy z Granitowego Pałacu.

Było około drugiej nad ranem.

Niebo stało w ogniu. Górny stożek, masa kamienia wysoka na tysiąc stóp i ważąca miliardy funtów, runął na wyspę, która się zatrzęsała w posadach pod tym ciosem. Na szczęście stożek był pochylony na północ, więc upadł na równinę pokrytą piaskiem i tufami, rozciągającą się pomiędzy wulkanem a morzem. Z szeroko otwartego krateru bił w niebo tak intensywny blask, że powietrze wydawało się rozpalone do czerwoności. Jednocześnie wezbrany potok lawy rozlał się z nowego szczytu długimi kaskadami jak woda przelewająca się z pełnego naczynia i tysiące ognistych węży pelzło po zboczach wulkanu.

— Zagroda! Zagroda! — zawołał Ayrton.

Rzeczywiście, skutek utworzenia się nowego, inaczej nachylonego krateru lawa wylewała się w stronę zagrody, a więc żywym częściom wyspy, źródłom Czerwonego Potoku, Lasowi Złotopióra zagrażało natychmiastowe zniszczenie.

Na krzyk Ayrtona koloniści rzucili się do stajni onagrów. Zaprzężono je do wózka. Wszyscy myśleli tylko o jednym: pędzić do zagrody i uwolnić zamknięte w niej zwierzęta.

Przed trzecią nad ranem przybyli do zagrody. Straszliwe ryki świadczyły o przerażeniu, jakie ogarnęło muflony i kozice. Ze zbocza góry na łąkę spadał już potok rozżarzonej lawy i płynnych minerałów, już nadzierał z jednej strony palisadę. Ayrton gwałtownym ruchem otworzył bramę i oszalałe z trwogi zwierzęta rozbiegły się na wszystkie strony.

Godzinę później wrząca lawa wypełniła zagrodę, zamieniła wodę z małego strumyka w parę, zapaliła dom, który spłonął jak wiązka słomy; ogień pochłonął wszystko aż do ostatniej belki z palisady. Z zagrody nie pozostało ani śladu.

Koloniści próbowali walczyć z żywiołem, ale był to wysiłek daremny i szalony, człowiek bowiem jest bezsilny wobec podobnych wielkich kataklizmów.

Nadszedł 24 stycznia. Cyrus Smith i jego towarzysze chcieli przed powrotem do Granitowego Pałacu zbadać, w jakim kierunku ostatecznie popłynie potok lawy. Ogólne nachylenie terenu biegło od Góry Franklina do wschodniego wybrzeża i należało się obawiać, że pomimo gęstwiny Lasu Złotopióra strumienie lawy sięgną aż do Płaskowizny Pięknego Widoku.

— Jezioro nas osłoni — odezwał się Gedeon Spilett.

— Mam nadzieję — odpowiedział Cyrus Smith.

Koloniści chcieli się dotrzeć do równiny, na którą runął stożek Góry Franklina, ale strumienie lawy zagroziły im drogę. Spływały z jednej strony doliną Czerwonego Potoku, z drugiej — doliną Rzeki Wodospadu, zamieniając po drodze obie rzeki w parę. Nie było najmniejszej możliwości przedostać się przez potok lawy, trzeba było z konieczności przed nim się cofnąć. Pozbawiony szczytu wulkan był nie do poznania. Obecnie kończył się płaską jak stół powierzchnią, zastępującą dawny krater. Przez dwie szczyby, powstałe na południowej i wschodniej krawędzi, bezustannie wylewała się lawa, rozgałęziając się na dwa osobne strumienie. Ponad nowym kraterem chmura dymu i popiołów mieszała się z parą unoszącą się nad wyspą. Potężne grzmoty łączyły się z głuchymi pomrukami góry. Z paszczy wulkanu wylatywały rozpalone gazy, wznosiły się na ponad tysiąc stóp w górę i pękały w chmurach, rozpryskując się jak kartacze<sup>93</sup>. Na wybuchy wulkany niebo odpowiadało błyskawicami.

Około siódmej rano koloniści nie mogli się już utrzymać w tym miejscu, toteż wycofali się na skraj Lasu Złotopióra. Mało tego, że dookoła nich zaczęły się sypać wulkaniczne

<sup>93</sup>*kartacz* — pocisk artyleryjski zawierający w lekkiej obudowie odłamki metali lub ołowiane kule rozpryskujące się przy wybuchu; używany do XIX w., zastąpiony szrapnelami i pociskami odłamkowymi. [przypis edytorski]

paciski, ale w dodatku lawa, przelewając się z koryta Czerwonego Potoku, zagrażała odcięciem drogi do zagrody. Pierwsze rzędy drzew zajęły się płomieniem, a ich sok, nagle zamieniony w parę, rozsadał je z hukiem, podczas gdy inne, mniej wilgotne, na razie pozostały nienaruszone w środku ognistej powodzi.

Koloniści wrócili na drogę do zagrody. Szli powoli, jak gdyby cofając się. Wskutek pochyłości terenu potok lawy szybko płynął na wschód i gdy tylko niższe warstwy nieco stwardniały, natychmiast pokrywały je nowe wrzące strumienie.

Główny nurt, płynący doliną Czerwonego Potoku, stawał się z każdą chwilą groźniejszy. Cała ta część lasu stała w ogniu i olbrzymie kłęby dymu unosiły się nad drzewami, których pnie podgryzała lawa.

Koloniści zatrzymali się w pobliżu jeziora, o pół mili od ujścia Czerwonego Potoku. Tutaj się miały się rozstrzygnąć ich losy: życie czy śmierć?

Cyrus Smith, przyzwyczajony do trudnych sytuacji i wiedząc, że mówi do ludzi, którym można wprost powiedzieć prawdę, bez względu na to, jaka by była, odezwał się:

— Albo jezioro powstrzyma potok lawy i wówczas część wyspy ocaleje przed całkowitym zniszczeniem, albo lawa zaleje Lasy Dalekiego Zachodu i wtedy na powierzchni ziemi nie pozostanie ani jedno drzewo, ani jedna roślina. Wówczas naszą jedyną perspektywą na tych nagich skałach będzie śmierć, a nie będziemy na nią czekać zbyt długo, bo wyspa wyleci w powietrze.

— W takim razie — zawołał Pencroff, krzyżując ramiona na piersi i tupiąc nogą — nie ma co już pracować nad statkiem, prawda?

— Pencroffie — odpowiedział Cyrus Smith — należy spełnić obowiązek aż do końca!

W tej chwili rzeka lawy, utworowawszy sobie drogę wśród pięknych drzew, które pochłonęła, dotarła aż na skraj jeziora. Tu znajdowało się małe wzniesienie, które gdyby było trochę wyższe, mogłoby powstrzymać ognisty potok.

— Do dzieła! — zawołał Cyrus Smith.

W mgnieniu oka wszyscy zrozumieli, co ma na myśli. Na drodze potoku lawy należało zbudować tamę i zmusić go, żeby popłynął do jeziora.

Koloniści pobiegli do stoczni. Przynieśli stamtąd łopaty, kilofy i topory i w kilka godzin z ziemi oraz ściętych drzew wzniesli tamę wysoką na trzy stopy i długą na kilkaset kroków. Gdy skończyli, wydawało im się, że pracowali zaledwie kilka minut.

Był już najwyższy czas. Prawie jednocześnie z chwilą ukończenia tamy lawa dotarła do jej podnóża. Wezbrała jak prawdziwa rzeka w czasie największego przyboru i groziła przelaniem się przez jedyną przeszkodę nie pozwalającą jej wtargnąć do Lasów Dalekiego Zachodu. Na szczęście tama zdołała powstrzymać ogniste nurty. Przez kilka straszliwych chwil lawa jakby wahała się, a wreszcie cały potok stoczył się w jezioro, spadając z wysokości dwudziestu stóp.

Koloniści stali nieruchomo w milczeniu, z zapartym tchem oglądając walkę dwóch żywiołów.

Cóż to było za widowisko ta walka ognia z wodą! Jakie pióro zdołałoby opisać tę scenę pełną wspaniałej grozy, jaki pędzel potrafiłby ją odmalować? Woda syczała, zmieniając się w parę przy zetknięciu z kipiącą lawą. Kłęby pary, wyrzucone w powietrze, wirowały, unosząc się na niezmierną wysokość, jak gdyby nagle otwarto zawory ogromnego parowego kotła. Ale choć jezioro zawierało ogromne masy wody, musiały w końcu zostać pochłonięte, ponieważ nic ich nie uzupełniało, podczas gdy potok lawy, zasilany z niewyczerpanego źródła, toczył wciąż nowe fale rozżarzonych substancji wulkanicznych.

Pierwsze strumienie lawy, które spadły w jezioro, zastygły natychmiast i spiętrzyły się w wodzie, wystając nad powierzchnią. Po nich płynęły nowe strumienie, które także zastygały, posuwając dalej się w kierunku środka jeziora. W ten sposób utworzyła się grobla, a kamieniejąca lawa groziła stopniowym wypełnieniem jeziora, które nie mogło się przelać przez brzegi, gdyż nadmiar wody ulatniał się w postaci pary. W powietrzu rozlegały się ogłuszające syki i trzaski, para wodna, unoszona przez wiatr, spadała nad morzem w postaci deszczu. Grobla wydłużała się coraz bardziej, a skamieniałe bloki lawy spiętrzały się jedne na drugich. Tam, gdzie niedawno rozciągały się spokojne wody jeziora, teraz sterczały gromady dymiących głazów, jak gdyby ziemia uniosła się i wypchnęła w górę podwodne skały. W trzy godziny po wtargnięciu niepowstrzymanego potoku lawy do

jeziora wyglądało ono tak, jakby jego wzburzone huraganem wody zostały nagle ścięte przez dwudziestostopniowy mróz.

Tym razem woda miała ulec ogniowi.

Dla kolonistów była to pomyślna okoliczność, że strumienie lawy udało się skierować do Jeziora Granta. Mieli przed sobą kilka dni wytchnienia. Płaskowyż Pięknego Widoku, Granitowy Pałac i stocznie były na pewien czas ocalone. Tych kilka względnie spokojnych dni należało wykorzystać na dokończenie poszycia statku i uszczelnienie go. Potem będzie go można spuścić na wodę i szukać na nim schronienia, odkładając założenie masztów i ożaglowanie do czasu, gdy będzie już w swoim żywiole. Wobec groźby wybuchu zagrażającego zniszczeniem całej wyspy pozostawanie na lądzie stało się niebezpieczne. Schronienie w Granitowym Pałacu, dotychczas tak pewne, teraz mogło się lada chwila zawalić.

Przez sześć następnych dni, od 26 do 30 stycznia, koloniści pracowali nad statkiem za dwudziestu. Prawie nie odpoczywali, a blask płomieni buchających z krateru umożliwił im pracę dniem i nocą. Lawa nadal wypływała z wulkanu, może tylko mniej obficie. Całe szczęście, gdyż Jezioro Granta było już prawie całkiem wypełnione i gdyby nowe potoki spłynęły na powierzchnię dawnych, lawa musiałaby się przelać na Płaskowyż Pięknego Widoku, a stąd na wybrzeże.

Chociaż po tej stronie wyspa była do pewnego stopnia zabezpieczona, to w części zachodniej sprawa wyglądała inaczej.

Drugi strumień lawy, toczący się szeroką doliną Rzeki Wodospadu, gdzie teren po obu stronach potoku był wklęsły, nie napotkał żadnej przeszkody. Ognisty płyn zalał Lasy Dalekiego Zachodu. O tej porze roku, gdy skwar wysuszył drzewa, ogień w mgnieniu oka objął cały las, rozprzestrzeniając się równocześnie przy podstawach pni oraz wysoko górą, gdzie splątane gałęzie ułatwiały szerzenie się pożaru. Zdawało się nawet, że płomienie na wierzchołkach drzew posuwają szybciej niż potoki lawy u ich podnóża.

Opetane trwożą zwierzęta: jaguary, dziki, kapibary, koale, razem z ptactwem szukały schronienia nad brzegami Rzeki Dziękczynienia i na Bagnie Kazarek, poza drogą do Przystani Balonowej. Ale koloniści byli zbyt zajęci swoją pracą, aby zwracać uwagę na najgroźniejsze nawet zwierzęta. Zresztą sami opuścili Granitowy Pałac, nie chcieli nawet szukać schronienia w Kominach i obozowali pod namiotem w pobliżu ujścia Rzeki Dziękczynienia.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett codziennie wspinali się na Płaskowyż Pięknego Widoku. Niekiedy towarzyszył im Harbert, nigdy zaś Pencroff, który nie chciał oglądać wyspy w stanie tak strasliwego zniszczenia.

Rzeczywiście, widok był przygnębiający. Cała zalesiona część wyspy była teraz zupełnie оголоcona. Jedyna kępa zielonych drzew uchowała się jeszcze na samym krańcu Półwyspu Wężowego. Tu i ówdzie sterczało kilka poczerniałych, оголоconych z gałęzi pni. Miejsce, gdzie kiedyś rósł las, było jeszcze większym pustkowiem niż Bagna Kazarek. Lawy zniszczyła wszystko. Gdzie niegdyś pyszniła się wspaniała zieleń, obecnie grunt pokrywało dzikie spiętrzenie tufów wulkanicznych. Z dolin Rzeki Wodospadu i Rzeki Dziękczynienia nie spływała już do morza ani kropla wody i gdyby Jezioro Granta wyschło do całkowicie, koloniści nie mieliby czym zaspokoić pragnienia. Na szczęście lawa oszczędziła południowy koniuszek jeziora, gdzie powstał jakby mały staw, przechowujący całą słodką wodę pozostałą jeszcze na wyspie. W kierunku północnego zachodu wznosiły się chropowate, ostre zarysy zboczy wulkanu, tworzące jakby olbrzymie szpony zatopione w powierzchni ziemi. Jakże smutny widok, co za przerażający obraz! Jak bolesny dla kolonistów, którzy z żyznej posiadłości, pokrytej lasami, zraszanej rzekami, bogatej w uprawy, naraz zostali przeniesieni na оголоconą skałę, gdzie gdyby nie ich zapasy, nawet nie mieliby nic do jedzenia.

— Serce pęka! — odezwał się pewnego dnia Gedeon Spilett.

— O tak, Spilecie — odpowiedział inżynier. — Oby tylko niebiosy dały nam czas na skończenie statku, naszego jedyne go schronienia!

— Czy nie uważa pan, Cyrusie, że wulkan jakby się uspokajał? Wyrzuca jeszcze lawę, ale mniej obficie, jeżeli się nie mylę.

— To nieważne — odpowiedział Cyrus Smith. — We wnętrzu góry wciąż płonie ogień, a woda morska może tam wtargnąć lada chwila. Jesteśmy w sytuacji podróży

na statku pochłanianym przez pożar, którego nie są w stanie ugasić, i wiedzą, że prędzej czy później ogień dotrze do prochowni. Do pracy, Spilecie, do pracy! Nie traćmy ani chwili!

Jeszcze przez następny tydzień, czyli do 7 lutego, lawa nie przestawała się wylewać, nie przekraczając jednak dotychczasowych granic. Cyrus Smith najbardziej obawiał się, żeby ogniste strumienie nie przelały się na wybrzeże, gdyż w takim przypadku stoczni nie dałoby się uratować. Mniej więcej w tym samym czasie koloniści zaczęli wyczuwać jakieś drgania w fundamentach wyspy, które zaniepokoiły ich w najwyższym stopniu.

Nadszedł dzień 20 lutego. Potrzeba było jeszcze co najmniej miesiąca, żeby statek był gotowy do spuszczenia na wodę. Czy wyspa wytrzyma do tej pory? Pencroff i Cyrusa Smitha zamierzali zwodować statek, gdy tylko kadłub będzie dostatecznie uszczelniony. Pokład, urządzenie wewnętrzne i takielunek można było zostawić na później; najpilniejsze było, żeby zapewnić sobie jakieś schronienie poza wyspą. Może nawet trzeba będzie zaprowadzić statek do Przystani Balonowej, czyli jak najdalej od centrum wybuchu, gdyż przy ujściu Rzeki Dziękczynienia, pomiędzy wysepką a granitową ścianą, był narażony na zmiążdżenie w razie rozpadnięcia się wyspy. Wszystkie wysiłki kolonistów skoncentrowały się więc teraz na wykończeniu kadłuba statku.

Nadszedł 3 marca, a koloniści obliczyli, że będą mogli zwodować statek za jakieś dziesięć dni.

Nadzieja powróciła do serc kolonistów, którzy w czwartym roku pobytu na Wyspie Lincolna przeszli tyle ciężkich prób. Nawet Pencroffa stał się mniej ponury i małowówny, trochę ochłonął z żalu, w którym pograżyły go ruina i zniszczenie ich siedliska. Co prawda, teraz jego myśli zajmował tylko statek, w którym była cała ich nadzieja.

— Dokończymy go — mawiał do inżyniera — dokończymy, panie Cyrusie. Najwyższy czas, bo dni mijają i wkrótce będziemy mieli zrównanie dnia z nocą. Cóż, jeżeli będzie trzeba, to udamy się na wyspę Tabor i tam przezimujemy! Ale wyspa Tabor po Wyspie Lincolna!... Ach, co za nieszczęście! Nigdy bym nie uwierzył, że doczekam czegoś podobnego!

— Spieszmy się! — niezmiennie odpowiadał mu inżynier.

Toteż pracowali bez wytchnienia, nie tracąc ani chwili.

— Mój panie — zapytał Nab kilka dni później — czy sądzi pan, że gdyby kapitan Nemo nadal żył, zdarzyłoby się to wszystko?

— Niewątpliwie, Nabie — odpowiedział inżynier.

— A ja wcale tak nie sądzę — szepnął Pencroff do ucha Nabowi.

— Ani ja — odpowiedział poważnie Nab.

W pierwszym tygodniu marca Góra Franklina znowu stała się groźna. Tysiące szklanych nici, powstałych z płynnej lawy, spadało jak ulewa na ziemię. Krater znowu wypełnił się wrzącą lawą, która wylewała się na wszystkie zbocza wulkanu. Jej strumienie spływały po powierzchni stwardniałych tufów i do reszty zniszczyły wątle szkielety drzew, które się oparły pierwszemu wylewowi. Rzeka lawy tym razem popłynęła wzdłuż południowo-zachodniego brzegu Jeziora Granta poza Glicerynowy Potok i wtargnęła na Płaskowyż Pięknego Widoku. Ten ostatni cios zadany dziełu kolonistów był straszliwy. Z młyna, budynków ptaszarni, ze stajni nic nie pozostało. Przerażone ptactwo rozpięchło się we wszystkich kierunkach. Top i Jup okazywali najwyższe przerażenie, instynkt ostrzegał ich przed zbliżającą się katastrofą. Wiele zwierząt na wyspie zginęło podczas pierwszego wylewu. Te, które go przeżyły, schroniły się na Bagnie Kazarek, a niektóre na Płaskowyżu Pięknego Widoku. Ale i ten ostatni zakątek został odcięty i rzeka lawy, staczając się z grzbietu granitowej ściany, runęła na wybrzeże w ognistych wodospadach. Żadne słowa nie są w stanie opisać majestatycznej grozy tego widowiska. W nocy wyglądało to jak Niagara roztopionego metalu z unoszącymi się ponad nią chmurami rozżarzonych oparów i wrzącymi masami u dołu.

Koloniści zostali wyparci z ostatniego schronienia, więc chociaż górne szwy kadłuba statku nie były jeszcze uszczelnione, postanowili spuścić go na wodę.

Pencroff i Ayrton przystąpili zatem do odpowiednich przygotowań, a sama operacja miała nastąpić nazajutrz rano, 9 marca.

Jednak w nocy z 8 na 9 marca z krateru wśród przerażających huków wzniósł się na wysokość ponad trzech tysięcy stóp olbrzymi słup pary. Ściana Krypty Dakkara najwyraźniej musiała ustąpić pod ciśnieniem gazów, a wody morza wpadły przez centralny komin w ognistą przepaść i przemieniły się nagle w parę. Powietrzem wstrząsnął wybuch, który zapewne słychać było o sto mil dalej. Kawały gór runęły w Pacyfik i w ciągu kilku minut fale morskie pokryły miejsce, gdzie niegdyś znajdowała się Wyspa Lincoln.

## ROZDZIAŁ XX

*Samotna skała na Pacyfiku. — Ostatnie schronienie kolonistów Wyspy Lincoln. — Perspektywa śmierci. — Nie spodziewany ratunek. — Dlaczego i skąd przybył? — Ostatnie dobrodziejstwo. — Wyspa na lądzie. — Grobowiec kapitana Nemo.*

Samotna skała, długa na trzydzieści stóp, szeroka na piętnaście, wystająca z wody zaledwie na dziesięć — oto jedyny skrawek lądu, którego nie pochłonęły fale oceanu.

Tylko tyle pozostało z Granitowego Pałacu. Skalny mur runął, potem rozpadł się, kilka głazów tworzących niegdyś wielką salę spiętrzyło się i utworzyło ten sterczący szczyt. Wokół niego wszystko zniknęło w otchłani: dolny stożek Góry Franklina, rozdarty wybuchem, szczęki Zatoki Rekinów, Płaskowyż Pięknego Widoku, Wysepka Wybawienia, granity Przystani Balonowej, bazalty Krypty Dakkara, nawet długi Półwysep Wężowy, chociaż tak odległy od centrum wybuchu. Z Wyspy Lincoln pozostała tylko ta wąska skała, obecne schronienie sześciu kolonistów i ich psa Topa.

W katastrofie zginęły wszystkie zwierzęta wyspy — tak ptaki, jak i czworonogi — zmiażdżone lub utopione. Niestety, nawet biedny Jup poniósł śmierć w jakiejś rozpadlinie.

Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert, Pencroff, Nab i Ayrton przeżyli tylko dzięki temu, że znajdując się tej nocy w namiocie, zostali razem wyrzuceni do morza, gdy szczątki wyspy rozlatywały się na wszystkie strony.

Wypłynawszy na powierzchnię, nie dostrzegli nic poza tym zwałem skał, sterczącym o pół kabla od nich; podплыnęli do niego i wdrapali się na górę.

Na tej nagiej skale żyli już dziewięć dni. Mieli tylko trochę zapasów żywności zabranych przed katastrofą z magazynu w Granitowym Pałacu i nieco słodkiej wody, która zebrała się po deszczu w wydrążeniu skały. Statek — ich ostatnia nadzieja — został roztrzaskany. Nie mieli jak opuścić tej skały. Nie mieli ognia ani nie mieli go jak zdobyć. Skazani byli na śmierć.

Tego dnia, 18 marca, pozostało im żywności jeszcze tylko na dwa dni, chociaż jedli tylko tyle, żeby zaspokoić najgwałtowniejszy głód. W tej sytuacji cała ich wiedza ani rozum nic nie mogli zaradzić. Ich los zależał jedynie od woli Boga.

Cyrus Smith był spokojny. Bardziej nerwowi Gedeon Spilett oraz pełen głuchego gniewu Pencroff chodzili po skale w tę i z powrotem. Harbert nie odstępował inżyniera i wpatrywał się w niego, jakby prosząc o pomoc, której Cyrus Smith nie był w stanie udzielić. Nab i Arton z rezygnacją poddali się losowi.

— Ach, nieszczęście, nieszczęście!... — powtarzał ciągle Pencroff. — Gdybyśmy mieli choć łupinę orzecha, żeby zabrać się na wyspę Tabor! Ale nie ma nic, nic!

— Kapitan Nemo dobrze zrobił, że umarł! — odezwał się pewnego razu Nab.

Przez pięć następnych dni Cyrus Smith i jego nieszczęśliwi towarzysze żyli niezmiernie oszczędnie, jedząc tylko tyle, aby nie umrzeć z głodu. Wszyscy byli wycieńczeni do ostatnich granic. Harbert i Nab zaczęli już majaczyć.

Czy w tej sytuacji mogli zachować choćby iskierkę nadziei? Nie! Jaka była ich jedyna szansa? Że w pobliżu skały będzie przepływał jakiś statek? Wiedzieli dobrze z doświadczenia, że statki nigdy nie odwiedzały tej części Pacyfiku. Czy mogli liczyć na to, że jakimś prawdziwie opatrnościowym zbiegiem okoliczności szkocki jacht właśnie teraz przyplynie, żeby zabrać Ayrtona z wyspy Tabor? To było bardzo mało prawdopodobne. Zresztą zakładając nawet, że tak by się stało, to ponieważ koloniści nie zdołali złożyć na wyspie Tabor notatki o zmianach, jakie zaszły w sytuacji Ayrtona, kapitan jachtu po daremnym przeszukaniu wysepki popłynąłby z powrotem i skierował się w stronę niższych szerokości geograficznych.

Nie! Nie mogli mieć żadnej nadziei na ratunek. Na tej skale czekała ich tylko śmierć, przerażająca śmierć z głodu i pragnienia. Leżeli nieruchomo na skale, bez sił, nieświadomi, co się wokół nich dzieje. Tylko Ayrton ostatnim wysiłkiem unosił niekiedy głowę i zrozpaczonym spojrzeniem ogarniał puste morze.

Ale oto rankiem 24 marca Ayrton wyciągnął ramiona w stronę jakiegoś punktu na horyzoncie, podźwignął się najpierw na kolana, potem wstał i jak gdyby dawał ręką jakieś znaki...

Na morzu widać było statek! Najwyraźniej nie przypadkiem tędy przepływał. Skala była celem, do którego zdążał w prostej linii, całą parą, i gdyby nieszczęśni koloniści mieli dosyć sił, żeby obserwować horyzont, zobaczyliby go już kilka godzin wcześniej.

— „Duncan”! — szepnął Ayrton i padł bez zmysłów.

---

Gdy wreszcie dzięki troskliwym staraniom, jakimi ich otoczono, Cyrus Smith i jego towarzysze odzyskali przytomność, zauważyli, że są w kajucie jachtu parowego, i nie mogli pojąć, w jaki sposób uniknęli śmierci.

Jedno słowo Ayrtona wyjaśniło im wszystko.

— „Duncan” — szepnął.

— „Duncan” — powtórzył Cyrus Smith i podnosząc ręce ku niebu, zawołał: — Ach, Boże Wszechmogący! A więc chciałeś, żebyśmy zostali ocaleni!

Był rzeczywiście „Duncan”, jacht lorda Glenasvana, w tej chwili pozostający pod dowództwem Roberta, syna kapitana Granta. Wysłano go na wyspę Tabor w celu odszukania Ayrtona i przywiezienia go do kraju po dwunastu latach pokuty.

Koloniści byli uratowani i wracali do ojczyzny.

— Kapitanie Robercie — zapytał Cyrus Smith — gdy odbił pan od wyspy Tabor, nie znalazłszy tam Ayrtona, skąd przyszedł panu do głowy pomysł, aby popłynąć o sto mil dalej na północny wschód?

— Panie Smith — odpowiedział Robert Grant — popłynąłem tam nie tylko po Ayrtona, ale także po pana i pańskich towarzyszy.

— Po moich towarzyszy i po mnie?

— Niewątpliwie! Na Wyspę Lincolna!

— Na Wyspę Lincolna! — zawołali jednogłośnie Gedeon Spilett, Harbert, Nab i Pencroff, zdumieni w najwyższym stopniu.

— Skąd pan wiedział o Wyspie Lincolna — zapytał Cyrus Smith. — skoro nie ma jej na żadnej mapie?

— Dowiedziałem się o niej z notatki, którą pozostawiliście na wyspie Tabor — odpowiedział Robert Grant.

— My, notatkę? — zawołał Gedeon Spilett.

— A tak, oto ona — odpowiedział Robert Grant, podając im kartkę, na której była wskazana długość i szerokość geograficzna Wyspy Lincolna „obecnego miejsca pobytu Ayrtona i pięciu amerykańskich kolonistów”.

— Kapitan Nemo!... — zawołał Cyrus Smith, przeczytawszy notatkę pisaną tym samym charakterem pisma, co list znaleziony w zagrodzie.

— Ach! — zawołał Pencroff — Więc to on używał naszego „Bonawentury”, to on sam jeden odważył się popłynąć aż na wyspę Tabor!...

— Żeby zostawić tam notatkę — dokończył Harbert.

— A więc miałem rację, mówiąc, że nawet z za grobu kapitan odda nam jeszcze ostatnią przysługę! — zawołał marynarz.

— Przyjaciele — odezwał się Cyrus Smith głęboko wzruszonym głosem — niechaj Bóg miłosierny przyjmie duszę kapitana Nemo, naszego zbawcy!

Koloniści odkryli głowy przy tych ostatnich słowach Cyrusa Smitha i szeptem powtórzyli imię kapitana.

W tej chwili Ayrton podszedł do inżyniera i zapytał naturalnym tonem:

— Gdzie umieścić tę skrzynkę?

Była to szkatułka z klejnotami, którą Ayrton ocalił z narażeniem życia w chwili zagłady wyspy. Teraz wręczał ją inżynierowi.

— Ayrtonie! Ayrtonie! — powiedział głęboko wzruszony Cyrus Smith. Potem zwrócił się do Roberta Granta:

— Zamiast winowajcy znajduje pan dzisiaj człowieka, który długą pokutą wrócił na drogę uczciwości. Jestem dumny, mogąc uścisnąć mu dłoń.

Robert Grant dowiedział się wtedy o zadziwiającej historii kapitana Nemo i kolonistów na Wyspie Lincolna. Po jej wysłuchaniu zanotował pozycję samotnej skały, której od tej pory należało się miejsce na mapie Pacyfiku, po czym wydał rozkazy odpłynięcia.

Dwa tygodnie później koloniści wylądowali w Ameryce i zastali w ojczyźnie pokój po straszliwej wojnie, która skończyła się tryumfem sprawiedliwości i prawa.

Większość skarbów ze szkatułki przekazanej kolonistom Wyspy Lincolna przez kapitana Nemo została użyta na zakup dużej posiadłości w stanie Iowa<sup>94</sup>. Najpiękniejszą perłę przesłano lady Glenarvan w imieniu sześciu rozbitków zwróconych ojczyźnie przez „Duncana”.

W swojej posiadłości koloniści zaprosili do wspólnej pracy, czyli do budowania dobrobytu i szczęścia, wszystkich, którym zamierzała ofiarować gościnę na Wyspie Lincolna. Założyli tu dużą kolonię, której nadali imię wyspy pograżonej w głębinach Pacyfiku. Płynąca tam rzeka otrzymała nazwę Rzeki Dziękczynienia, górę nazwano Górą Franklina, niewielkie jeziorko było Jeziorem Granta, zaś lasy stały się Lasami Dalekiego Zachodu. Była to jak gdyby wyspa na stałym lądzie.

Tutaj pod sprawnym zarządem inżyniera i jego towarzyszy wszystko rozkwitało. Dawni osadnicy wyspy Lincolna postanowili, że nigdy się nie rozłączą, żyli więc wszyscy razem: Nab, nieodstępujący swego pana, Ayrton, zawsze gotowy do poświęceń, Pencroff, który stał się bardziej farmerem niż był kiedykolwiek marynarzem, Harbert, który zdobył wykształcenie pod kierunkiem Cyrusa Smitha, i Gedeon Spilett, założyciel gazety „New Lincoln Herald”, najlepiej poinformowanego dziennikarza na świecie.

Tutaj Cyrusa Smitha i jego towarzyszy kilkakrotnie odwiedzili lord i lady Glenarvan, kapitan John Mangles z żoną, siostrą Roberta Granta, a także sam Robert Grant i major Mac Nabbs — słowem, wszyscy związani w jakikolwiek sposób z podwójną historią kapitana Granta i kapitana Nemo.

Tu wreszcie wszyscy żyli szczęśliwie, złączeni przyjaźnią tak jak dawniej. Nigdy jednak nie zapomnieli o wyspie, na którą przybyli ubodzy i nadzy, o wyspie, która przez cztery lata zaspokajała wszystkie ich potrzeby, a z której pozostał tylko odłam granitu chłostany falami Pacyfiku — grobowiec tego, który zwał się kapitanem Nemo.

---

<sup>94</sup>Iowa — równinny stan w centralnej części Stanów Zjednoczonych, wcześniej terytorium francuskie, przyjęty do Unii w 1846. [przypis edytorski]



---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/verne-tajemnicza-wyspa-tom-iii/>

Tekst opracowany na podstawie: Jules Gabriel Verne, Tajemnicza wyspa, Nakładem księgarni Seyfartha i Czajowskiego, Lwów 1875.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć, Kotwica Wojciech, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-5602-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.